

WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE)

Serya II.

T. 4.

DZIECI WIEKU

POWIEŚĆ

Tom I.

WARSZAWA.

WAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1883.

WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom czwarty.

DZIECI WIEKU.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

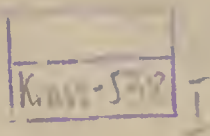
TOM I.



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1883.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Ноября 1882 года.



ROZDZIAŁ I.

W wielu krajach utrzymuje się zwyczaj odwiedzania cmentarzów w różnych porach roku, znośniejszych niż pierwsze dnie listopadowe, w których my obchodzimy Zaduszki. Deszcz, błoto, chłód, usposabiają już same przez się człowieka do smutku, cmentarz zmienia to wrażenie w nieznośny spleen, tak, że mało kto jest w stanie przyszedłszy na grób ukochanych, pozostać dłuższą chwilę, przykłąknie, pomodli się, westchnie i ucieka znowu w ten życia wrzątek, wśród którego się o śmierci zapomina.

Napróżno na wiosnę stroją się cmentarze w kwiaty i zieleni, próżno latem wabią cieniem drzew bujnie wyrosłych, wspomnienie śmierci odpędza od nich gmin, któryby z myślą o niej żyć niepotrafił.

Rzadko się też zdarzy spotkać wśród lata, wiosny, jesieni wczesnej dobrowolnego wędrowca, szukającego na cmentarzu zarosłego chwastem grobowca i przypomnień przeszłości. A są przecie po świecie piękne bardzo cmentarze, któreby można nazwać ogrodami umarłych.

Takim był właśnie cmentarz katolicki w B... położony nad wielkim gościńcem. cały drzewami zarosły i bogaty w piękne grobowce.

Nie był wprawdzie utrzymany tak starannie jak Campo Santo w Neapolu, jak Père-Lachaise w Paryżu i wiele innych Bożych ról po świecie, ale bujna roślinność, piękne kwiaty, wiele cienia, gęsto rozrosłe krzewy wonne, róże, brzozy i jodły ugrupowane fantazyą przypadku, dokoła białych grobowców, czyniły go wcale wdzięczną ustronią. Parę wzgórków urozmaicało dosyć obszerną przestrzeń, a na jednym z nich stała prostego stylu kapliczka, którą z za gałęzi drzew widać było zdaleka. W głównej ulicy, wiodącej do niej, grupowały się najpiękniejsze monumenta, z potrzaskanymi kolumnami, aniołami, geniuszami gaszącymi pochodnie, godłami życia krótkiego, smutku i żalu...

Reszta pomników rozsypana była po lasku wśród brzoź, sosen, dębów, które niegdyś las składały i na nowo zasadzonych wytworniejszych krzewów, a zapomnianych i zdziczałych kwiatów.

Po za kilku ledwie znacznymi uliczkami, rozciągał się cmentarz ubogich, las krzyżów drewnianych i mogił żółtych lub darni, okrytych tylko, nad którymi żal nie miał za co postawić nawet małego krzyżyka, i dłonie pobożne kamyk tylko przyniosły, po którym poznać je miały.

Gdzieś tam widać było fundamenta wspianego mauzoleum, założone na szeroka skalę, okryte tymczasowo gnijącą od dwudziestu lat słomą. Żal gorący w pierwszej chwili, ostygł i pomnik pozostał w projekcie, a sklepienie kruche wilgoć przejadała.

Z kamieni grobowych mówiły: pobożność, próżność, pycha, żal prawdziwy i czeza retoryka lapidarna. Uśmiechnąć się mimowolnie było można z tytułów szeroko się rozlegających nad garscią prochu zapomnianego.

Rzadko gdzie stary grobowiec był utrzymany starannie, świeciły nowe, a z dawnych kruszyły się cegły i mchem porośłe napisy.

Chociaż brama cmentarna przy której stał dosyć porządny domek stróża była zawsze otworem, rzadko

ona zaskrzypiała przed ciekawym wędrowcem. Stary Jeremi mieszkający tu z żoną i dziećmi, wiedział dobrze, iż nikt nie przychodzi na cmentarz bez interesu, a posłyszawszy skrzypnięcie drzwi, wychodził pewny, iż zobaczy twarz pomieszaną człowieka szukającego dla kogoś miejsca spoczynku. Były dlań miesiące wakacyj w których plótł koszyki, nieobawiając się aby mu przerwano śpiewanie godzinek, któremu towarzyszył, ale miał też w innej porze bardzo wiele do czynienia. Latem dzieci i on bawili się swobodnie w ogródku kolkami odgradzonym od właściwego cmentarza, wśród trochy warzywa i kwiatków.

Jeremi miał sobie powierzona straż szczególną i pieczę nad niektórymi mogiłami i podejmował się jej chętnie, ale bardzo nią troszczyć nie potrzebował, gdyż nie było prawie przykładu, żeby krewni przyjeżdżali do nieboszczyków w odwiedzinę, zwłaszcza po upływie lat kilku.

Gdy w lipcu, nad wieczór, zaskrzypiały drzwi cmentarne, Jeremi który się wcale tego dnia gości nie spodziewał, wysnął głowę z za węgła, i z podziwieniem zobaczył średniego wieku mężczyznę, powoli, cicho, jakby lękliwie wsuwającego się na cmentarz. Chociaż na pogrzebach porobił znajomość z całym prawie miasteczkiem, i nie było kogoby po imieniu nazwać nie mógł — tego jegomości, zdało mu się, że jeszcze jako żyw niewidział.

Człowiek to był ni stary ni młody, w latach średnich, twarzy smutnej, zwiędłej, ale rysów szlachealnych i pięknych. Ubiór jego równie jak twarz, niewiele o człowieku wnosić dozwalały — nie uderzał ani wykintnością, ani zaniedbaniem. Nieznajomy zdawał się umyślnie starać, aby powierzchownością oczów na siebie nie zwracał — szedł też zwolna i stąpając lekko, bo sądził może, iż potrafi przesunąć się niepostrzeżony.

Alte stary, łysy Jeremi zatrzymał go oczyma w progu i ukłonem, nie mówił wprawdzie nic, choć wejście pytało i zdawało się badać podróżnego po

co otworzył te drzwi i kłócił spokój tych, którzy odpoczywali na wieki. Niepodobna było pominąć odzwierne-
nego bez pokłonu, słowa. tłumaczenia. Wzrok ten mówił. że Jeremi miał prawo spytać przychodnia co tu robił.

Chwileczkę zawahał się wchodzący, namysławiając, czy iść dalej bez pytania. czy słowo rzucić lub jałmużnę, przybrał postawę zupełnie obojętnego turysty, ręce założył w tył, oczyma wodził przyglądając się cienistemu laskowi. Potem dobył pośpiesznie złotówkę i grzecznie wsunął ją w rękę Jeremiemu. Staruszek się skłonił, wstał. i datek może przeznaczony, aby zastąpił rozmowę, dał właśnie do niej powód.

— Bóg zapłać — odezwał się Jeremi — może jego-
mość szuka jakiego grobu? Ja tu już czterdzieści lat przy tym cmentarzu. i pamiętam dobrze tych co są pochowani. Gdybym mógł służyć?..

Nieznajomy się zawahał, ciężko mu było przemówić. skłonił głowę. dziękując.

— Nie. nie — rzekł. ja tu tylko tak dla... dla ciekawości i przechadzki, nie fatygnicie się.

Jeremi nie napierał się więcej. pokłonił jeszcze raz. ale zostając w tyle i nie siadając na kamieniu pod ścianą. z którego był wstał. okazał. że gotów by był chętnie ciceronować około nagrobków. Ale nieznajomy wymknął mu się prędko, poszedł ulicą szybko. Zatrzymał się wśród niej czytając kilka napisów. i rzuciwszy się w boczną jakąś ścieżynkę, znikł z oczu stróża.

— To jakiś tetryk. melankolik. pomrnczał stary, ramionami ruszając, przyszedł medytować nad marnością świata. niech sobie chodzi. Byle tylko nie zrobił jak ten, co to tu sobie przed laty dwudziestu w łeb wypalił na mogile kochanki! Ale nie. to wytrawny, nie młody człowiek. takiego głupstwa nie popełni.

Przychyliwszy się po pod gałęzie. spojrzał wszakże Jeremi. śledząc wędrowca. i dostrzegł tylko w dali przesuwaną się zwolna jak cień postać. która zdążyła ku mogiłom ubogich. a potem znikła.

W tej samej chwili dwa głosy wesole, śmiejące

się, rubaszne. odezwały się za płotem cmentarnym. Jeremi słuchał.

— Daję ci słowo. że tu wszedł na cmentarz. mówił głos pierwszy, jasny i harmonijny.

— A cóżby tu robił? przerwał drugi nieco schrypiły i drżący. choć młody jeszcze.

— Któż go wie i kto go zrozumie? do tylu zagadek które nam zadaje od przybycia swojego tutaj. mamy jedną więcej. Włóczy się jak upiór po cmentarzach. Teraz dopiero ciekawe damy nasze zrobią z niego bohaterą romansu.

Schrypiły głosik śmiać się począł.

— Ja bym go prędzej posądził o zbiega z Lubelskiego więzienia. lub ukrywającego się kryminalistę. Na twarzy nie błyszczy mu nic szlachetniejszego. wiadać w niej raczej trwogę istoty. co się pochwyconą. odkrytą. odgadniętą być obawia.

— Cha! cha. rzekł pierwszy głos. gdybym pana nie znał. panie Luziński. a z twarzy jego także odgadawać począł. zaprawdę nie lepszych bym się doczytał rzeczy nad te, które pan widzisz w tym biednym człowieku.

Jeremi. który całej tej rozmowy słuchał mimowolnie. gdyż prowadzono ją dość głośno i blisko niego. wystawił głowę i ujrzał jakby komentarz do niej dwie miasteczkowe, znane sobie. choć rzadko widywane postacie. pana inżyniera Szurmy i Waleka Luzińskiego. sierotki. wychowanka doktora.

Szurma był dorodny chłop. szerokich ramion. przystojnej twarzy. niewielkiego na pozór wyrazu. wysokiego czoła. oczów błyszczących. brunet; — zdrowy i silny. Walek Luziński. który mu prawie dorównywał wzrostem. stanowił uderzającą z nim sprzeczność: — był chudy. żółty. zgięty jak kwiat. którym wiatr miotał długo póki go nie skreślił. a na wykrzywionych ustach jego malowało się szyderstwo dumne i złośliwe. Łatwo w nim było poznać jednego z tych wydziedziczonych od losu. którzy zamiast z nim walczyć. wolą stękać nań. narzekać. nic nie robić i świat za własne

niedoleżtwo przeklinać. Rysy jego oznajmywały pewną bystrość pojęcia. oczy gorzały chorobliwym ogniem intelligencji rozbudzonej a nieokiełznanej. ale całość przykre. odstręczające sprawiała wrażenie. Nieznając go nawet, można się było ulęknąć.

Strój też nie nprzedzał o Walku dobrze, był zaniedbany. poplamiony, ułożony bez myśli. podarty w wielu miejscach i mógł zrodzić przypuszczenie, że młody chłopak chorował na jakiś nałóg czyniący go tak opuszczonego.

Oba ci panowie wracali z przechadzki, stanęli u wrót. Walek się oparł o zagrodę. ziewał.

— No. co mówisz. gdybyśmy. dla oryginalności, odezwał się nagle — poszli się przejść sobie wśród cieniów cmentarnych... Mogłaby to być wcale nawet przyjemna przechadzka? Ja. niemając rodziny. dodał. nie będę miał zręczności tak rychło zwiedzić monumentów tutejszych, a przecie znaleźć się mogą ciekawe? he?

Szurma uśmiechnął się dziwnie.

— Cóż, myślisz, że mnie zdumiejesz oryginalnym pomysłem swoim? dla czego nie? i owszem, chodźmy. Ciekawy jestem, jak grobowiec hrabiny Turowskiej, wedle mego rysunku robiony, odlano i ustawiono.

Walek popchnął gwałtownie wrota. które skrzyknęły niełitościwie i z tą miną dumną a pogardliwą zepsutego chłopięcia. którą miał zawsze. a szczególnie przywdziewał. gdy sądził. że na niego patrzało — wszedł rozpatrując się szydersko po cmentarzu.

Jeremi widząc tę butę tak nieprzyzwoitą wśród ciszy grobowej. zmarszczył brwi. ale go rozbroił już mającego się pogniwować. uśmiech grzeczny Szurmy. który sięgał do kieszeni.

Ruch ten pełen znaczenia. zapowiadał datek. stróż więc skłonił się i nieprotestował przeciwko tej napaści. dziwnej szczególnie dla tego. że wprzód następować po wujsciu pierwszego jegomości.

Ale znowu zrobił swą minę tak pytającą patrząc

na Szurmę. że ten rzucając jałmużnę. uznał słusznem dodać do niej:

— Wszakże się tu przejść możemy?

— A dla czegoż nie? odparł Jeremi — możebym mógł pokazać państwu jaki grobowiec.

Swistając cicho Walek poszedł był przodem. z rękawami w kieszeniach. Szurma zwrócił się i zapytał:

— A no. dobrze? gdzie pomnik starej hrabiny Turowskiej?

— Niedochodząc do kaplicy po prawej stronie—odparł Jeremi. zbierając się iść.

— Toć go sam znajdę i poznam. bom na niego plan dawał, rzekł inżynier — siedź sobie mój stary, i nie fatyguj się.

To mówiąc. napędził Walka. który już ze swą miną burszowską zatrzymał się był przed jednym z pomników. Patrzył nań i bez ceremonij zanosił się od cichego złośliwego śmiechu.

— Patrzaj-że no! zawołał do Szurmy—patrz i przeczytaj proszę. Gdzie się też to człowiek nieodmaluje z całą śmieszną głupotą. cha! cha!

To mówiąc. przymuszonemi oczyma wpatrywał się we wspaniałe dosyć pomnik z piaskowca. wystawiony w kształcie kapliczki gotyckiej. nad którego drzwiami stał napis głoskami złożonemi: Grobowiec rodziny Skalskich.

— Cóż ty tu widzisz śmiesznego? zapytał inżynier.

— Ale ba! zaczął Walek szybko i żywo. Rodzina Skalskich! niepowiedziałabys iż to jakiś stary. szlachecki. lub pański ród. ciągnący prozapią swą od dwunastu wojewodów! Przypatrz się tylko. W bocznej ścianie złożonemi głoskami paradyją żale! i wiekuistej podano pamięci zgon pana Rafała Skalskiego, który był cyrulikiem i aptekarzem. a przyczepił się do Skalskich i nciał sobie Korwina nad grobem. gdy należałoby mu wyryć moździerz i syrenę. A jak im tu było pilno i koniecznie postawić ten monument ad perpetuam rei memoriam. nie gdzie indziej. tylko w głó-

wnej ulicy, aby stać obok Turowskich. hrabiów Czylińskich i książąt Radziwiłłów. Ręczę, że przepłacili te kilka łokci ziemi, że intrygowali aby je pozyskać. a zrujnowali się na kaplicę gotycką, na okna kolorowe, na brązowe głośliki, na marmury i ornamenta.

Szurma ruszył ramionami.

— Złośliwy jesteś, rzekł — ale ja w tem nie widzę nic oprócz bardzo pobożnej ofiary dla pamięci zmarłych. których uczcić chcieli.

— Naiwny człecze! przerwał Walek, myślisz, że tu o umarłych chodziło! tu szło o żywych. o popis. o pokazanie dostatku. Tak samo stary Skalski stawia butelkę szampańskiego wina przy obiedzie, choć by mu zaszkodzić miała, jak grobowiec ten — przez próżność.

— Przypuśćmy; — cóż ci ona szkodzi i komu ona jest szkodliwą, chyba samemu Skalskiemu, którego czyni śmiesznym — rzekł Szurma, chcąc iść dalej.

Walek wciąż jeszcze stał u monumentu i prześmiewał się z niego.

— Dosyć, że choć tu stoją z panami i obywatelstwem wiejskiem na jednej linii — dodał... cha! cha!

Inżynier nie mówiąc, szedł dalej zwolna, poglądał na pomniki i zdawał się szukać tego, który był jego pomysłem. Walek niechętnie sobie szydził ze wszystkich.

— Że też nikt na nowy pomysł się nie zdobędzie, mówił — jedno i jedno — połamane kolumny. greckie sarkofagi, gotyckie kałamarze, anioły niepodobne do ludzi, urny okryte płachtami, a napisów nawet czytać nie warto.

— Jesteś w humorze szydzenia ze wszystkiego, szepnął Szurma — tu, gdybyśmy się na co nowego zdobyć chcieli, któżby wykonał. a iluż ludziom braknie na to środków? kto tam na to zważa!

— Ale bo widzisz, tyś obojętny na wszystko — zawołał Lubiński — ja chcę czytać w każdej rzeczy. Człowiek jest wszędzie człowiekiem. nawet tu, na polu śmierci, niesie z sobą swoje słabości. niedołęztwo,

próżność, dumę. nawet tu mówią napisy o ludzkiej głupocie.

— Mój drogi. a ty. tyś rozzumniejszy i lepszy? spytał Szurma.

— Może. odparł Walek — nie wiem jak będzie dalej — z życiem, ale sądząc o drugich. za boki się trzymam.

— Daj Boże, by drndzy sądząc o tobie. nie chwycili się za głowę — odpowiedział Szurma. Wierzaj mi sąd o życiu jest bardzo łatwym. ale pokierowanie własną łódką trudne bardzo.

— Nie należy też nią bardzo kierować — rzekł Walek. ale ją puścić z prądem wód i niech sobie płynie z niemi.

— Byłoby to wyrzec się woli. rozsądku i władania samym sobą; kto ma takie usposobienie. powinien wdziać habit i obrać sobie to życie zakonne. zaparcia. posłuszeństwa. w którym przynajmniej pewny być może, iż z łódką nie polecą w wir i przepaście.

Walek się uśmiechał litościwie.

— Bardzo jestem ciekawy. zawołał nagle. przechodząc jak był zwykł do zupełnie innego przedmiotu — gdzie ten zagadkowy nasz człowiek poszedł?

To mówiąc, pochylił się. i za pniami lasu ujrzał nieznanego. który stał ze spuszczoną głową wśród mogił ubogich. oddawna zieloną darnią porosłych.

Szurma. który był także ciekawy. poszedł za przykładem towarzysza. Kilka razy ów człowiek schylał się jakby wyrывał chwasty. potem oparł się o mur i zamyslił niernchomy.

— Trzeba być najnieudumyslniejszym z ludzi — zawołał Walek. ażeby niezrozumieć naszego pana. Ten wielki nieznanomy, musi być rodem z miasteczka... Eureka!

Rozśmiał się pocierając ręce.

Szurma nic nie mówił.

— Nie zgadłem? powtórzył Lubiński.

— Nie wiem — szepnął inżynier. równie by być mogło. że tu niegdyś mieszkał. że kogoś pochował.

— Zapewne. Ale jest jeszcze jeden do wyciągnięcia wniosek dla bystrego umysłu, dodał Walek, bądź co bądź. stosunki miał nieosobliwsze, z temi co się chowają bez marmurów i złożonych głosek, a zatem jest to sobie mizerna kreatura. ordynaryjny dorobkowiec — i nasz brat, panie Szurmo.

— Nie zaprzeczam ci biegłości we wnioskowaniu, uśmiechając się, rzekł inżynier, ale dla czego by to nie miał być wielki pan, który szuka grobowca wiernego slugi? he?

Walek potrząsł głową. — Nadto wyjątkowa sytuacja. to się trafia tylko w powieściach moralnych. i na sentymentalnych litografiach z czasów Chateaubrianda.

— A dlaczegóżby u nas trafić się nie mogło?

— Ten człowiek obudza we mnie ogromną, ogromną, niepohamowaną ciekawość, dodał Walek. Oślania się tajemnicą. włóczy po cmentarzach, nie żyje z nikim, nie zbliża się do nikogo, nie wdaje się w rozmowę. jest podejrzanym!

— A! otóż i mój monument! przerwał w tej chwili Szurma...

— No i cóż, czy artystyczne uczucie wasze zadowolone jest z wykonania pomysłu? czy serce bije do dzieła tego? czy rzemieślnik zrozumiał sztukmistrza? he?

Szurma stał. czoło mu się chmurzyło.

— Nie potrzebuję pytać, fiasco. czytam to z twarzy waszej — śmiejąc się dodał Walek. Zapewne J.W. hrabiostwo znajdowali, że niedosyć był wspaniały rysunek, niedosyć wysoki grobowiec, aby panował nad cmentarzem plebejuszów, niedosyć wyzłocony...

— Nie wiem kto i dla czego, westchnął Szurma, ale to pewna, że mi go do niepoznania zmieniono. Nie powiem żeby zyskał na tem, cóż robić?

Z pogodniejszym już czołem człek cierpliwy i chłodny, mimo przykrości jaką doznał, odwrócił się od monumentu. Walek Iuziński tym czasem nie zważając na uroczystość miejsca, dobył cygaro i zapalił je,

nsta krzywiąc uśmiechem złośliwym z zawodu doznanego przez przyjaciela.

— Kwaśno ci, kochanie! ha! rzekł przez zęby, naukę masz abyś nigdy nie powierzał naszym domorosłym rzemieślnikom rysunków i idei. U nas inaczej być nie może, wszystko to niezdarne, nieumiejętne, zarozumiałe.

— Walku, przerwał mu Szurma, masz wiele słuszności, ale to reguła tak ogólna, że podobno my oba, ja i ty, nie jesteśmy z niej wyjęci.

Walek się skrzywił, zdawało się, że on jeden miał się za wyjątek.

— Chodźmy już, odezwał się Szurma, nie ma tu nic tak dalece do widzenia, a ów jegomość mógłby nas posądzić, żeśmy go w nieprzyzwoity sposób śledzić chcieli. Trzeba uszanować go, przynajmniej w chwili uroczystej bólu.

— A ja ci powiem, rozśmiał się Walek, że mam prawdziwą przyjemność właśnie z człowieka drwić, gdy jest rozmiękły, i każdy mój pocisk w nim utkwiał. Wartoż się litować nad człowiekiem! cha! cha!

— Mój kochany, odezwał się Szurma, nie jestem sentymentalny, ale twoja fanfaronada dzikości i ztwardziałości serca we mnie litość obudza. Gdybyś nie był tak bardzo młodym, byłaby oznaką umysłowej choroby.

Walkowi oczy zabłysły dziko, nie odpowiedział jednak nic.

— Całe życie się skarżasz na ludzi, a jesteś lepszym?

— Bo mnie takim uczynili.

Szurma ramionami ruszył.

— Dzieciństwo! fantazja chorobliwa! rzekł snrowo, w twojem położeniu sierocem, nikt nad ciebie szczęśliwszym nie był. skarżyć się nie masz najmniejszego prawa. Miałeś opiekuna, serce, zaspokojone potrzeby, pieszczoty nawet, gdy ja, syn ubogiego rzemieślnika od dziesięciu lat o własnej sile, głodzie i chłodzie biłem się, aby wybić się na wierzch. Ty się

skarżysz. a ja Bogu dziękuję. Ta walka mi dała siły. rozwinęła mnie. przez nią stałem się czemś i kocham świat i ludzi. nie zgorzkniałem jak ty pieszczochu. Pamiętaj. twoja gorycz. to wprost choroba.

— Z której się ja podobno nie wyleczę. dodał Walek szyderczo. Cóż dziwnego? pan Szurma szczęśliwy, w zgodzie ze społeczeństwem. z ludźmi, z sobą. z myślą. chodzi po ziemi stępo. nie ma piersi pełnej poezyi. głowy pełnej fantazyi. serca zranionego. panu Szurmie dosyć jest tej słicznej ziemi. tego wygodnego życia. a mnie?!... jam przyszedł na świat z pragnieniem nienasyconem. z rozgorączkowaną wyobraźnią. z...

— Stare dzieje! słyszałem. czytałem. wiem te bajki. durzysz siebie. a potroszę i ludzi.

Walek zaciśnął usta.

— Ale ja nie mam i nie miałem nigdy pretensyi być przez pana i przez ogół zrozumianym! — dorzucił.

— Co do mnie. rzekł śmiejąc się Szurma. wierz mi. iż rozumiem cię może lepiej. niżbyś ty sam sobie życzył. Powiem ci otwarcie. dlaczego ci gorzko tak i tak źle. Chciałbyś aby cię noszono na ręku. okadzano jak indyjskie bożyszcze, abyś miał dostatek bez pracy, aby fantazyę twą wyprzedzała rzeczywistość. aby życie było snem poetycznym na złocistym wezglowiu. Ale mój drogi. to się tylko w bajkach trafia. życie w rzeczywistości to zadanie algebraiczne do rozwiązania. za pomocą pracy i stoicyzmu.

— Dla was, dorzucił pogardliwie Walek. dla was ludzi co się rodzicie z krwią zimną. Wy nie macie też prawa wymagać od losu nic, ale my?...

— Któż to. my? spytał Szurma.

— My. poeci. istoty wybrane, my panujący wam z łaski geniusza. powinniśmy u stóp naszych widzieć wszystko. Nam we dwoje złożony listek róży dokucza na łożu. wy możecie spać na chruście, między nami a wami jest...

— Zapewne. taka przestrzeń. jaka dzieli orangutanga od murzyna? he? zapytał śmiejąc się Szurma. Dajże już tym deklamacyom pokój. a śpieszmy wyjść ze cmen-

tarza. bo by mi przykro było spotkać się z tym człowiekiem.

— A mnie by miło było, wzrok badawczy jak wędkę żelazną zapuścić mn do głębi dnszy. odezwał się Walek, i dobyć z niej...

Doszli właśnie do furtki, którą im Jeremi otwierał. przy starnszku stała jego wunczka, kilkoletnia dziewczeczka z białemi jak len włosami. w koszulce i wianuszkach z bławatków. Dziecko założywszy ręce w tył, ciekawie się wpatrywało w dwóch mężczyzn, nie widywanych w tej porze często na cmentarzu. Ten kwiatek na mogiłach, Szurmie się uśmiechnął zębami białymi, a gdy ją Walek mijał, dziecko instynktowo schowało się za dziadka.

— No, jakże nie mam na świat i ludzi się złościć, z gniewem burknął Luzziński. — patrz, to dziecko nawet do ciebie się śmieje, a przedemną nieka!

Szurma jakby nie słuchał. — milczący poszli ku miastu.

W kwadrans potem. krokiem powolnym. z rękami założonemi w tył. z głową na piersi zwieszoną. nieznajomy ścieżką boczną zbliżył się do bramy cmentarza. u której czekał nań Jeremi i dziewczeczka.

Nie wiem czy nauczona przez dziadka. czy z własnego instynktu. dziewczeczka bejaźliwie podeszła przeciw smutnemu wędrowcowi, i wetknęła mu w rękę nie mówiąc słowa, niezgrabnie związany kwiatów bukiet. Były to bratki, różyczka, kilka liści i trochę bławatków.

Nieznajomy popatrzał jakby zdziwiony na białe włosy i niezapominajkowe oczki dziewczęcia. uśmiechnął się mu. dobył coś z kieszeni i włożył w drobną rączkę, która ścisnęła goz chciwie. biegnąc żwawo ku domowi.

Szedł powoli. ociągając się. jakby mu żal było to miejsce opuszczać. Jeremi patrzył nań długo. uważnie, ale ani z rysów, ani z twarzy, ani z ubioru odgadnąć nie nmiął. kto to mógł być taki. A jednak nie był on tu obcym. i nie prosta ciekawość przywiodła go

na groby, bo stał nad jednym z nich długo, i na bladym obliczu znać było świeże ślady cierpienia, które po nim przebiegło.

ROZDZIAŁ II.

Nasze miasteczko, chociaż w dosyć pięknej położonej okolicy, nie miało wewnątrz żadnego ogrodu do przechadzki, i dzieci bawiły się zwykle na ciasnym podwórzu kościoła farnego, które niegdyś było cmentarzem, czego dowodziły kamienie na pół już w trawie ukryte i w ziemię zapadłe; starsi szli powietrza i zieleni szukać za miastem.

Zwykle przechadzki odbywano albo do tak zwanej Pohulanki w której była kręgielnia, bilard, piwo i różne trunki, a szczególnie wódki doskonałe — do kąd lepsze towarzystwo częściej nie lubiło; lub do opuszczonego dawno pańskiego ogrodu, niegdyś z przypomnień włoskich ochrzczonego Piacenzą, ale gdy zamek runął i rezydencya książęca osamotniała, Piacenza także powoli stała się prawie dziko zarastającym lasem. Zarząd dóbr nie pomyślał o zużytkowaniu tych zarośli i lasu, zostawił go nawet nieogrodzonym, a że w niewielkiej odległości przy trakcie znajdowała się austerja, wyższy świat miasteczka chętnie kierował się ku Piacenzy, chociaż nie miał tu ani ścieżek czystych, ani siedzeń innych nad kilka kamieni, resztek zrujnowanych ław i stołów.

Piacenza za lepszych czasów, musiała pewnie wyglądać bardzo ładnie, zasadzona była lipami, dziś

już staremi topolami, które ponsychały. akacyami. modrzewiami, jodłami; mnóstwo bżów, czeremch, kaliny bujało w gąszczach. Gdzieniegdzie zapomniane kwiaty, uparte irysy, drobne hyacenty szafirowe i aquilegie z między pokrzyw i łopuchów się dobywały. W środku była grabowa altana okrągła, po bokach dwa szpalery, ale to wszystko dziś ledwie rozpoznać było można, tak wiele drzew brakło. tak mnogo też niepotrzebnych powyrastało na ścieżkach. Z kamiennych stołów, balustrad, ławek rozebranych na różne potrzeby gospodarskie, zostały tylko szczątki, które się z ziemi dobyć nie dały. W jednym kącie obalony rycerz bez ręki i nogi leżał twarzą na ziemi, a litościwe chwasty rosły już nad nim, otulając go sobą. Z pięknej altany, która nosiła jeszcze tradycyjne nazwisko Belwedern, bo z niej w istocie widok był na zamek, miasteczko i okolice wspaniały, zostało tylko podmurowanie, kilka schodów i kawał obalonej ściany. Piacenza nie miała nawet ogrodzenia. tolerowano w niej często pasące się bydełko pana rządcy i arendarza. zostawiało ono po sobie ślady. ale też i publiczność nie mogła nic wymagać, bo i ona, nie przyrównywając. była tu tylko tolerowaną. jak krowy.

Na wiosnę zwykle szkoły i rodziny dostatniejsze odprawiały tu majówki. Zbierano się na wiejskie pikniki, a jeżeli niespodziany deszcz i burza pomieszały szyki. ansterya otwierała drzwi gościnne i obszerny salon zatęchły...

Na Pohulance mniej wybredni woleli zabawę, ale tu trzeba się było ograniczyć sosnowym laskiem, małym ogródkiem i przygotować na demokratyczne towarzystwo rzemieślników i robotników z miasteczka. świętujących dosyć ochoczo, a niekiedy zbyt hałaśliwie.

W obu tych miejscach kto żądał się wykwintniejszym czemś pokrzepić, musiał przynieść z sobą; na Pohulance bowiem nie było nic oprócz piwa, wódki, chleba, sera i obwarzanków, a w Piacenzy mało co więcej austerya dostarczyć mogła.

Nie dziw więc, że tej niedzieli o której mowa, korzystając z pięknego wieczora. gdy rodzina państwa Skalskich. właścicielei jedynej, uprzywilejowanej w miasteczku apteki, zapragnęła użyć przechadzki. jednogłośnie zgodzono się na Piacenzyą. Miało to swe niedogodności, aby się dostać do niej gdyż potrzeba było przejść długą. najeżoną chrustem. za czasów błotnistych narzuconym — groblę. młyn; minąć nieprzyjemne myśli rodzący cmentarz, i dopiero w prawo ścieżką piaszczystą dobiegać się do ogrodu. Państwo Skalscy wszakże woleli to zniesić. niż mieszać się z tłumem, z gawiedzią. która wrzawliwie szła szerokim gościńcem na Pohulankę. Oddać im należy tę sprawiedliwość. że o godność swą i dostojeństwo, o przyzwoitość niezmiernie byli dbałemi. Niektórzy demokraci miasteczka nawet. przezywali starego Skalskiego arystokratą. o co on wcale nie dbał. śmiał się z tego. a nawet tem chlubił. Był to człowiek bardzo majątny. umiejący niezłe po francuzku. zupełnie dobrze po niemiecku, mający trochę pretensyi do łaciny, ale nadewszystko do dobrego tonu. Od niejakiego czasu począł nchodzić za szlachcica. pieczętował się herbem, i przyjaciele jego puszczali wieść, iż pochodził z zubożałej rodziny. która wielkie niegdyś dobra posiadała w Sandomierskiem.

Pani Skalska była czystej krwi mieszczańką, ojciec jej burmistrzował, a dziad knpczył, ale tak się przejęła duchem męża, iż często schwycić ją było można na wyrzekaniu przeciwko tym łykom... od których pochodziła. Rozumie się, iż rodzice jak najtroskliwiej pilnowali tego. aby dzieci wychować na szlachciców. Pan Skalski oddawna zamyslał i kłopotał się jakby pozbyć apteki. a knpie wioskę i wywietrzeć z kamfory i opodeldoku. ale ilekroć przychodziło do pozbycia się oficyny sanitatis. na której starych okiennicach odmalowany był Eskulap i Hygia. żał się robiło przychodów jakie uprzywilejowana farmacya dawała. bo tych wioska. nawet najlepsza, wynagrodzićby nie potrafiła. Napróżno sama jejmość, którą

mocno obchodziła przyszłość dzieci. do której zaporą uważała zapach apteczny, nalegała na pozbycie się. próżno panna Idalia prosiła o to ojca. próżno się dąsał pan Roger. stary Skalski milcząc się ich pozbywał. ramionami ruszał. rękami wywijał, przyznawał do winy i... z apteki wyjść nie umiał. Oddawna wpadł był na pomysł szczęśliwy oddania jej w administracyą lub dzierżawę. tak aby na wszelki wypadek mieć zabezpieczony odwrót. jeźliby wsie nie dopisały. ale nie trafiał mu się nczeiwy kontrahent. Położenie czcigodnego pana Marcina Skalskiego było wistocie trndnem. choć mu niejednen dostatku i szczęścia zazdrościł. Dzieci dorastały. a wychowane były po pańsku. stworzone do innego świata, i z powodu tej apteki musiały wędnać w niewłaściwej sobie sferze mieszczańskiej. Panna Idalia wiedziała. że mieć będzie najmniej dwakroć sto tysięcy posagu. pan Roger spodziewał się na swoją schedę z pół miliona. mogli oboje znaleźć świetne partye. a wszystko rozbijało się o tę nieszczęśliwą aptekę.

Żyjemy wprawdzie w wieku zupełnego równouprawnienia wszystkich stanów i właściwej różnicy między ludźmi nic już nie stanowi oprócz wychowania i wykształcenia. jednakże. jednakże! ile to jeszcze pozostało wstrętów i uprzedzeń. o których jeźli się nie mówi głośno. myśli się po cichutku. lub zwierza tylko rodzinie i przyjaciółom.

Pan Marcin Skalski był wtem położeniu utrapionem. że dwa razy na dzień zmuszonym się widział pluć na arystokratów i w obec innych. bronić arystokracji, a psy wieszać na demagogach. Naprzykład jeźli jaki hrabia Turowski skłonił mu się protekcyonalnie. a ręki nie podał. musiał pan Skalski krzyczeć na przesady i bntę pańską. ale gdy stolarz Pękalski pod pozorem pokrewieństwa z jego żoną. przychodził za pan brat i siadał w salonie. pan Marcin oburzał się na demokratyczne obyczaje tych lyków.

Przyznacie. że to położenie pośrednie pana Skalskiego. stawało się w końcu nieznośnem, nie wiedział

do jakiego miał należeć świata i to go niecierpliwiło.

Sama pani śmieiej daleko liczyła się do panów i szlachty, a względem rodziny swej mieszczańskiej była surową, bardzo nawet surową.

O młodszem pokoleniu wychowanem w zasadach szlacheckich, nawet mówić nie potrzebujemy. Panna Idalia, śliczna, żywa, trzpiotowata brumetka, haftowała korony margrabiowskie na chusteczkach od nosa, herby na poduszkach kanwowych, nie mówiła prawie inaczej jak po francuzku i angielsku. (Jeżeli się zrzęcnosć trafiła) narzekała głośno na życie obrzydliwe wśród bruków miejskich, i wzdychała do zamążpójścia za dziedzica dóbr. Pan Roger, który świetnie skończył nauki w Berlinie, a tam poznał się był i żył na ponfałej stopie z najlepszą szlachtą Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, nabrał obyczajów pańskich, wegetował wprawdzie w kamienicy ojcowskiej, bo musiał, ale mu towarzystwo otaczające, ojcowski ów chleb, wszystko obrzydło. Mówił, że umrze z suchot, jeżeli się to nie zmieni.

Ma się rozumieć, że w miasteczku nie żył prawie z nikim, nie mówił prawie do nikogo. Kilka znajomości wiejskich stanowiły całe jego ponfałe towarzystwo. To usposobienie rodziny Skalskich nie mogło jej jednać wielu w mieście przyjaciół. Nie kłócili się oni z nikim, ale ich pocichu niecierpiano i wysmiewano mielitościwie.

Stary pan Marcin okragła figurka z łysiną i nosem formy pięknego kartofla, nie był wcale złym człowiekiem, dawał jawną sowitą gdy na niego patrzano, posyłał ofiary na pogorzelców, tam gdzie je drukowały dzienniki, grzeczny był niesłuchanie dla ludzi lepszego towarzystwa. Sama jejmość zupełnie się na wzór jego nksztaciła; była słodczy pełną dla ludzi wyższego świata, ale dla zbyt ponfałacych się przybłędów, przybierała postawę dumną, heroiczną, niekiedy nawet nieco śmieszną.

Mało z kjm żyjąc, rodzina Skalskich przepotęźnie

się mndziła. ztąd łakomą była wszelkich plotek. wiedziała co się działo na wszystkich nlicach. a nawet niekiedy co się dziać nie mogło. i sarkastycznie wyrażała się w ogóle o mieszkańcach. o których codziennie ocierać się musiała. Skalski na dnie powszednie przybierał dobrze wynuczony ton wyszukanej. zimnej. odpychającej pańskiej grzeczności. nim zbywał tych. coby się ku niemu nazbyt zbliżać chcieli.

Najnieszczęśliwszą z całej rodziny była panna Idalia. wyższego umysłu istota. wirtnozka na fortepianie, śpiewająca sopranem ostrym. literatka. trochę nawet poetka. jak mówiono. artystka duchem. myszająca się łatwo w sfery dla gminu nieprzystępne. — pozbawiona w tej dziurze, jak się wyrażała. wszelkiej karuni dla umysłu, zaspokojenia estetycznych swych pragnień, i t. p.

Dlatego też. z wielkiem matki ntrapieniem. zawsze prawie była w złym humorze i nadzwyczaj stawała się opryskliwą. jeźli uchowaj Boże się jej sprzeciwno. Tylko brat Roger rozumiał ją, co się tyczy rodziców. z temi obchodziła się z łagodnem politowaniem nad ich nieokrziesaniem i prostactwem.

Tej niedzieli wszyscy byli w domu jakoś. gdyż Roger często na wsi bawił u przyjaciół. i co dziwniejsza. zgodzili się wszyscy na przechadzkę, wotowali jednogłośnie za Piacenzą. Ani ojciec. ani matka nie odłączyli się od towarzystwa, które postępowało w porządku hierarchicznym. Przodem p. Skalski z parasolem w rękach skrzyżowanych na plecach. głowa do góry. brwi podniesione. okulary nieco opadłe. kapelusz niedbale narzucony. Obok pani Skalska w szalu lekim. z lornetką, której nigdy nie używała. u pasa. parasolikiem i nieodstępną starą Finetką, dla wielkiej otyłości ciężko wlokącą się u stóp pani.

W drugim rzędzie panna Idalia z oczyma przymrężonemi. wyprostowana, ale z wyrazem kwaśnym na twarzy.

Malarz byłby się litował nad nią. tak ładną twarzą. rzeczczkę zniemiał humor ów kapryśny. Roger obok

idący w letniem ubraniu, palił cygaro; był słuszny, chudy, miał bakenbardy angielskie ogromne i widoczny pierścień herbowy na palcu z kamykiem o dwóch warstwach. aby na białem tle insygnia szlacheckie wychodziły tem dobitniej.

Z początku milczano jakoś, pan Marcin sapał. jejność wzdychała. Finetka dyszała ze zmęczenia. panna Idalia była zamysłona. Roger ziewał dla dowiedzenia. że się nudził.

— Wiesz ojczyźnie co, rzekł na grobli, wiesz co. — powiem ci raz co mi dawno ciąży na sercu. to życie nie do zniesienia dla mnie. Jeżeli mamy dłużej pozostać w miasteczku. ja cię żegnam i ruszam w świat.

— Hę? odezwał się Skalski odwracając. co ci znowu?

— Roger jest szczęśliwszy odemnie, dodała Idalia. przynajmniej jest wolny. może iść w świat. gdy ja przykutą tu jestem jak grzyb, i grzybieję.

— Ale moje dzieci. rzekł powolnie aptekarz. wiecie dobrze. iż ja oddawna myślę o przeniesieniu się na wieś. to jednak nie może się tak zrobić jak z palca wywinąć. Stracilibyśmy wiele.

— Trzeba mieć umysł ku wznioślejszym zwrócony celom. odparła żywo Idalia. dla sprawy ducha, warto coś poświęcić. Nas dwoje, ja i Roger usychamy. trawiąc najpiękniejsze nasze lata w tej dziurze. Roger miał słusność. to nie do zniesienia.

— Dzieci biedne mają rację, mają zupełną rację, szepnęła matka. ja ci to niemal codziennie powtarzam. ale to jak groch o ścianę.

Biedny pan Marcin ruszył ramionami.

— Tak, tak! rzekł. gderzcie, gderzcie, dobrze to wam pleść, a Rogerek wszakże potrzebuje wiele. a Idalia lada czem się nie obejdzie: temu potrzeba Hallowanny, koni wierzchowych. sukni paryzkich. koszul webowych, a pannie koronek, fraszek, książek. nut. perfum i sukienek. Jeżeli stracimy część majątku. na to wszystko nie starczy, jasna rzecz. a my starzy

choćbyśmy najoszczędniej żyli. to także wiatrem i powietrzem nie wyżyjemy. dobrze to wam gadać.

— Ojciec nam wymawia szlachetniejsze gusta. a nimi przecie różnimy się od gminu. rzekła panna Idalia.

— Ale. dajcież mi święty pokój. nie wymawiam wam nic. radbym zaspokoić wasze gusta. i dlatego to właśnie ociągam się. abyście potem na mnie nie narzekali.

— Ociągam się. powtórzył syn. śliczne wyrażenie i dobitne. a my ciągniemy się za tym rydwanem ostrożności. i marnujemy lata złote. Z kim tu żyć. proszę ojca. człowiek rdzawieje. Jeszcze ja. mogę się odświeżyć. wyjechać. ale Idalka. ta więdnije w oczach.

— A cóż ja mówię. powtórzyła matka odwracając głowę. mnie serce pęka na nią patrząc.

— Bo jużciż. dorzucił Roger, nikt tu nie przyjdzie do apteki starać się o jej rękę. taki którego by ona przyjąć mogła. coby jej był wart.

— I do czego mnie było dawać wychowanie. talenta. wyższe wykształcenie, podchwyciła piękna dziewczica. jeżeli się to wszystko ma zmarnować w tej obrzydłej dziurze...

Roger westchnął. puszczając dym.

— Nie. to próżno. do ojca mówić. błagać. prosić. przedstawiać. nie pomoże. zmusisz mnie do jakiego kroku rozpaczliwego.

— A ja. doprawdy suchot dostanę. lub oszaleję. szepnęła półgłosem panna.

— Widzisz! widzisz! zawołała aptekarzowa. a cóż ja ci codzień powtarzam! Ale ty jesteś uparty jak kamień, uic i nic, mów. proś. płacz. jak kamień. prawdziwie powiadam. że ten człowiek nas o śmierć przyprowadzi swoim norem.

Napadnięty w ten sposób nieszczęśliwy pan Skalski. zaniemiał na chwilę. brakło mu środków do obrony, czuł zresztą. iż był winnym. i w duszy przyznawał się do grzechu. Nie pierwszy to już raz rodzina szturm taki nań przypuszczała. odparł go zwykłym sposobem.

— Ale poczekajcież, już to się wszystko rychło załatwi, mówię rychło, nim rok upłynie. Mam napiętego kontrahenta.

— Napiętego kontrahenta! drwiąco powtórzył Roger, doskonale wyrażenie! cha, cha! Ale przyznaj się ojcie przedwieczny, dodał niby dowcipkując, że żywisz potajemną nadzieję zadzierżawienia apteki, nie sprzedania, i chcesz aby nad nami to aptekarstwo wiecznie wisało jak miecz Damoklesa. A to tylko przez chciwość i skąpstwo.

— Jeszcze ty mi będziesz skąpstwo wyrzucał! odezwał się oburzony rodzic, czy ci czego zabrakło? żałuję ci na twe fantazyc?

— Bo wiesz, że tegobym nie zniósł, odezwał się Roger z dumą, ale jesteś skąpy i ciasnowidzący. Tak, jak gdyby na wsi nie można również grosza robić...

— Zapewne, ale nie ja to potrafię, bom całe życie spędził u moździerza, a nie na polu.

— Co też ojciec gada! po co to mówić! zerwała się Idalia, cela soulève le coenr. u moździerza! affreux! przecież papa sam gospodarować nie potrzebujesz, i będziesz miał rządce.

— Tak, tak, żeby mnie kradł, jak pan Mamert Turrowskich, bo wkrótce pono na to wyjdzie, że on się stanie bogaty, a oni pójdą z torbami, przerwał aptekarz. Zostawcie to mnie i bądźcie spokojni.

— Słyszeliśmy to, zawołała Idalia, nie jeden, ale tysiąc razy. Jak tylko papę naciśniemy, zawsze nam odpowiada, bądźcie spokojni, a czas upływa...

— I cierpliwości braknie na to niedoleźstwo ojcowskie, rzekł Roger, cela dépasse les bornes... Trzeba mnie było wychować na farmaceutę, a Idalkę na klnicznice, toby było logiczne.

Przybyty ojciec spuścił głowę, milczał.

— Widzisz! widzisz! powtórzyła obyczajem swym żona, ja ci to samo codziennie mówię. Dzieci mają rację, są jeszcze bardzo delikatne, bo zważ jakie masz

dzieci. Pan Bóg ci dał takie, któremi się pochlubić można, a ty marynujesz, powiadam ci.

Panna Idalia słysząc o marynacie, traciła brata łokciem, rozśmiali się oboje z matki. Rozmowa byłaby nie wiem jaki obrót przybrała, a Skalski się zaczął niecierpliwić nieco i mógłby był niedorzeczność jaką dzieciom powiedzieć, co by scenę wywołało, gdy na szczęście ukazała się postać nowa, szybkim krokiem zdążająca od Piacenzy, ku państwu Skalskim.

Był to mężczyzna słusznego wzrostu, krzepki, ale nie otyły, ubrany po prostu w płócienny surdut i takąż resztę sukni, w okularach, z kijem grubym w rękę. Rysy jego twarzy rozumne, mówiące, energiczne, jak od siekiery były wyciosane. Czoło miał kwadratowe, wystające, oczy pod niem duże, wypukłe, zwisłemi brwiami okryte, nos prosty, kształtny, usta nieco wydatne, brodę równie kwadratową jak czoło. Nie był wcale pięknym, ale oblicze to obudzało uszanowanie, będąc wyrazem silnej woli, opartej na jasnej myśli. Czuć było nań, że ten człowiek nie zawaha się ani prawdy powiedzieć, ani obowiązku dopełnić.

Mimo pozornej surowości, twarz wyrażała zarazem dobroć i spokój — znał mię duszy, która drogę swą znalazła i śmiało podąża ku oznaczonemu celowi.

Zdała już państwo Skalscy dojrzeć tego pana idącego ku nim szybko. Aptekarz odetchnął, pani przybrała minę skromną, na licu Rogera odmalowała się niemal wzgarda. Idalia widocznie samem wejrzeniem na natręta była znużoną.

Syn i córka przewidywali już że im przerwie szturm przypuszczony do ojca. Nadchodzącym był doktor Maksymilian Mylin, którego sam stosunek z aptekarzem, wydawał się dzieciom upokarzający. Skalski czuł się do pewnych względów dla doktora, niezmiernie ulubionego i wziętego w okolicy, obowiązany, — Rogerowi i pannie Idalii, doktor przypominał obmierzałą tę aptekę, na której ojciec dorobił się majątku. Nie lubili go też oboje, i z tego powodu, że im prawdę mówił, często bardzo gorzko, niedając się onieśmielić ani

wielkimi tonami Rogera. ani francuzczyzną panny Idalii, często jeszcze w głos. publicznie, poprawiając w niej omyłki.

Mylius był w isocie strasznym człowiekiem. Wszyscy niemal lekarze, w których rękach jest życie i śmierć ludzi, nawykając do nadzwyczajnych względów i grzeczności jakie im okazują nieszczęśliwi będący na ich łasce—przybierają powoli ton dosyc gburowaty, rażący. niemal dumny. Któżby im tego nieprzebaczył przy pracy, podrażnieniu, wrażeń, na jakie są wystawieni? Miał może i doktor Mylius nieco tej doktor-skiej surowości, ale w nim prawdomówność bezwzględna rodziło głębokie przekonanie, iż ona ludziom jest potrzebną, zbawienną i należy do obowiązków sumiennego nie tylko lekarza ale człowieka. Nigdy też nie prowadziła go ona do gburowstwa. do zapomnienia się; w formie nader przyzwoitej, z uśmiechem umiał najboleśniejsze zawrzeć przestrogi.

W miarę jak Mylius się zbliżał. twarz pana Marcina Skalskiego nabierała tego rozpromienienia urzędowego, z jakim każdy grzeczny podkomendny. witać zwykł swojego pryncypała. Jejmość zawahała się czy naśladować prototyp swój, męża — za którym szła ilekroć dzieci jej nie przeszkadzały, czy kochane dziatki, które doktora szczerze nie lubiły. Oblicze jej więc zostało martwym i wywiesiło neutralną flagę.

Mylius zawołał, o kilka kroków będąc od nich:

— Otóż to przykładna rodzina! Witam! ojciec, matka i dziecięcki razem, zgodnie, pięknie. niewimnej używające rozrywki. Widzę, że państwo zdążacie do Piacenzy.

Tu nastąpiły ukłony.

— A tak, odezwał się skromnie nader aptekarz, wyszliśmy użyć świeżego powietrza; szczególnie dla młodzieży potrzebnego, Idzia pokaszliwa.

— O! o! o! przerwał doktor z uśmiechem—niech ni panna nie waży się kaszlać. bo skażę na bardzo gorzki mech islandzki.

— Nie kaszlałabym dla satysfakcyi — odparła Ida-

lia, ale to powietrze miejskie — nieznośne, ciężkie. cuchnące.

— O! o! o! odpowiedział doktor — proszę! proszę. powietrze miejskie! doprawdy żyjąc w niem lat trzydzieści. nieopatrzyłem się, żeby tak było zabójcze! Przecież pani się w niem urodziłaś. wychowałaś. rodzice także, i jakoś do tej pory było znośnem.

Panna Idalia zrobiła minkę pogardliwą. ruszyła z lekka ramionami.

— Wierz mi pani. dodał Mylius. choćby jako doktorowi, mało miasteczek i niewiele wiosek. mają tak zdrowe powietrze jak nasze. Nie jesteś pani delikatniejszą od innych. Co się tyczy chorób piersiowych, te u nas są nader rzadkie.

— Tak — przerwał Roger — w klasach niższych przy silniejszej budowie, ale szlachetniejsze organizacje?

— O! o! o! rzekł doktor, uśmiechając się. co też mi to pan Roger prawi! o! o! o! Szlachetniejsze organizacje same się zabijają niedorzecznem życiem. Próżnowanie. siedzenie, tytuł. rozpuszczenie fantazyi na cztery wiatry was zabijają. Lnu nie ma wygod jakiego macie, musi pracować rękami. narażać się na wpływy atmosferyczne często szkodliwe a życie i zdrowszy jest, bo dla niego trud stanowi tę gimnastykę. którą wam zalecam nadaremnie. Niechby panna Idalia spróbowała szwedzkiej gimnastyki, zajęcia w ogródku. nakazała sobie sama dobry humor. a kaszel by przeszedł i bez mchu.

— Na nieszczęście, odparła powolnie piękna panna. znacznej części rad pana doktora usłuchać nie jestem w możności. Niecierpię gimnastyki. nie lubię ogrodu, nie umiem pętać mej wyobraźni i nakazywać humorowi.

— To źle, to bardzo źle — rzekł Mylius. ale czas. większy odemnie. lekarz. jakoś to naprawi. Komużby wolno było kaprysić bezkarnie jeżeli nie pięknym pannom?

— Pan to nazywasz kaprysami?

— Przepraszam! o! o! o! słowo mi się wyrwało niebacznie, ale już go nie cofnę.

To mówiąc, doktor Mylius zabierał się iść dalej.

— Wracasz pan do miasteczka? zapytał Skalski.

— Muszę, mam chorych, chociaż to pora może najzdrowsza z całego roku, ale między biednymi febrę panują. Musiałem biec na wieś gdzie wiesniak złamał nogę, a teraz dążę do moich ubogich chatek na przedmieściu nad stawem, gdzie zimnice mnie czekają.

— Słowem, że pan jesteś niezamordowany, rzekł grzecznie aptekarz.

— Owszem, jestem nawet bardzo zamordowany i serdecznie by mi się chciało wyciągnąć na sofce z książką w ręku, ale obowiązki!

Uklonił się grzecznie i pośpieszył do miasteczka.

— Co za nieznosny gbur! zawołał Roger. Zdaje mu się, że odgrywa nieźle filozofa wiejskiego, *un medecin de campagne*, Balzakowskiego. Niespotkałem w życiu nudniejszego człowieka.

— Tak, tak, ale też to jest najuczciwszy człowiek w świecie — rzekł Skalski, już ty mi na niego nie mów.

— Doprawdy? rzekł szydząc syn, miałbym przed powagą ojcowską złożyć w ofierze przekonania moje? Przecież ja ojcu nie zabraniam go nazywać najuczciwszym, proszę więc o pozwolenie nienia go za nudniejszego, cha! cha!

Idalia dodała cicho:

— Niedźwiedź! zdaje mi się, że każdy ma taką chłopską naturę jak jego.

— Dajcież pokój — przerwała matka, kiedy to ojca drażni.

— Mnie to nie drażni, prędko dodał Skalski. Niech sobie mówią co chcą, zdania są wolne.

— A spodziewam się, zawołał Roger, dziwnie byłoby, żebym tatę miał pytać co mogę trzymać o ludziach. Ale to dziś — dodał nagle — dzień feralny,

widzę naprzeciwko nas idących znowu dwóch miejskich gburów.

Byli to właśnie z cmentarza wychodzący Szurma i Walek Luziński.

ROZDZIAŁ III.

Walek Luziński, którego historyi dowiedzą się później czytelnicy, młodym chłopięciem będąc, najniefortunniej pokochał się był primo impetu w pannie Idalii, naówczas gdy jeszcze w krótkiej snkiencie chodziła na pensyą. Pierwsza miłość jakiegokolwiek przebywa koleje, jakkolwiek bądź się skończy lub zwinie, niezatarte ślady zostawia po sobie. Idalia patrzyła z pogardą na odartego chłopaka, już naówczas czując się do wyższych przeznaczeń powołaną, napróżno starał się jej przypodobać, odtrącony niełitosciwie, szydersko, pierwszą miłość zmienił Walek na pierwszą i na wieki poprzysiężoną nienawiść.

Początek dziecięcego owego romansu nader był prosty. Spotykali się w ulicy chodząc do szkoły. Idalia śmiała się z niego. Walek nigdy dwóch słów nie przemówił do niej, ona wiedziała doskonale, że się w niej kochał, on pojął wprędce, że go jak sierotę i biedaka z dumą obrażonej bogini — popchnęła. Mimo to, zdawało się pannie Idalii, że na dnie tego serca niewielbienie dla niej pozostać musiało.

Nie myliła się może. ale miłość to była osobliwego rodzaju. na wpół z nienawiścią. namiętna do szalu i przesiąknięta żądzą zemsty. Gdy Walek spoglądał na nią. z oczów jego tryskały groźby. których przstraszyć się było można.

Panna spotykając go później mimowolnie w towarzystwach. do których się czasem wciskał. obchodziła się z nim tak nielitościwie. iż uczucie nienawiści zwiększyć się jeszcze musiało.

Walek Luzziński nie był bardzo ponętny. to prawda. miał wad więcej niż przyniotów. był nbogim sierotą. ale trochę litości nad nim mogło się znaleźć dlań w sercu czulszem i więcej niewieścim.

Z panem Rogerem znali się i nieznali. bo młody Skalski spotykając go. odwracał głowę i udawał że niewidzi.

Postępowanie rodziców względem chłopaka musiało być inne. zachodziły tu znowu pewne względy przyzwoitości. Walek był wychowancem na opiece doktora Mylinsa. który chciał z niego lekarza uczynić. a zrobił literata. próżniaka i niezdarę. Pomimo doznanego zawodu. stary się przywiązał do tego niefortunnego dzieła rąk swoich; obrażając Luzzińskiego. lękał się aptekarz zniechęcić sobie Myliusza. Kłaniał mu się więc grzecznie. uprzejmie uśmiechał. ale przez wzgląd na dzieci nie zbliżał i nie zapraszał. Był biedak miedzy młotem i kowadłem.

Szurma inżynier. towarzysz Walka. znanym był rodzinie aptekarza. ale nie należał do jej ulubieńców.

Ani Roger ze swemi pańskimi gustami. ani artystyczna. fantastyczna i poetyczna panna Idalia nie znosili człowieka rachunkowego. prozaicznego. zimnego. nie dającego sobie niczem zaimponować. pewnego siebie do zbytku. a dodatkowo. wyznającego głośno zasady demokratyczne. najskrajniejsze.

Pan Szurma był grzeczny. ale nie miał pochlebiać. panna Idalia. która by za niego nigdy w świecie nie poszła. choć mówiono. że się dorabiał pięknego majątku i był na prostej drodze do fortuny—miała mu

może i to za złe. że ważył się. widując ją, w niej się nie zakochać. Byłoby mu to przebaczone, gdyby inną miłość miał w sercu. ale Szurma swobodny. dopuszczony niejednokrotnie do podziwiania dowcipu. nauki. talentów tej Korynny. wcale się niemi nie ukazał poruszoną. przyklaskiwał chłodno. nie mosił się. Tego mu darować nie było można.

Spotkanie na niezbyt szerokiej drodze dwóch naraż nieprzyjemnych figur zachmurzyło oblicza młodej pary. chociaż nie groziło ono właściwie niczem innem tylko wymianą ukłonów. było wcale nieprawdopodobnem, aby wracający z cmentarza przyczepili się do państwa Skalskich.

— Tylko niechże ojciec ich nie zaczepia i nie zatrzymuje — odezwał się Roger nakazująco — bardzo proszę. Ojciec ma zawsze zwyczaj szafować grzecznością i ośmielać do zbytku ludzi z którymi my żyć nie możemy.

— To prawda, dorzuciła Idalia. Ojciec jest do zbytku grzeczny, nawet dla takich Walków. podrzutków i dla takich chłopskich synów jak ten Szurma.

— Ale cichoż. cicho! gotowi posłyszeć! zawołał przestraszony aptekarz.

— To niech sobie słyszą. dodał Roger ruszając ramionami — mniejsza o to...

Walek zdaleka poznał rodzinę. którą nienawidził. usta mu się wykrzywiły dziko. oczy błysły ogniem, jednak poprawił ubiór zaniedbany.

— Zmiłni się. rzekł do Szurmy — nie przyprowadź mnie o kłopot i nie zmusz, bym sam odszedł. Jeżeli zechcesz ze Skalskimi wdać się w rozmowę, będę cię musiał porzucić.

— Pozbawiasz mnie wielkiej przyjemności — odpowiedział śmiejąc się Szurma. co mi to szkodzi. że ten paniczek na mnie nosa krzywić będzie. że zechce się mnie pozbyć coprędzej, aby go w mem towarzystwie kto nie spotkał. radbym mu właśnie na złość trochę ich pomdzieć i struć im przechadzkę. Z głupich zawsze wolno żartować.

— Ale nie zawsze warto — przerwał Walek. uprzedzam cię, że mi wyrządzisz przykrość, i że cię tu z nie-mi porzucę.

— Ale ja nie mam wcale zamiaru wdawać się z niemi w rozmowę, śmiejąc się nspokajał go Szurma.

— Psia droga! zawołał Walek, trzeba żeby nie można ich wyminąć, a ruszyć przez pole, to pomyślą, że się ich lękam, czy co...

— A! człowiecze niespokojnego ducha — chłodno odezwał się inżynier — cóż ci szkodzi wejście? o mnie się ono obija jak o skałę, choćby było pełnem jadu, zdradzasz swą słabość, jeśli się go lękasz. Na wzrok odpowiedz wzrokiem, mając siłę, czegożś tchó-rzysz?

— Nie tchórze, nie! mrnczał Walek zaciskając usta, ale nienawidzę tych ludzi, kłamać nie mniem.

Inżynier się nśmiechnął.

— Dzieciak jesteś.

Rozmawiając, zbliżyli się — ostatnie kroki przeszły w milczenie. Pierwszy Skalski, mimo przestrogi troskliwych dzieci zdjął kapelusz. Szurma go pozdrowił. Walek ruszył także swój słomkowy i — drapnął z miną nadąsaną. Tymczasem inżynier, jakoś mimowolnie czy na złość zatrzymał się chwilę.

— Widzę, że panowie wychodzicie bodaj czy nie ze cmentarza? rzekł Skalski, przechadzka wcale nie rozrywająca.

— Mielismy powody, odezwał się Szurma. Chciałem zobaczyć jak wygląda grobowiec hrabiny Turowskiej, na który dawałem rysunek, a w dodatku, intrygował nas ten... wielki nieznajomy. Widzieliśmy go wchodzącego na cmentarz.

— A! nieznajomego jegomosci! odezwał się zaciekawiony aptekarz.

— Tak jest, błądził między grobami.

— Między grobami? potrząsając głową, rzekła pani Skalska — osobliwsza rzecz... między grobami.

— Przecież nie ma w tem nic tak nadzwyczajnego, śmiejąc się odezwała panna Idalia, przechadzka jak inne.

— I cóż? jakże? mów pan! spytał Skalski — co robił?

— Nic — chodził. a chodził jak się zdaje do mogił ubogich. przynajmniej tamęśmy go spostrzegli.

— Proszę. mogiły ubogich! osobliwsza rzecz! powtórzył aptekarz, w tem wszystkiem jest tajemnica. jest...

— Jest! dodała aptekarzowa.

Dzieci zaczęły się tembardziej śmiać. że rodzice brali rzecz na seryo. Szurma przypomniał sobie Wal-ka. który zły pędził ku miastu. pożegnał towarzystwo i odszedł.

Ale właśnie, w chwili, gdy Skalscy mieli iść dalej mijać wrota cmentarza, naprzeciwko nich, zjawił się ów wielki, ów tajemniczy nieznajomy.

Od czterech tygodni nie mówiono o niczem w miasteczku tylko o nim. dlaczego? dlatego zapewne. że nie miano się czem lepszem zająć — jednak państwo Skalscy widzieli go tylko zdaleka. a żadne z nich nie miało wyobrażenia o twarzy, której nader byli ciekawi.

Nieznajomy wymknąć się im tym razem nie mógł, droga była jedyna i dosyć wązka.

Rogera i Idalię mało to obchodziło, jak mówili, ale starzy nie taili się wcale z tem. że radziby go zobaczyć.

W milczeniu zbliżano się z obu stron. Nieznajomy mężczyzna spostrzegł zdala idących. i obrachował się tak. aby mijając ich, głowę obrócić w stronę przeciwną. nie dając im dojrzeć swej twarzy. Napróżno Skalski wyciągał szyję, sprawdził tylko skromny nader ubiór przechodnia, nie więcej.

Odszedł już był kilkanaście kroków. gdy młodzież śmiać się zaczęła. a pani zawołała:

— Otożęśmy się wiele dowiedzieli. nawet nam nosa nie pokazał!

— Niósł w rękę bukietik kwiatów. pewnie na grobie urwany! hm! rzekł Skalski, ma to swe znaczenie. małego usposobienie człowieka.

— Stosowne do jego wieku — dodał Roger, bom postrzegł, że nie jest zbyt młody.

— I nie ma w sobie żadnej dystynkcyi, przemówiła Idalia, człowieka lepszego towarzystwa po jednym nieczem poznać można. ubiór populary. prawie zaniedbany.

— A jednak to zagadka! dorzucił stary niezmiernie rad temu, że rozmowa na inne pole się przenosi — to zagadka! Jak żyje nie pamiętam. ażeby kto z dobrej woli przyjeżdżał u nas zamieszkać. Wreszcie gdyby i tak było, toć się każdy stara porobić stosunki z ludźmi. a ten nietylko że ich nie szuka, ale unika jak najstarszemu.

— Ale cóż nas to wszystko obchodzić może? odezwiała się Idalia, nie pojmuję tej ciekawości. jaką lada populary człowiek obudza w tłumie.

— Populary człowiek, powiadasz. podchwycił ojciec, starając się rozmowę utrzymać w tym przedmiocie. aby znów na kark jego nie spadała; nie zupełnie też jest populary, choć przyznaje. że pozór na nie osobliwszy. Najprzód to pewna. że przy stroju skromnym i powierzchowności nie uderzającej. jest majątny. nawet bardzo majątny. Najął cały dworek od Monugiewiczów z ogrodem. i cały zajął sam. Mówią. że gdy jego paki różne zwozić zaczęto, nie było temu końca. Co w nich się zawiera. o tem jeszcze nikt nie wie. bo je ponstawiano nie otwierając. Meble sprowadził z Warszawy. fortepiany dwa, organ.

— To chyba jaki artysta dymissyonowany. przerwała Idalia, ale nie ma wcale fizyognomii artysty, nie, nie.

— Pienędzy na nie nie załuje, chociaż widać. że nawykł do życia prostego. bo wziął prostą kucharkę. starą Kazimirę. co była jakiś czas u X. Wikarego. Widać że obiadów dawać nie myśli.

— O! to pewna! powiedziała Skalska. Kazimira tylko kilka rzeczy jako tako umie sporządzić.

W czasie tej rozmowy Roger ruszał niecierpliwie ramionami. gwałtownie pędząc dym z cygara. aż

na ostatek wybuchnął. bo nie mógł wytrzymać, żeby ojca nie zburzyć.

— Ale dajże już pokój. ojciec. daj pokój tym plotkom dzieciuym! Ze też nie możecie się oduczyć tego parafiańskiego interesowania się łada dzieciństwem, tego wścibiania nosa w sprawy cudze. Co nas to może obchodzić!

Córka dodała:

— Roger à raison. c'est d'une petitesse...

Ojciec ruszył ramionami, matka się cicho ujęła za niego.

— Dajcież bo ojcu pokój.

— Mama także na to choruje. zawołała żywo Idalia. i dla tego ojca broni, ale to jest w świecie najnieprzyzwoitszą rzeczą. taka ciekawość czcza. dziecinna. jak dobrze mówił Roger.

— Mówcież sobie o czem innem. ja milczę. basta! rzekł aptekarz.

Jakoż znowu podniósł głowę do góry z rezygnacją człowieka. który nawykł do jarzma. noszonego codziennie. i z pogodną twarzą skierował się ku Piacenzy. którą widać było w oddaleniu.

Blżej jeszcze nad gościńcem. rozległa się ogromna austerya. o której wspominaliśmy. otoczona palisadą swego podwórza. stajniami. oborami i ogrodem warzywnym. Na szosie mnóstwo wozów wieśniaczych stało przed nią. których właściciele zasziłi się byli w gospodzie ochładzać. Konie z pospuszczanemi głowami gryzły rzucone im na podwórku siano. Tuż nad szosą była kuźnia. z której się kurzyło mimo niedzieli. powóz wyprzeżony. złamany. oparty na drągu widać było z daleka. który znać naprawiano do dalszej podróży.

Wszystkie lornetki skierowały się nań prawie jednocześnie, i Roger, sędzia kompetentny w tym przedmiocie. zawyrokował. że takiego kocza w całej okolicy nie ma. że to jest ktoś z daleka, a nawet może z zagranicy. bo budowa powozu zdradza pochodzenie wiedeńskie. lub może nawet londyńskie.

Cała rodzina napatrzywszy się zdążyła wygodnemu

i pięknemu ekwipażowi, który nlecił tak smutnemu wypadkowi pod samem prawie miasteczkiem, poszła zażywać pięknego wieczora, w cieniu ogrodu dawnego Piaceny. Nie było tu z miasta nikogo, co poniekąd dogadzało aptekarstwu, ale mnożyło miedę śmiertelną, na którą wszyscy w tej rodzinie chorowali, jeżeli ich nie spotkało szczęście otarcia się o to wyższe towarzystwo tak npragnione, chociaż ono się obchodziło ze Skalskimi, jak Skalscy z niższymi od siebie. Ale im, jak wielu innym w położeniu podobnem, nie szło o przyjemność obcowania, tylko o rozgłos stosunków i chlubę, jaką się z tego ciągnęło. Opłacało się ją niejedną przykrością, cóż w świecie przychodzi darmo?

Skalscy mieli ulubiony samotny swój kątek, na ruinach Belwederu. Potrzeba się do niego było drapać, rozbijając gałęzie splątane drzew i koląc o krzaki, tu jednak byli pewni, że ich gawiedź miejska nie doścignie, i że się nikt nie przyczepi. Wszedłszy z zarosła, panna Idalia która najlepiej znała drogę, wybrała się przodem śmiało, rozgarnęła leszczyny, przebiła się przez bzy i dosięgała już schodków, gdy podniósłszy główkę, w chwili stąpienia na kamień, z cichem — ach! cofnęła się jeżeli nie przestraszona, to zdziwiona. Na wierzchołku Belwederu stał w stroju podróżnym bardzo wytwornym i pańskim młody mężczyzna, trzymając przed oczyma lornetę teatralną, przez którą rozpatrywał okolicę.

Łatwo się było domyśleć, iż to być musiał albo właściciel złamanego powozu, lub jeden z podróżnych co nim przybyli. W okolicy na mił kilka około znali się wszyscy, a piękny ów arystokratycznie wyglądający młodzieniec, nie należał do autochtonów.

Przyjemna ta niespodzianka rozjaśniła lica panny Idalii, której piękna, ożywiona twarzyczka zabłysła całym wdziękiem młodości, przybrała stosowną pozę do okoliczności, i gdy odjąwszy lornetę, młody człowiek spojrział na to zjawisko uczyniło ono na nim, bezwątpienia, niepospolite wrażenie.

Znużonemu drogą, skłopotanemu opóźnieniem

gdy się w powozie coś złamie. zaprawdę miło jest w chwili, gdy się ziewa na przymusowej przechadzce. nprzeć nagle przed sobą śliczną panienkę. zwłaszcza jeżeli spotkana Nimfa przybierze postać naiwną. zdziwionej. prostodusznej. Bogu ducha winnej. a jak aniołek pięknej wiesniaczki.

Taką wydała się panna Idalia podróżnemu. który zrozumiał zaraz. że wstępującą na tę wyżynę. przestraszył i przeszkodził jej. W chwili gdy się zbierał na grzeczne usunięcie się z placu. z za krzewów ukazał się okrągły ojciec. matka z podniesioną suknią i Roger z cygarem w ustach. Idalia stała jedną nogą na kamieniu. niby pierzchliwa lania zahierająca się do odwrotu. Podróżny z lornetką w ręku. pośpieszał z Belwedern. ahy nadchodzącym nie zawadzać. gdy Skalski. człek bardzo grzeczny. a lubiący zabierać nowe znajomości zwłaszcza z temi. których suknie modne dobrze o nich nprzedzały. ozwał się z za córki:

— Nie przeszkadzamy! zmieścim się tam wszyscy. widok jest piękny i godzien wejrzenia.

Idalia poparta rodzicielską powagą. zgrabnie pokamykach pięła się ku idealowi. nśmiejającem się do niej na górze. a że ostatni schód był wysoki. grzeczny nieznajomy podał jej rękę. Ledwie dotknąwszy dnuiską rękawiczkę jego. piękna panna znalazła się na górze. Wejrzenie na podróżnego nie zostawiało najmniejszej wątpliwości. że musiał być wielce dystyngowaną figurą. Roger. znawca w tym przedmiocie. nie wahał się mu sklonić jako pobratymcy. chociaż zdawało mu się. że go nie zna. ale gdy się sobie nawzajem przypatrywali. nieznajomy zawołał:

— Mais. mon Dieu. nous sommes en pays de connaissance. Monsieur de Skalski n'est-ce pas?

Roger żywo podał mu rękę.

— A! gdzież miałem oczy. zawołał. wszak pan baron Helmold Kaptur? przepraszam. mais j'ai la vue basse.

— I któżby się mnie tu mógł spodziewać. na tych

ruinach i w tym kącie. odrzekł Helmold. dziwny przypadek. złamana oś na drodze.

— Moi rodzice. moja siostra! rzekł Roger prezentując.

Skalska dygnęła fatalnie i kompromitująco, ale Roger powiedział sobie. że tego baron nie spostrzegł.

Idalia była rozpromieniona. Bóg tylko wie jak jej język świerzbiał. żeby oczarować francuzczyznę. wymową. urokiem. biednego barona. obłązonego w Belwederze.

— Cóż pan baron tu robi? zapytał Roger. wpadając w humor doskonały. od czasu jakem go miał przyjemność widzieć w Warszawie u hrabiego. byłem pewny. że powrócił do Galicyi.

— Miałem wrócić! westchnął baron, mais. que vonlez vous? on est si bien chez vous! Poro-bilem znajomości. otrzymałem zaproszenia. i nie mogłem się oprzeć ponęcie i podróżuję po Królestwie. a teraz jadę. to jest. jechałem do Turowskich. to gdzieś tu w sąsiedztwie.

Rozmowa. której francuzczyzny powtarzać nie będziemy. ciągnęła się tak więcej po francuzku. niż po polsku. łamana. niezrozumiała. ale zawsze w najlepszym tonie.

— A! mais c'est une bonne fortune pour nous. panie baronie. chwytając go za rękę rzekł Roger. moi rodzice. którzy mają tu dom w mieście. i na teraz w nim przebywają. przypadkowo. dodał ciszej. bardzo będą szczęśliwi. zabierając barona do siebie. Każemy powozowi tam do nas zjechać. a sami na herbatę pieszo pójdziemy. W imieniu rodziców je vous fais prisonnier.

— Prosiemy pana barona koniecznie. prosimy. nie puścim. odezwał się stary Skalski.

— Nie puścimy. dodała jejmość.

Baron kłaniał się. ale szło mu o potwierdzenie zaprosin przez piękną pannę zapewne. i oczy zwrócił na Idalię. a ta nim się nader wdzięcznie nśmiechnęła. Po-

zostawało więc tylko przyłączyć się do tego towarzystwa, i wiuszować sobie szczęśliwego spotkania.

Roger i Idalia byli uszczęśliwieni, ojciec rozradowany, matka trochę się kłopotala już ideą herbaty dla dostojnego gościa, za którą miała bnrę odebrać od córki, ale musiała faire bonne mine à manvais jen.

Serce panny Idalii biło żywo. Jakkolwiek nie przesądna wcale, wysmiewająca chętnie wróżby i łatwownych co im dawali wiarę, widziała w tym całym wypadku coś jakby od losów przeznaczonego. Ona pierwsza ujrzała młodzieńca, jego oczy padły na nią najprzód i zatrzymały się na niej z podziwem i uwielbieniem, niewątpliwie musiał to być kawaler bogaty, à la recherche de l'inconnue, jadący do hrabianek Turowskich, któremu ona jak rozbójnik na drodze, serce z piersi wydrzeć była predestynowana.

Kipiała i wrzała, że jej się odezwać dotąd nie dano, ale czarowała go wzrokiem i pełnemi wdzięku pozami artystycznemi. Młodzieniec, grzecznie rozmarwiający z rodziną, nie spuszczał z niej oka. Rachowała, że w ciągu przechadzki, herbaty, może wieczora, potrafi go zachwycić, zbałamucić, pociągnąć ku sobie.

Mylilby się, ktoby sądził, że serce młodej panny najniżej w tem ndział miało. Wiek nasz nie jest epoką sentymentalizmu, nie kochają się dziś tylko ludzie prości i złego wychowania, w lepszym towarzystwie rachnba, czasem chwilowy kaprys, fantazyja, namiętność zastępują nczucie. Idalia potrzebowała świetnie wyjść za mąż i plaszczem hrabiowskim, lub szlachecką dostatnią koroną pokryć atrybuta ojcowskiego powołania. Gotową więc była nśmieczać się pierwszemu konkurentowi, jaki się trafił, byle z góry założonym odpowiadał warunkom. Wychowanie bardzo rozumnne, w dnem wieku, zabezpieczało ją od tego co się zowie miłością, ideałem dla niej nie był człowiek, ale to w co oprawnym go znajdowała, położenie towarzyskie, akcesorya.

Byłaby zapalczywie się dobijała o siedemdziesięcioletniego starca, byle jej przyniósł mitrę książęcą.

Cóż dopiero baron. ładny, młody mężczyzna — a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, bogaty, i jadący do tych nieznośnych Turowskich, których zaraz poznamy!

Przyznasz pan baron, odezwał się wymownie Skalski, który w obec nowych osób zawsze się starał być jak najwyszukańszym w słowach — przyznasz pan, że okolica nasza należy do najpiękniejszych w kraju. Jest żyzna, obfita, i zasiana pamiątkami przeszłości, roślinność bujna, drzewa wspaniałe, wielka powaga w krajobrazie.

— Dlatego też znaleźliście mnie to państwo w admiracyi nad nią, zapatrzonego.

— Ojciec mówi o tym kątku, rzekł Roger, ale to zawsze miasteczko jeszcze, to nie cicha, majestatyczna w swej prostocie wieś nasza, trzeba widzieć szlacheckie dwory skryte w głębi tych lasów. i...

— Pan baron jedzie z Galicyi? odezwała się Idalia, wątpię, żeby po jej pięknościach nasze płaszczyzny i bory bardzo go zachwyciły. Galicya jest więcej urozmaiconą.

— Miejscami, odparł baron, jakoś nie myśląc się rozszerzać o rodzinnym kraju, ale ja owszem te okolice znajduję bardzo pięknymi. Czy Turowscy daleko stąd mieszkają?

— Hrabiowie Turowscy, przerwał Skalski, — których znajomością się szczycimy — rezydują o półtóry malej mili od nas, w Turowie, tak, półtóry, a raczej dobra mila z ogonem.

Ogon wyrwał się mimowoli aptekarzowi, i dzieci skarciły wzrokiem to nazbyt ponafale wyrażenie się.

— A! westchnął baron, byłbym więc, gdyby nie ta oś, stanął przed wieczorem.

— My oś zlaną błogosławimy, zawołał Roger, a że nie może być naprawioną tak rychło, o Turowie dziś ani myśleć, zabieramy pana do siebie.

Tak! rozśmiał się aptekarz. Zajdziemy ku ansteryi, każemy powozowi przyjść do miasteczka wprost na pocztę, a sami wracamy z jeńcem naszym.

Idalia zwróciła oczy milczące, ale wymowne ku jeńcowi, który się uśmiechał.

Roger tryumfujący ścisnął go za rękę.

Całe towarzystwo popatrzywszy nieco na otaczający pejzaż, z wolna zbierało się na powrót. Z wolna, gdyż stary Skalski obrachował, że daleko by było przyjemniej dojść mrokiem, aby uniknąć wrażenia, jakie okiennice z Eskulapem i Hygią mogły uczynić na baronie. Zapewne prędzej, później, pan Helmold dowiedzieć się musiał o aptekarstwie, ale w pierwszej chwili lepiej było uniknąć wyznania. Idalia także wprzód go usidlić chciała bezpowrotnie, nimby wiedział kto ona jest. Nazwanie samo aptekarzówny, mogło nań oddziaływać nieprzyjemnie.

A projekt choć tak gwałtownie zrodzony, tkwił już w myśli panny Idalii.

Rodzina nie potrzebując słów, porozumiała się oczyma.

Apteka miała dwa wnijsia, jedno — na nieszczęście — od głównej ulicy, urzędowe z Eskulapem i Hygią, z orłem i napisem — Apteka uprzywilejowana, drugie od bocznej ulicy zwanej Wolską, prywatne, z ganeczkiem, blachą cynkową pokrytym, gdzie wszelkiej aluzji unikano starannie, zdradzającej powołanie właścicieli kamienicy, tak dalece, że okno przez które słoje i flaszki widać było, zakryto szkłem lanem nieprzezroczystem.

Zmieniając nieco plan podróży, można było gościa wprowadzić z tamtej strony, z kąd żadna woń nawet się nie dobywała, gdzie żaden moździerz nie dźwięczał i utrzymać go w złudzeniu, iż znajduje się w domu właścicieli dóbr, chwilowo w miasteczku zamieszkałych.

Zostało to postanowieniem w cichości, panna Idalia była spokojną, ale szło jej teraz o urządzenie takie pochodni spacerowego, ażeby czas nie został stracony. Trzeba było połączyć przyzwoitość z korzyścią, ntile dnici. Wyprawić rodziców z baronem przodem i oddać im go na łup nie wypadło, z wieli względów.

Najprzód Skalski i mama w dłuższej rozmowie mogli by się dopuścić czego nieprzyzwoitego. nad czem dzieci czuwać były powinny, powtóre. czas by zmarnowano. Pannie iść z baronem samej nie uchodziło. bardzo zęcznie tedy puszczo no się we troje awangardą, a poważnych małżonków zostawiono w odwodzie z Finetką. Panna Idalia nie kryła przed sobą. że może jej wypadało pozostać z rodzicami. ale któż tam na drobnostki uważa przy wiejskiej przechadzce?

Baron podał jej rękę, zaczęli mówić po francuzku.

Chcielibysmy zaprawdę powtórzyć tę rozmowę zwycięską. zdobywczą. żywą. Napoleońską. piorunującą. ale czujemy, że to nad nasze siły. Panna Idalia podniosła się w niej do szczytu. do ideału dziewiczej sztuki oczarowania. Umiała nie popisując się. powiedzieć o sobie wszystko co chciała. potrafić o muzykę. wmieścić literaturę. ulecieć w wyższe sfery. wyrazić swą miłość sztuki. swe wzniosłe idee socyalne, słowem. odmalować siebie w miniaturze jak najstaranniej wykonanej. Umiała być zalotną a skromną. naiwną i dowcipną. szyderską i człą. dać się domyśleć w sobie wszystkich przymiotów najponętniejszych — na chwilę nie zapominając o tem, by wdzięk twarzy, estetyczną stronę swej piękności uwydatnić.

Jakkolwiek wielce utalentowana i obdarzona instynktem szczęśliwym. panna Idalia nie byłaby może odniosła zwycięstwa nad Galicyaninem. który nie dawno był w Paryżu. *et qui sortait d'en prendre...* gdyby silnego sprzymierzeńca nie miała w bracie.

Roger dwojaką pobudkę w przywiązaniu do siostry i w pewnych rachubach względem Tmrowa znajdował. Szło mu o złapanie tego kawalera na drodze. a siostrę uznawał zdolną do dokazania tego cudu. Nim więc napowrót doszł do cmentarza. Galileusz był zachwycony aptekarzówną o tyle. o ile człowiek XIX wieku zachwycić się może. po wielu łatwych zachwytach poprzedzających. które do jego wychowania należały.

Baron śmiał się, bawił, opowiadał i znajdował z podziwieniem. że panna — co się niezmiernie rzadko trafia — miała go słuchać. rozumiała alluzyje najdelikatniejsze. była niemal Paryżanką. a idąc tak. łamał sobie głowę. kto to mógł być?

Z Rogerem spotkali się w Warszawie. jedli parę śniadań kawalerskich w dobrym wesołym towarzystwie. wiedział. że to był pan Skalski. domyślał się z wychowania. że mógł być człowiekiem majątnym. — ale stosunków jego rodziny. położenia nie znał wcale.

Z oblicza rodziców trudno się było czego domyśleć. Skalscy wyglądali tak. że mogli być miejskimi obywatelami. lub... lub... czem kto chciał. Sama pani. dość pospolitej powierzchowności. wcale się nie odzywała.

Mieszkanie w miasteczku rodziło pewne wątpliwości w umyśle — ale tyle być może powodów do mieszkania czasowo na bruku!

W końcu nie mogąc z żadnych danych ująć słowa tej zagadki. baron powiedział sobie: — Co za jedni są. wszystko mi jedno. spędzę chwilę wesołą. a korona mi z głowy nie spadnie.

Przechadzka tak wesoła trwała dosyć długo. na koniec u młynów dobrze zmierzchać zaczęło i stary pan Marcin obrachował. że przyjdą do apteki o szarym mroku — co zawsze było najbezpieczniejsem.

Odetchnął pocziwiec.

Sama pani mocno była skłopotana. niewypadało jej wyrwać się przodem. a co by była dała. żeby mogła uprzedzić służącego. aby przywdział liberyą. służę aby się nie pokazywała. w kredensie kazać wydobyć wielką tacę z Frażetowskimi ozdobami. imbryk srebrny. samowar brązowy. Z kolei te przedmioty migały przed oczyma pani Skalskiej i nlatywały jedne za drugimi, niepokój przesunął je szybko. jakby leciały porwane wirem. męczyło ją to nieboraczkę. Tort. sucharki. filiżanki saskie, serwetki popielate. salaterka szklana, cukiernica z Neptunem na wierzchu. kapki białe fotelów. płótno rozciągnięte w salonie. miotały się, wi-

ły. i nikły. a pani Skalska była pewną. że wielkiemu zadaniu nie podoła. i że o czemś zapomni.

Takie już moje przeznaczenie! mówiła w duszy. i ręczę. że śmietanka zwarzona. Ile razy gość. tyle razy zwarzona śmietanka! Panu Bogu trzeba ofiarować...

Zbliżano się do Wolskiej ulicy. Kamienica Skalskich wśród niższych domków. przedstawiała się bardzo korzystnie. W tym roku była świeżo pobieloną. cynkowy daszek nad gankiem wyglądał ładnie. drzwi świeciły od ozdób mosiężnych. w oknach bogate widać było firanki i mnóstwo kwiatów.

Skalsecy z pociechą przekonali się. że ich dom wieczorem na wcale przyzwoitą powierzchowność. Ale baron mało na to uważał zajęty panną Idalią. która właśnie malowała mu całe swe uwielbienie dla mistrzów muzyki nowej. zmiatając dosyć nierozważnie w jedną wiązkę Mendelsohn'a. Chopin'a. Schumann'a. Wagnera. Auber'a. Verdeg'o i — co się nawinęło. Baron Hel mold tak od kwadransa nalegał na nią. że w końcu obiecała mu zagrać.

Wnijscie do salonu o uroku jest jednym z najszcześliwszych wypadków dla gospodarzy. W południe wszystko ostro w oczy skacze. razi. w szarej godzinie harmonizują się i zlewają największe niedorzeczości umebrowania. Salon Skalskich wydał się pięknym. choć po dniu. nadto w nim było złota i świecideł. Nim wniesiono świece. służący bardzo zręcznie pościągali szlafmyce z fotelów aksamitnych i płótna z posadzek. Oboje gospodarstwo znikli. został Roger. panna Idalia. która padła od razu na krzesło przy fortepianie i baron ujęty gościnnością uprzejmą tej rodziny. Wprawdzie galicyjski baron wie dobrze. iż mu się wszędzie należy cześć i uznanie w towarzystwie wybrańszem. bo reprezentuje sobą śmietankę społeczną. tradycje kosmopolityzmu wykwiśniętego. ale niemuiej hold należny smakuje.

Niedługo się dając prosić. zapewniwszy barona. iż jest zmęczona. nieusposobiona. że po przechadzce

zawsze gra najgorzej. a gdy wie że ją słuchają. traci moc nad sobą... panna Idalia zagrała.

Niewiem co baron o jej grze pomyślał. ale my zapewnić możemy. iż w małym miasteczku niechodziła za Klarę Wieck: choć paluszki jej latały bardzo zręcznie. dłuży w tem i myśli nie było. Grała jak dziś wszystkie panie grają. nawet te. które muzyki nie lubią.

Popisy salonowe mają to do siebie. że wywołują pochwały. i że z rezultatu ich nic się dowiedzieć nie można. Któryż gość może odmówić poklasku pięknej pannie? Wirtuozki powinny by się zarzec tej gry na zakaz, będącej i dla nich męczarnią i dla słuchaczy co najmniej — kłopotem.

Baron był w miesiecin. nigdy jeszcze w życiu takiej interpretacyi nie słyszał. wyrazów na ocenienie mu nie brakło. nasłuchiwał się ich i nachwytał po całej Enropie. Idalia tryumfowała. ale dawszy poznać ten swój talent. wolała powrócić do rozmowy. na którą wiele więcej zdawała się rachować.

Razem z herbatą wszedł niezesany na nowo Skalski. przebrana pani. i brązowy samowar odświeżny. Zastawa była przepyszna do zbytku. i nadto widocznie występniąca. Baron wolałby był kawałek szynki od brązowego samowaru. dobry bewsztyk. niż tort od tygodnia oczekujący w cukierni Górczonia na konsomatora, ale głód nie patrzy czem się zaspokaja.

Ponieważ wieczór był dosyć gorący. okna od ulicy musiano zostawić otworem. siatki tylko od komarów pozamykano. światło i muzyka świadczyły przechodniom miejskim. iż nie tylko państwo byli w domu. ale mieli u siebie gości. Skalski drżał aby ciekawość nie ściągnęła mu kogo kompromitującego. Myślał o postawieniu na dole służącej. któraby nie dopuszczała natrętów—ale co to jest w miasteczku nie przyjąć kogo? śmiertelnie by został obrażony gość. któregooby nie uznano godnym towarzystwa.

Trzeba więc było oddać się w ręce Opatrzności

na losy. na szczęście, i drzeć za każdym drzwi skrzygnięciem.

Nawet głośniejszy chód w uliczce przerażał Skalskiego.—ot. ot. zdawało mu się. że już ktoś nadchodzi, i jak statua Komandora. pozywa...

Do połowy wszakże herbaty szło doskonale. a im późniejsza godzina nadchodziła, tem aptekarz czuł się spokojniejszym. Po ósmej nikt w odwiedzin w małym miasteczku nie przychodził.

Panna Idalia deklamowała coś półgłosem z Legendy wieków W. Hugo. a niecierpliwość wyznać każe. iż baron w tej chwili myślał o piosence Teresy słyszanej w Paryżu. gdy Skalski zbłądł... Na schodach ciężki. grubiański chód pośpieszny dał się słyszeć delikatnemu jego uchu. zbliżał, tętniał, drzwi się otwały. i doktor Mylius w ubraniu płóciennem. w słomkowym kapeluszu. z kijem ukazał się w progu.

— Na miłość Bożą. mój Skalski. zawołał ręce podnosząc. albo też już porzuć tę aptekę. albo pilnuj tego z czego chleb jesz. Półtorej godziny temu. jak zapisałem miksturę dla Cybikowej. wiem że ją można zrobić w kwadrans. a twoi niecznośni subjekci do tej pory jej nie wydali. Potem mówią że doktor winien. że zabił. a to wasze apteki zabijają.

Piornu nie byłby okrutniej raził przytomnych. nad to bezwstydné ukazanie się doktora. Skalski w pierwszej chwili porwał się. chciał biedz. usta mu zatulić. zdretniał — starą małą apopleksya nie zabiła. zsiniała biedna. Roger byłby strzelił. gdyby miał z czego. Idalia oczy by może wydarła gbiurowi, ale się to wszystko skończyło milczeniem strasznem. złowrogiem. grobowem.

Na twarzy barona odmalowało się najprzód podziwienie. poskromione wielką siłą nad sobą. potem odciśnięcie nieznaczny szyderstwa. który tylko Roger i Idzia pochwycili, nakoniec przybrał gość postawę obojętną człowieka, który nie słyszy tego. czego nie powinien był posłyszeć.

Z głową spuszczoną nad filiżanką. Helmold szep-

tał coś Idalii. jakby niezrozumiał o co chodziło. Roger zbladły, drżący. wstał nie dobrze wiedząc co począć, a nieszczęsny ojciec który czuł że cała bieda na niego spadnie, wyróciwszy krzeselko pobiegł do doktora. objął go oburącz. i z nim razem znikł z pokoju.

— To jakiś oryginal. przebaknął baron.

— Doktor. zwyczajnie grubianin. rzekł Roger głęboko się namyślając co powiedzieć. — aleśmy tę nieprzyjemność, za którą barona przepraszamy. winni nieostrożności ojca. Tysiąc razy prosiłszy go, ażeby na aptekę domu nie najmował. chcieliśmy dawno się przenieść na wieś. ale się okoliczności spiknęły. Aptekarz został nam dłużnym. ojciec musiał na siebie wziąć administracją pozostałości. wpadliśmy w położenie fałszywe. *dont vous voyez les suites.*

Tłómaczenie było dosyć zręczne. ratowało ono o tyle. o ile się uratować w takim razie dalo. Z trochę dobrej woli baron mógł za dobre przyjąć wyjaśnienie Rogera. i pozycya potroszę ocaloną została. Ale cios śmiertelny zadano pannie Idalii. bo choć pewną była, że na Helmoldzie jak najsilniejsze uczyniła wrażenie, któż wiedział czy to wystąpienie Myliussa nie zniszczyło go w zarodzie?

Jako człowiek dobrze wychowany. baron Helmold starał się humorem. przytomnością. podwojeniem grzeczności. naprawić niefortunne wrażenie, ale któż mógł w głąb jego duszy zajrzeć i powiedzieć co się tam działo?

Nalano mu drugą i trzecią filiżankę herbaty z obawą. Roger myślał, że teraz czuć mu ją będzie melissą i lipowym kwiatem — kto wie? może miętą pieprzową? Śmietanka mogła mu się zdawać orszadą. a ciasto podejrzanem się stawało o pokrewieństwo z wyrobem jakim kuchni łacińskiej.

Wszyscy byli struci: Idalia jednak pierwsza starała się to w śmiech obrócić.

— A! to mieszkanie w domu. w którym z drugiej strony jest apteka. mówiła do barona. często nieznośne, czasem na bardzo śmieszne naraża nas wypadki.

Doktor fantastyk. okoliczni ludzie nieświadomi, nie można się opędzić omyłkom. Dlatego też niestannie ojca prosimy, aby raz już na wsi zamieszkać. c'est insupportable.

— Mais n'exagerez donc pas, rzekł baron. cela donne de la couleur à la vie de campagne. ja to znajdję tylko zabawnem. Ten doktor w słomianym kapeluszu. zjawiający się jak widmo, znikający jak cień...

— Tak. ta proza życia przypominająca się niestannie, gdy właśnie radziłyśmy o niej zapomnieć. przerwała Idalia. mnie to do łez niecierpliwi.

— Ja już nie mówię, ale daję słowo, że do trzech miesięcy wyniosę się ztąd, dodał Roger. Mieszkać w wielkiem mieście, rozumiem. lub na wsi, la vie du chateau, albo Paryż, w małym miasteczku, męczarnia. Przez względność dla ojca, aby nie był osamotnionym, mogłem to ścierpieć czas jakiś, ale naostatek, największa cierpliwość się przebierze.

— Państwo, jak widzę, jesteście do zbytku niecierpliwiemi, a ja — dodał pocieszając baron. — ja do tego potroszę przywykłem. Czesć roku bawię we Lwowie, mamy tam kamienicę, na dole Restauracya robi nam piękny dochód, na drugim piętrze pensya. Często jaka mama omyli się i wpada do baronowej mej matki, qui pro quo, śmiechy. Nie trzeba zważać na to.

Mimo tak względnego znalezienia się barona, chmurne czoła się nie rozmarszczyły, milczenie ciężkie przerywało rozmowę cięższą jeszcze. Helmold ujął za kapelusz. Skalska wybiegła po męża, który wkrótce się ukazał błądy, wystraszony, upokorzony, politowanie obudzający. Przyszedł jak winowajca, nie śmiejąc ust otworzyć, pożegnał dostojnego gościa, a gdy Roger odprowadziwszy go aż w nlicę, i wskazawszy pocztę powrócił, wiedział p. Marcin co go czekało.

Scena była mroczysta, coś naksztalt sądu przysięgłych, przed którym staje obwiniony, schwytyany

na gorącym uczynku. nie mogący nawet się tłumaczyć.

Pani Skalska oparta na łokciu. przybita. martwa. siedziała na kanapie. Aptekarz błądy, z załamaniem rękami padł na fotel. Przed nim groźny. zmarszczony. z ręką jedną zamkniętą w kamizelkę. drugą uzbrojoną w świeżo zapalone cygaro. wystąpił Roger. Idalia miotła się. suknią szastając po salonie. z głową spuszczoną. z twarzą płomieniejącą.

— Dosyć tego. zawołał Roger stanowczo. ja wyjeżdżam na zawsze, jeżeli ojciec natychmiast tej apteki nie sprzeda...

— Ja idę do klasztoru. do teatru. gdziekolwiek bądź. nieknę. ale tu dłużej nie zostanę. to śmierć...

— To gorzej niż śmierć. bo męczarnia przechodząca siły ludzkie. dość tego!

Skalski milczał.

— Widzisz. widzisz. odezwiała się jejmość prawie z płaczem, te nieszczęśliwe dzieci...

— A ja! tom szczęśliwy myślicie! krzyknął obręcz biorąc się za głowę aptekarz, niech to wszyscy... porwą...

— Jeszcze ojciec się gniewa? a to ładnie! zawołał Roger podskakując ku niemu. Któż winien? kto kto?

— Ja! krzyknął Skalski. — ja, i powiadam wam też. dosyć tego. Chciecie. jutro sprzedaję aptekę. dobrze. a jeżeli wam potem źle będzie. głodno i chłodno, róbcież sobie co się wam podoba. bo że stracimy i grubo. to niezawodna. Do tegoście się powinni przygotować.

— Jeżeli stracimy. to przez ojca. zawołał Roger. czemu nie było dawno tego zrobić? Radziłem. prosiłem ja. Idzia. matka. nie. nie i nie. Czas upływał. ale ojciec...

— Słuchaj. rzekł rozpaczliwie Skalski. wszystko prawda. ojciec winien. ojciec. bierz-że ty interesa coś rozzmniejszy. rób co chcesz. a daj mi pokój.

— Albo to ja znam się na interesach tych? czy to ja do tego się sposobilem i wychowałem? ruszając ra-

mionami rzekł Roger. Zgasłe cygaro zapalił u świecy, kapelusz włożył na głowę i wyszedł trzaskając drzwiami. Za nim drugimi z podobną prozopopeją wybiegła panna Idalia, a starych dwoje zostało sam na sam w milczeniu i rozpacz.

ROZDZIAŁ IV.

Na całą okolicę słynął Turów z dawien dawna jako stare pańskie gniazdo, a rodzina w nim zamieszkała liczyła się za najcelniejszą, za najświetniejszą, najpoważniejszą, najarystokratyczniejszą w prowincyi. W każdym zakątku niemal jest taka familia stojąca na czele obywatelstwa, chociaż zmieniają się wodzowie, upadają majątki, wnoszą nowe imiona i ludzie, a berło owe z rąk do rąk przechodzi. Bardzo rzadko utrzymuje się w jednym rodzie przez wiek jeden, lub dłużej nad trzy pokolenia; — nie jest-to właściwością tylko naszego kraju i skutkiem kolei jakim podlegał, w najarystokratyczniej norganizowanej Anglii, członkowie izby parów ledwie kilka imion liczą między sobą nad dwieście lub trzysta lat starszych. Byłoby to nie do uwierzenia, gdyby faktami dowieść tego nie można. Jest w ogólnych prawach, którym ludzkość podlega, ta zmiana losów, to przeważanie się doli, to karlenie się rodów, a podźwiganie sił młodych i nowych. Szczęście, zwłaszcza gdy go ludzie używać nie umieją, jest naj-

większym ich nieprzyjacielem, ono łamie, wycieńcza, oszala, odbiera rozum, a co najgorzej wprawia do zniechęcałości próżniactwa. Gdy na szczycie powodzenia ludzie pracować przestają a używać zaczęą, bądźcie pewni, że na miękkie pokolenia przyjdzie choroba jak na kartofle i łodygi wysuszy, owoce poplamie, życie odbierze.

Praca i walka są tak koniecznym warunkiem bytu ludzkiego, że gdzie one ustają, tam śmierć przychodzi, lub wycieńczenie które ją sprowadza.

Najlepszym dowodem tych prawd był Turów. o którym wspomnieliśmy, jeszcze poważany, jeszcze możny, a już dogorywajacemi tylko napelniony istotami. Rodzina ta choć w dziejach z wielkich czynów nie głośna, była niegdyś bardzo możną, ale zwolna majątności nabywane przez małżeństwa i spadki, podróże, marnotrawstwo, nawyknienie coraz większe do zbytków, uszczuplały. Na pozostałych dobrach były znaczne długi, interesa popłaćane, i procesa liczne. Ojciec żyjącego hrabiego prawie cały swój żywot spędził zagranicą, we Włoszech i w Paryżu, tam jedynaka wychował, nie dając mu nanki tylko tyle ile wymagały salony i wykształcona społeczność, do której był przeznaczony, nie sposobiąc go ani na gospodarza, ani na żołnierza, ani na urzędnika, ani na uczonego, robiąc go człowiekiem przyjemnym, płochym i — do niczego nie zdatnym. Stary hrabia, oprócz tego, spadkiem złął na syna pedogrę swoją, reumatyzm, wątłe zdrowie i nerwy rozstrojone. Łacno było przewidzieć przyszłość, która dziedzica Turowa czekała. Nie był to wcale zły człowiek, sercemiał czułe, rozsądku wiele, ale pojęcie samo życia było w nim zwichnięte.

Nie był ani namiętym, ani zepsutym od drugich, kierował się zasadami honoru, miał poszanowanie dla religii, formy towarzyskie zachowywał pilnie, ekscentrycyzmem nie grzeszył — mimo to wszystko, w głębi był ostygłym tylko nieco i hamującym się samolubem.

Długa młodość w której nadszarpnął zdrowia

i majątku, już i tak nadwątłonego, skończyła się prawdziwem ożenieniem z bogatą, daleką kuzynką, tak chorowitą jak hrabia i tak jak on do niczego nie zdolną, choć najlepszą w świecie kobietą. Owocem tego małżeństwa były dwie córki, dwie słabowite, biedne, blade, wątłe istoty. Wydawszy je na świat hrabia, sama poszła na lepszym odpocząć. Hrabia został z dwojgiem siorotek, z majątkiem zadłużonym, żyjąc prawie tylko z ocalonego bardzo znacznego posagu żony, którego był stróżem i opiekunem. Szczęściem dlań ruszyć go nie mógł, stracić nie miał prawa. Gdy bony wyniańczyły dwie panienki, przyszła kolej na guvernantki, kilka ich przesunęło się przez Turów nie długo zatrzymując, naostatek z Paryża wielce polecona hrabiemu przyjechała panna Mimi Poirier. Była to śliczna brunetka dwudziestokilkoletnia, wesola, żywa, zręczna, mrodzona do odegrywania z wielkiem szczęściem komedyi życia. Pierwszem jej staraniem było pozyskać miłość sierotek, potem przypodobać się hrabiemu, dla którego stała się wkrótce towarzyszką niezbędną. Prawdą a Bogiem więcej się może od drugiego dnia po przybyciu krzątała koło niego niż przy paniach, którym zaznaczyła lekcje, okarmiała je łaskociami, a sama z chrześcijańskich obowiązków, z li-tosci nad biednym chorym, większą część dnia przy jego fotelu spędzała.

Hrabia był zmęczony niezmiernie, cierpiący, ten nowy żywioł wlał jakieś życie w dom, w niego, rozjaśnił mu nieco świat. Mimi była muzykalną, dowcipną, niezmiernie śmiałą, miała maniere paryzkie, opowiadała zrećznie, a nadewszystko była pochlebnicą, jakich mało. W kilka tygodni po przybyciu do Turowa, z powszechnem zadowoleniem wszystkich, wyjąwszy starych sług, objęła ster i rządy domu, powoli przyswoiła sobie rachunki, zagarnęła kasę, a głównie opanowała serce i umysł hrabiego, który mimo znżycia i wieku, do szaleństwa się w niej pokochał. Nie ma wątpliwości, że pierwszą iskierkę tego chorobliwego przywiązania miała panna Mimi rozdmuchać zrećznie, że

od pierwszego wieczora. może plan przyszłości sobie skreśliła.

Nie było naówczas istoty łagodniejszej. lepiej się unieść do obyczaju kraju i domu nad nią. największe przykrości, najmoźniejszą pracę znosiła z uśmiechem, z wesołością, z poświęceniem bez granic. Okazywała przywiązanie do dzieci nadzwyczajne. dla hrabiego poszanowanie i współczucie egzaltowane. Słowem, był to ideał. Wprawdzie słaby hrabia winien był się zastanowić wcześniej, iż dwudziestokilkuletnia panna, żywa, w pełni życia, roztrzęsiona, nie zdawała się dlań żoną najwłaściwszą, ale przywiązanie ostatnie, miłość spóźniona jest zwykle bardziej ślepą niż wszystkie inne. Ten co już rozpaczył o życiu, gdy mu się ono uśmiechnie pod jakąkolwiek postacią — gotów wszystko dla zmartwychwstania sercem poświęcić.

Nie zawahał się więc hrabia nawet przed ożenieniem, które jako warunek dalszego pobytu w Turowie postawiła mu francuzka. Utrzymywała ona, iż sama siebie się lęka, że się przywiązała zbyt mocno, iż uciekać musi, aby nie upaść, ofiarą zbyt tkliwego serca. Hrabia nie dowiedziawszy się i nie chcąc dowiadywać o przeszłości Mimi Poirier... która nie cała była do pokazania i miała w sobie lata pełne tajemnic, — nie pytając nikogo o radę, — bez wahania — potajemnie ją zaślubił.

Małżeństwo, któremu rodzina byłaby się pewnie sprzeciwiła, zostało ogłoszonem nagle i ściągnęło na hrabiego nienakontentowanie ogólne. Przysłano mu na teraz już wcale niepotrzebne wiadomości różne z żywota i podróży jego żony, hrabia się pognuwał, zerwano stosunki, a piękna czarnobrewa siłą dłonią wzięła rządzący dom. Sprowadziła do panien brzydką starą Angielkę, sama wywiozła męża do Włoch, do Francji, a gdy po kilku latach wrócili do Turowa, hrabia już prawie chodzić nie mógł, mało mówił i był na pół żywą tylko istotą. Ale razem z niemi z zagranicy przy-

był narodzony pod włoskiem niebem synaczek, ukochana obojgu dziecina, hrabia Luis (tak go zwano) przyszłość, nadzieja, ostatni potomek wielkiego rodu.

Stosunki domowe wielce się zmieniły, charaktery także uległy wpływowi czasu, hrabia liczył się ledwie za żyjącego, władała wszystkim, ostra teraz, kapryśna, zła, zdziwaczała, unosząca się łatwo hrabina. Jedynaka swojego wychowała na obraz i podobieństwo własne. Ale Pan Bóg jakoś mu nieposzczęścił, dziecię, ledwie z pieluch rozwinięte, okazało się ułomnem, garb rósł, łopatki podnosiły i choć twarz Luisa była piękna, postać obudzała litość i wstręt tylko.

Luis odziedziczył dowcip i żywość matki, dumę ojca, a garb przyniósł mu z sobą, co zwykle daje tym, na których ramionach porasta, skłonność do nielitościwego szyderstwa i niecierpliwość prawie do dzikości posuniętą.

Taki był skład rodziny zamieszkującej Turów, w chwili, gdy go opisujemy — panny Iza i Emma już obie przeszły 21 rok życia, walcząc z macochą, która tem nielitościwszą była dla nich, że w istocie sama z mężem prawie nic nie miała, a żyła na łasce i z dochodów hrabianek. Jej synowi pozostawały pozory majątku, kłopoty jego, dziedzictwo imienia i długów, panny po matce były dziedziczkami ogromnej fortuny. Ładno przewidzieć jak to wpływało na wewnętrzny ustrój domowy.

Od lat dwóch hrabia już z krzesła nie wstawał, przesuwano go z fotela po pokojach i ogrodzie, cdyż w nogach postradał władzę. Umysł jego ociężał, ucierpiała pamięć, niekiedy zapominał się do tego stopnia, iż słowa potrzebnego przywieść na pamięć nie umiał, jakaś się i wśród nieskończonej mowy, z otwartemi ustami, pozostawał prawie nieprzytomny. Lekarze mówili o początkach rozmiękania mózgu, który nigdy zbyt twardym nie był.

Hrabina Marya, której piękność wiele ucierpiała, nabrała tusz, dostała czarnych wąsików, podbródka i niewiele dbała już o wdzięki utracone. Syn jej docho-

dził lat dwudziestu. ale wychowanie jego uważano za skończone, mieszkał przy rodzicach. i z powodu niedo-
łężności ojca uważał się już niemal za dziedzica Turowa. Stosunek jego do przyrodnych siostr. postarzałych
niewiele panienek. był przyzwoity. ale na dnie lażała nie-
nawiść wzajemna.

On im zazdrościł majątku do którego żadnego
prawa mieć nie mógł. one nienawidziły w nim przy-
właszczyciela ojcowskiego serca. syna awanturnicy.
a wreszcie nieznośnego opryskliwego złoźnika.

Dom tak złożony był już ruiną. wkradły się doń
waśni. spory. niechęci. wrzały stłumione nienawiści.
które zburzyć go musiały. Dla starego dworu i służby
Turowa. biedny pan. którego zgubę przypisywano żo-
nie drugiej. biedne dwie panienki. były przedmiotem
politowania i miłości. — hrabina i jej syn nie mieli tu
przyjaciół. chyba grozą i strachem lub pieniędzmi kn-
pionych.

Zdała wszakże wspaniale wyglądała ta rezy-
dencya.

W końcu XVI wieku. pratorplasta tej gałęzi fa-
mili Turowskich. przeniósł się do dobr swych na Po-
dlasiu. w skutek jakichś zatargów ze szlachtą swojego
województwa. i on tu założył pierwszy i zbudował pa-
łac do dziś dnia istniejący. — Nie dotrwała ta budowla
w całości. bo ją kilkakroć niszczyły pożary. przemie-
niała charakter jej fantazya. ale coś przecie z prze-
szłości w rozległej zostało budowie.

Hrabia Stanisław. w genealogii zowiący się Sta-
szkiem. z Turowa starego. Kasztelan Bielski. ufundo-
wał tu był niby włoski pałac wśród starego dębowego
lasu. nad rzeczką. Mimo niziny. zrobiono wcale wspan-
iałe ogrody; wznósł się korpus z kopulą. kaplica. hra-
bina murowana z kordegardą; oparkaniono zwierzyniec.
pobudowano gmachy na oficyny, stajnie. skarbcę i t. p.
W XVII wieku galeryami połączono boczne budowle
z główną. ale tymczasem ta spłonęła. Nie rychło ze-
hrano się na odbudowanie w jezuickim stylu tej epoki.
Potem z galeryj zachciało się komuś zrobić oranżerye,

później oficyny przerabiano coraz na nowe użytki. a koniec końcem, że Turowscy więcej zagranicą bawili niż w domu. wiele się obaliło. popsuło. poprawiono nieumiejętnie i pałac wyglądał najdziwniej w świecie.

Już za panowania hrabiny Mimi. dzikimi winami, bluszczami. krzewami pozakrywano nieco ruiny. niektóre części ich zrestaurowano. inne zamaskować umiano. a podwórzec obszerny i część ogrodu utrzymywano czysto i przyzwoicie.

Hrabia stary z żoną i synem zajmował najlepszą część pałacu. środek jego. Państwo mieszkali na piętrze. a Luis. w sąsiedztwie przezywany Don Luis'em. na dole. Obie panienki w części z dobrej woli. a potroszę skutkiem dawnych rozporządzeń. gdy jeszcze były przy guwernantce — zajmowały jedną z oficyn. połączoną nowemi oranżeryami z pałacem. Śmiesznie może to było. ale hrabianki miały osobny dwór. kuchnię. służbę. konie. ekwipaż i utrzymywały się ze swych dochodów. do których jako pełnoletnie. miały prawo zupełne. Hrabina w wiecznej wojnie z niemi. chociaż nigdy jej do wybachu nie doprowadzała. starała się pannom zawadzać o ile możności w występowaniu na świat. Pokazywano je jak najmniej. ale przyzwoitość zupełnie się zaprzeć ani tać z niemi nie dozwalała. W niedzielę hrabianki przychodziły do stołu do pałacu: czasem odwiedzały ojca wśród dnia i wieczorami. Gdy nieszczęsny stan interesów zmuszał do tego. hrabina Mimi dawała lekcję mężowi. w jaki sposób ma żądać pieniędzy od córek. przywoływano je. ojciec wyjąkał co mu polecono. czasem się pogniewał. a hrabianki albo rozkaz spełniły. lub starały się uwolnić od wymagań.

Don Luis potrzebował wiele. miał fantazyje pańskie. lubił przepych około siebie. a że wymógł zawsze co tylko chciał na matce. a matka robiła z ojcem co się jej podobało. hrabianki zmuszone były zmienawidzonego utrzymywać braciszka.

Życie w Turowie nie należało do najprzykładniejszych i najszczęśliwszych. Hrabina Mimi w oko-

licy mało była przyjmowaną. nie wiele osób przyjmowała. zmuszoną się więc widziała dla towarzystwa sprowadzić sobie dalekiego kuzyna, niejakiemu Brunona du Val. tak się on pisał. choć pono nie miał do tego prawa) i siostrzeniczkę Manetkę Vitu. Pan Brunon du Val ogromny, barczysty chłop. niegdyś wojskowy podobno, człowiek wychowania nie osobliwego. miał zapewne za posłannictwo obronę kuzyki. nie bowiem nie robił. czuwał tylko nad jej bezpieczeństwem. jadł pił i polował. a Luisowi przewodniczył do wszystkiego. od czego by być może odciągać należało.

Manetka. roztropne. ładne dziewczę, bruneteczka żwawa. usmiechnięta. trzpiotowata, istny chochlik — przypominała wielce panią hrabinę jaką była przed dwudziestn laty. Wielka przyjaźń łączyła ją z garbusem. który poufale z nią był bardzo. jako z blizką kuzynką. Manetka tak często u niego przesiadywała. a matka nie uie miała przeciwko temu.

Był to najzaciętszy szpieg i wróg hrabianek z pawilonu. które niecierpiały jej i - - niedarmo.

Ostatniemi czasy mało kto bywał w Turowie: czasem dalekie krewne po cichu odwiedzały hrabianki, niekiedy gość lub wierzyciel był na obiedzie w pałacu. Luis zbierał do siebie z Warszawy i okolicy wesołych kolegów. mimo wiekn bowiem i ułomności swej. lubił życie i hulankę. Hrabina w ogóle krajn niecierpiała. wysmiewała go i ograniczała się małym kółkiem kuzyna Du Val'a, Manetki lub drobnych szlachcianek z okolicy. które jej respekt okazywały.

Gość więc w Turowie, a zwłaszcza niezuany. był rzadki. i gdy naza jutrz Don Luis ujrzał z za Łasku wysuwający się powóz uaprawiony. który wiózł barona Helmolda. i on i du Val i Manetka długo stali w oknie. nie mogąc odgadnąć, ktoby to był taki.

Przybycie to niespodziane. popłoch zrodziło w całym domu. tylko obie hrabianki z oficyny spoglądały obojętnie na ekwipaż i siedzącego w nim młodego człowieka. pewne będąc. że macocha tak urządzić potrafi. aby one się z nim nie spotkały.

Kocz stał już przed gankiem, a Luis jeszcze się nie mógł domyśleć, kogo przywiozł. i w progu dopiero poznał barona, z którym był dobrze w Warszawie, ale choć go pobieżnie zapraszał na wieś, nigdy się niespodziewał, aby on to mógł wziąć na seryo.

Od razu przyszło mu na myśl, że nie co innego, tylko wieść o hrabiankach i ich posagach, sprowadziła Galileusza. Złośliwe jego oczki zabłyśły. przywitał wesoło barona, wyznaczył mu zaraz pokój do przebrania się na przeciw siebie. i zostawiwszy go w rękach służącego rozpakowującego tłumoki. sam pobiegł do matki. On Val już go był z wiadomością poprzedził.

Hrabina siedziała wedle zwyczaju na pół leżąc na sofie w przyćmionym gabinecie, z książką w ręku, bo romanse, zwłaszcza Paul de Kock'a niezmiernie lubiła. On Val stał przed nią z cygarem w ustach. gdy Luis pokręcając wąsika ledwie widocznego. ukazał się w progu, a odpowiadając, nim był zapytany. rzekł:

— Jest-to baron galicyjski. Helmold Kaptur. mówią, że majątny. posadzaam go o to, że nie tak dla mojej przyjaźni jak raczej dla siostrzyczek przybył. Mówię to mamie, aby wiedziała jak sobie postąpić... Dobry chłopiec... ale niewiele o nim wiem...

— Nie trzymaj że go długo, jeżeli tak. odezwiała się hrabina.

— Ale przyjechał umyślnie z Warszawy, trudno go już wyprowadzić.

— Zabaw polowaniem. spros kawalerskie towarzystwo... ces peronnelles będą się umyślnie nastęrczać. zobaczysz. że nagle porwie je nadzwyczajna czułość dla ojca. i przyjdą pewnie w godzinie takiej. aby się gościowi przedstawić. Szczęściem. nie zachwycą go wdziękami. Bogaty?

— Ależ dokładnie nie wiem. — Il en a l'air. a któż pozna udawany dostatek od prawdziwego o sto mil od miejsca zamieszkania awanturnika?

Hrabina się zamysliła.

— Gdyby był bogaty, a podobała mu się Manetka...

— Manetka! skrzywił się Luis, ona ma dosyć czasu i spieszyć się nie potrzebuje.

— Mais enfin.

Wszyscy jakoś spojrzeli po sobie dziwnie i umilkli. Luis dodał chmurno: -- C'est l'affaire de Manette.

Poczem stukając drzwiami zszedł na dół.

W oknach oficyny widać było z za firanek dwie blade twarze ciekawie przyglądające się wylądowanemu powozowi.

Były to hrabianki Iza i Emma, dwie nie młode panny, bardzo do siebie podobne, mizerne, chude, słusznego wzrostu, długich twarzy, nie dość harmonijnie połączonych, choć może nie brzydkich rysów. Milcząco, oparte jedna o drugą, z obojętnością ale ciekawie, jak więźniowie ulicy, przypatrywały się przyjeżdżnym, starając się coś z powozu, koni, sługi odgadnąć.

— Młody człowiek, odezwiała się starsza Iza, sucho i smutnie.

— Zdaje się, msi być znajomym Luis'a.

— Nie widziałas go, gdy wysiadał, wygląda zręcznie, ubrany ładnie.

— Paniczykowaty, tak...

— Konie i powóz odeszły do stajni, rzeczy zniesiono do górnego pokoju, na dole, zabawi więc.

— Ale my go nie zobaczymy.

— Któż wie?

To mówiąc, powoli odstały od okna.

Hrabianki miały apartament w oficynie, zajmowały tu kilka pokoiów, które swym kosztem sobie urządziły, na złość macosze z jak największym wykwintem i przepychem.

Z palacu zabrały jak najskrzętniej co należało do ich matki, miały więc wiele pięknych i kosztownych sprzętów pamiątkowych, a choć dość oszczędne, dla obudzenia zazdrości w Francuzach, nie żałowały sobie

na nic. Jeżeli mogły hratu lub macosze zrobić przykrość sprowadzeniem czegoś niedostępnego ceną dla nich, umiały to mieć koniecznie. Rzadcy goście hrabianek podziwiali tu z wielkim gustem urządzone salon, przepyszny fortepian Erarda, meble rzeźbione, dywany, porcelany i tysiące fraszek, któremi biedne niewolnice wcale się nie bawiły. Otaczający je maleńki dwór, w większej części starzy służdy, w wojnie z lokajami palacu, odżywiał tę samotność nudną znoszeniem plotek, słówek, czynności macochy i Luisa nieustannie jątrzących dwa obozy. Służdy hrabiny spełniali tę samą funkcję z drugiej strony.

O ile macocha starała się usilnie, aby panny wyjść za mąż nie mogły — o tyle znowu hrabianki na przekorę jej błagały niebios o mężów. Położenie ich było nie do zniesienia, a choć dość durne z imienia i dostatku, powychodziły by były może za plebejuszów, byle tem zatrzeć nieco życie znienawidzonej macosze, którą inaczej dotąd nie nazywały między sobą jak — *La gouvernante*, lub całkiem cicho *Li ogressse*.

W niedostatku stosownych partyj, gdyż młodzież usuwano wszelkimi sposobami, panny jeżdżąc do kościoła do miasteczka, rzucały już oczyma nawet na najmniej zalecającą się powierzchownością młodzież miejską. Iza mówiła do siostry: — poszłabym za leśniczego, za niewiem kogo, byle oni nie mieli pociechy, żeby Luis po mnie dziedziczył. Adwokat mówi, że to możliwe choć niesprawiedliwe.

Emma myślała tak samo, ale jej tylko żal było ojca, którego kochała i wrażenia, jakie to na starym uczynić mogło, tem ona powstrzymywała siostrę.

— Moja droga, odpowiadała Iza, nieszczęśliwego ojca ta ogressa doprowadziła do tego stanu, że on już nic podobno nie czuje i nie wie co się z nim dzieje! Biedny ojciec.

— Biedny ojciec! dodawała Emma, a nam pod różnemi pozory, dojść nawet do niego, być z nim wzbra-

niają. Zostawiają go samym po całych dniach. zapominają o jego potrzebach.

Ponieważ to był dzień poniedziałkowy. a pańny wczoraj. wedle zwyczaju. znajdowały się na obiedzie w pałacn. niezaproszono je dnia tego, jadły n siebie. Widziały tylko z okna brata. chodzącego z przybyłym gościem. i obrachowawszy. że się towarzystwo udało do ogrodu. postanowiły tam wybiedz. w nadziei spotkania. Wybrały się prędko. przystroiły świeżo i z pospiechem przesunęły się szpalerami ku tej stronie. w której mogły spotkać przechadzających.

Zwykle hrabianki ograniczały się przechadzką po tej stronie. która przytykała do oficyn. ale nie wzbroniono im było pójść dalej. gdzie się podobało. Z dobrej woli tylko trzymały się w miejscach, w których by ani macochy. ani dworu jej nie spotykały. Na ten raz szło przeciwnie o nastreczenie się dla wyrządzenia małej przekory. Wiedziały dobrze. że gdyby je brat ujrzał zdaleka. starał by się gościa uprowadzić. Cienne szpalery opasywały cały ogród Throwski. łatwo ułemi przesunąć się było można niepostrzeżenie.

Iza miała instynkt doskonały. wiedziała gdzie don Luis dla pochwalenia się ze swą rezydencją gościa poprowadzi. i zasiadła z siostrą w altanie lipowej. której wyminać nie było podobna. Dla niedania pozor. iż chciały być widziane. wzięły z sobą książkę. usiadły. a Emma zaczęła pół głosem czytać Medytacyą Lamartina.

— Myślisz. że nas tu znajdą? ozwała się do siostry.

— Jestem tego pewna. Luis nie może nas dopatrzeć zawczasu. a gdy wejdzie do altany. przyzwitość mu każe poznać tego pana z kochanemi siostrami. Tajemnice familijne nie chętnie się zdradza, ogressa będzie musiała nas prosić na herbatę. i...

— I co? spytała Emma smutnie.

— Cóż nam szkodzi pnsić fantazyi wodze. może młody człowiek się zakocha.

Emma się rozśmiała: — powiedz złakomi! Któż

się może zakochać w dwóch zwiedłych kwiatkach. moczonych w occie i przepojonych goryczą?

— Nie przerywaj mi — mówiła śmielsza Iza. młody człowiek się zakocha.

— A nas zamkną na klucz przed nim.

— To wykradnie!

— A Izium! czyż ty byś na to pozwoliła? zapytała Emma.

Jestem pełnoletnia. ojciec nic nie pamięta. macocha chce zgubić — cóż począć?

— Wiesz. że ja drzę. gdy słyszę cię tak mówiącą.

— A ja drzę. ale tylko z niecierpliwości. dodała Iza. Wiesz. że nawet już ten aptekareczuk Skalski. wydaje mi się żołądkiem. gdy w nim myślę szukam oswobodzenia.

— A! pfe! zawołała Emma. synu aptekarza. zlituj się.

— Mówiłam ci, że poszłabym na złość jej za leśniczego.

— Tst! obie zamilkły. kroki się zbliżały. śmiechy dały się słyszeć... Emma wróciła do Lamartina. Don Luis prowadził w istocie gościa swego nlicą. i wyglądał w swym stroju eleganckim bardzo pociesznie.

Garbu nawet najmniejętniej skrojone suknie zamaskować nie mogły. twarz miał prawie ładną choć pełną złośliwego wyrazu. ale chodem i ruchami naśladowując dandysów szczęśliwiej zbudowanych dobrowolnie śmiesznym się czynił.

Nagle twarzyczka Luisa zarumieniona po obiedzie. zbladła. dostrzegł pierwszy siedzące na ławce siostry. był pewien. że się tu zakradły umyślnie. Cofnąć się było niepodobna. dawałoby to zbyt wiele do myślenia. co było począć?

Baron stał na skraju altany i ciekawemi oczyma wpatrywał się w dwie panny, dobrze wiedząc o historii domu. czekał tylko jak sobie brat postąpi.

Luis namyślał się. hrabiauki ndawały. że ich nie widzą jeszcze. Emma czytała. Chytry młodzieniec z lekka potrącił barona rękę. — Nie przeszkadzajmy im rzekł — to są moje przyrodne siostry. ekscentryczne

niewielko istoty, lubiące samotność, zdziwaczale trochę. Wystaw sobie, że mama uprosić je nie mogła, aby dziś na obiad przyszły.

Baron postępował jakoś nader powoli, widocznie sobie uciec tak nie życzył. Iza postrzegła co się działo, domyśliła się jakiegoś braciszka podstępny i obawiając, aby jej obcy nie uniknął, podniósłszy głowę, głośno zawołała brata.

Udała, iż gościa zakrytego za drzewami nie widzi.

— Luis, odezwiała się — chodź-że tu, nie lękaj się nas, jesteście sami.

— A! zacinając usta rzekł brat, to jakiś cud, że Iza nie ucieka, chodźmy.

W duszy klął zdrajczynię — ale przyzwoitość! przyzwoitość, ta mistrzyni wielkiego świata niedozwalała się już wycofać.

— Co mama powie? rzekł w ducha, po co go było do ogrodu prowadzić?

— Pan baron Helmold Kaptur, rzekł, prezentując go, głośno.

— Darują panie, że tak natrętnie przerywamy im wypoczynek, ulubioną samotność i czytanie.

— Właśnieśmy już o mało nie ziewały nad Lamartinem, żywo odparła Iza — wybawiliście nas panowie od świętokradztwa. Grzech to przeciw poezji zdrzemnąć się, lub poziewać nad takim arcydziełem... witamy w panach wybawców.

Luis bladł, tak mu się ten śmiały ton niepodobał, sprzeciwiał się on wręcz temu, co o pannach mówił przed chwilą.

Ale Iza gotowała mu gorszą niespodziankę. Baron zdziwiony, zaintrygowany, z kolei spoglądał na Izę i Emmę, a na twarzy jego mimowolnie wyrażało się najgorętsze zajęcie temi postaciami zagadkowemi.

— Nie wątpię, że brat, dodała żywo Iza, nie dając upaść rozmowie, — prowadził pana barona, chcąc mu pokazać piękności naszych leśnych równin, prawda, Luis?

Luis musiał coś potwierdzającego wyjąknąć.

— Więc ja go zastąpię, przecznwając i odgadując gdzieby on był poprowadził — chodźmy.

Emma milczała. ale wzrok jej nie próżnował, głębokie wejrzenie skierowała ku przybyszowi, a uśmiech nieco sarkastyczny ukazał się na bladych ustach.

Baron Helmold był jakoś chwilę onieśmielony i odgadywał położenie.

— Ja, prawdziwie zachwycony jestem lasami. rzekł. w Europie nie ma już takich borów i puszczy. wyjąwszy niektóre włoskich gór zakąty i dzikie wąwozy niemieckich krajów. Las ma swą niezmierną piękność. ma swą wymowę. wdzięk. poezję.

— Dostyc przeczytać co Mickiewicz napisał. wyśpiewał o nim w paau Tadenszu. podchwyciła Iza.

— Wszystko to śliczne na chwilę. szydersko rzekł Luis — ale to zabytek dziczy i wieków. w których ja bym sobie żyć nie życzył. Przyznaję się. jestem dzieckiem cywilizacji XIX wieku i wolę bulwary paryzkie od najpoetyczniejszej pustyni.

— Ja nie podzielam zdania hrabiego. przerwał baron. Bulwary są dobre dla chwilowej rozrywki, jako widowisko ciekawe, a żyć nieumiałbym tylko na wsi.

— I ja — odezwała się Iza.

— A paui? zapytał baron Emmy.

— Ja także wiem wolę. ale może dlatego. że miast znam mało. Wychowywałyśmy się tutaj. nauczono nas lękać się stolic jako piekielnych otchłani.

— Jakże się stały wymowne! rzekł w duchu brat. jak się im rozwiązują języki!

— Jak się ma ojciec? był na obiedzie? zapytała nagle Iza.

— Nie — odparł sucho Luis.

— A matka?

— Matka także trochę cierpiąca.

— I naturalnie. zawołała żywo Iza. musi być przy nim. bo ona nikomu zastąpić się nie daje. Wiesz co Luis. ponieważ tak się składa i my na coś w domu chciałbyśmy się przydać. Ojciec chory. mama zajęta. zapraszamy panów do siebie na herbatę.

Emma poczerwieniała uderzona śmiałością siostry, Luis pobladał, baron nawet mógł postrzedz a raczej domysleć się gniewu, który nim wstrząsnął, ale cóż było począć, aby odwrócić ten cios, za który hrabia od matki miał dostać najokrutniejszą burę?

Zemstę trzeba było zachować na później, ale zaproszenia niepodobna odrzucić — baron uśmiechnięty już pośpiesznie paniom dziękował.

— Zrobimy naszym towarzystwem przykrość paniom, panie lubią samotność.

— Naturalnie musi się lubić to, w czym się żyje — il faut faire bonne mine à mauvais jeu, rzekła śpiesznie Iza, ale gdybyśmy najbardziej były zakochane w ustroni, ciszy i spokoju, mamy ich doprawdy tyle, że się nimi nasycić możemy.

— Nie mogę się wydziwić twej grzeczności, siostrzo Izo — rzekł kwaśno Luis — ale tyle razy słyszałem cię narzekającą na wrzawę.

— Czy myślisz z wrzawą przyjść do nas na herbatę? śmiejąc się podchwyciła Iza, a! tego się niespodziewam. Cicha rozmowa... Pan jedzie z Warszawy? spytała barona.

— Tak pani.

— I wraca do...?

— Sądzę, że wrócę do Galicji — rzekł baron, dosć już dawno jestem z domu, ale nie mogłem się oprzeć pokusie obejrzenia stron mi nieznanych?

— Jak je pan znajduje? spytała z kolei Emma.

— Zachwycony jestem, rzekł baron.

— Grzeczny może tylko a nie szczery — mówiła Iza.

— Nie wiercie mi panie — przerwał don Luis, filut jest wielki.

— Ślicznie mnie hrabia siostrą rekomendujesz!

Luis rozśmiał się, ale kwaśno, myślał już o skutkach swojej nieostrożności i o herbacie. Rzecz była tak daleko posuniętą, iż albo należało iść do oficyn, lub panny prosić do pałacu. Macocha mogła jeszcze ura-

tować się od następstw wieczora, zapraszając wszystkich do siebie.

To go nieco uspokoiło. Baron korzystając z jego zadumy, żywo zaznajamiał się z pannami, które za okazane im grzeczności, prawdziwie wdzięczne mu były.

Iza myślała spoglądając nań.

— A! gdyby którą z nas chciał wziąć sobie!

Emma mniej śmiała wzdychała po cichu i mówiła w duszy.

— Możemyż mu się podobać?

Tym czasem rozmowa ciągle była wielce ożywioną, i ani się spostrzeżono, jak ogród cały obeszli. Hrabina już z okna widziała panny, barona i Luisa razem, piorunowała na syna i wyprawiła du Val'a do ogrodu, aby się starał rozproszyć ich i do pałacu pociągnąć.

Zdała du Val dał znak garbatemu, że ma mu coś do powiedzenia, cofnęli się na bok.

— Co to znaczy? zawołał du Val do niego, mama się okropnie gniewa, jakżeście mogli zapoznawać go z pannami?

— Ja! rzekł Luis podnosząc pięść — ja! macie mnie więc za głupca! ty i matka! Panienki przebieglejsze od nas, nastreczyły się same, umyślnie, bezwstydnie. O mało się nie wściekłem. Miarkuj sobie, że skorzystały z kilku wyrazów i zaprosiły nas na herbatę do siebie.

— To być nie może — to nigdy być nie może. przerwał Francuz, matka na to nie pozwoli.

— Więc będzie musiała je prosić do siebie. Trudno nieznanemu człowiekowi odśłaniać smutne stosunki nasze. — opryskliwie i gorąco ozwał się Luis, idź powiedz o tem matce. Z temi dziewczętami nikt rady nie da, chyba je zamknąć w klasztorze.

Du Val ramionami ruszył.

— Hrabina się gniewa.

— Spodziewam się, że mnie żółć się przelewa, ale o cynizmie ich nie macie wyobrażenia. Przy obcym, niepodobna robić awantury.

— Awantury nigdy robić nie należy. rzekł du Val, ale wy. Mimi i ty, nieumiecie prowadzić swoich interesów.

Machnął ręką i pośpieszył do palacu.

Luis dogonił przechadzających się. i serce mu zadrżało gniewem usłyszawszy śmiech. w którym czuł jakby urągowisko z siebie.

Panny. szczególniejsz Iza. zdawały się w jak najlepszym humorze, jakby nie domyślając burzy. którą postępowanie ich zrodzić w domu miało. Luis źle grał komedią wesołości. bo nadto był gwałtowny i rozpieszczony przez matkę, ażeby udawać potrafił. pan du Val spieszył nazad do hrabiny, która nań. przechadzając się po swoim pokoju. niecierpliwie oczekiwała. Była smutną, podrażnioną. gniewną. czarne jej oczy buchały płomieniami, stanęła obaczywszy du Val'a.

— Panny jak widać. znowu mi sztuczkę spletały. zawołała gniewna. à charge de revanche. zobaczemy! Żartuj się ze mnie.

— Cicho. cicho! powoli, przerwał du Val. biorąc ją za rękę i sadząc prawie gwałtem na kanapie. do której sobie krzesło przysunął. Mówmy raz o tem rozsądnie i rozsądnie. moja Mimi — proszę. Panny robią co byśmy my zrobili na ich miejscu. trzeba z nimi powoli zmienić postępowanie. Wojna w domu na nic się nie zdała. stary dogorywa. myśmy prawie na łasce pańien. drażniemy je ostatecznie, to do niczego nie prowadzi.

— Przecież ja mam i powinienam tu mieć jakąś władzę. zawołała macocha.

— Z tym warunkiem. żebyś jej nie nadużywała. rzekł du Val mrugając oczyma. Dotąd milczałem, ale widzę. że ty sprawę bardzo źle prowadzisz i dla syna i dla nas.

Hrabina spojrzała nań surowo.

— Panny samotnością znekane. wzięły na kiel. jak się zdaje. Wyszły naprzeciw gościu — a co gorzej — Iza zaprosiła go na herbatę! Cóż zrobisz? history! w domu i skandalu uniknąć należy przy obcym, nie

można się więc sprzeciwić tej herbacie, albo jeżeli jej nie chcesz, będziesz musiała panny zaprosić do siebie. Ja zaś jestem tego zdania, żeby wojnę wypowiedzianą stanowczo ubić w miejscu zręczną taktyką. Ty, ja, Manetka, proszeni czy nie, pójdziemy na tę herbatę, ażeby się ów baron naszych domowych waśni nie mógł domysleć.

Hrabina zamysliła się, z gniewu miała łzy w oczach.

— Rada nie jest zła — rzekła do du Val'a, patrząc w okno — ale co pomoże chwilowe to wyratowanie się od skandalu, jutro na nowo rozpocznie się toż samo? Pomówiemy o tem, — może masz słuszość, ja jestem zmęczona walką, męką, życiem i wszystkim. Tesknę za moim Paryżem wśród tej dziczy, z którą przez lat dwadzieścia oswoić się nie umiałam.

Myślisz, dodała, że ja rozpoczęłam tę wojnę z nimi? nie? one mi ją wydały, ja ugiąć się nie mogłam, nie chciałam, i bronie się tylko.

— To do niczego nie prowadzi, odparł du Val stanowczo, pomówiemy o tem, trzeba radzić inaczej.

— Jeżeli nie zapóźnie, odparła zamysłona hrabina.

Wśród rozmowy tej, gdy już się miała ku końcowi, nadszedł Luis. Potrafił on pozbyć się nareszcie siostr, gościa zostawił z cygarem i gazetą, a sam wbiegł po rozkazy do matki.

Spodziewał się znaleźć tu wszystkich tak rozniewianych i roznamiętnionych, jak on sam się czuł. — a matkę znalazł przybitą, du Val'a zamysłonego.

— No proszęż mamy, zawołał, co z temi dziewczętami począć! to są waryatki! Ja temu nic nie winienem, umyślnie wybiegły do ogrodu, rzecz była na złość nam ukartowana, a Liza — od pierwszych niemal słów wystąpiła z zaproszeniem, bezwstydną. Jam nic nie winien.

— Dość tego — przerwała hrabina, rzecz skończona. Niech herbata będzie u nich, pójdziemy na nią wszyscy.

— Jakto? mama?

— Naturalnie! ja, du Val, Manetka. musimy tam być wszyscy, czy nas proszą, czy nie; — przyzwoitość tego wymaga.

Lnis stanął zdziwiony.

— Tak? spytał — tak? ha, może to być i nie źle. Innego sposobu niema. Rozśmiał się złośliwie.

— Dobrze pomysłano! zawołał, z gniewu przechodząc w radość niepoczciwą, i pocierając ręce — zobaczmy jak nam panny będą rade.

ROZDZIAŁ V.

Baron Helmold Kaptur, był młodym, wielkich nadziei Galicyaninem—to mówi wszystko; ale dla tych którzy dobrze kraju tego nie znają — może być niezrozumiałym. Galicyanin jest specyficznie właściwą istotą, do żadnej innej niepodobną. Na utworzenie go składają się czynniki przeróżne, a to co z nich wyrasta jest tak odrębnem, że się wcale na drodze sztucznej produkcji wynasładować nie daje. Galicyanina z jego wadami i przymiotami, żaden kraj wydać nie może, tak jak żaden chemik nie zrobi dyamentu. Wiemy z czego się składa Galicyanin i z czego powstaje dyament, ale proces natury jest pelen tajemnic.

Zrozumiejmy się wszakże — pod Galicyanina nazwiskiem, rachujemy istoty klasy średniej, pozornie wykształcone, nie mówimy ani o ludzie galicyjskim,

ani o fine fleur społeczeństwa, która jest wszędzie jedna. W każdym kraju średni stan nadaje mu barwę, stanowi właściwym siłą ogólnych.

Ten Galicyanin specyficzny, na którego składają się prastara szlachecka tradycja przywilejowanych — szkoły austriackie, próżniactwo nasze, wychowanie nie pełne a świecące, chytka polyskiwania i niechęć do pracy, próżność stara i duma młoda, wygląda pospolicie bardzo pokaznie.

Umiejętność znalezienia się w salonie, ubrania i zaprezentowania, żargon francuzki, zawiązywanie krawatu, jeżdżenie konno, powożenie z kozła, wszystkie przynależności towarzyskie posiada on à fond. Pojedynkuje się gdy potrzeba mężnie, goły nie daje długo po sobie poznać, że się zrujnował, robi długi śniało, gra butnie, pije gracko, ale na tem koniec. W biedzie ostatecznej nie pozostaje mu nic chyba sobie w łeb palnąć, bo oprócz życia z grosza gotowego, nie umie nic i do niczego nie jest zdolny.

O wykształcenie ani pyta, oprócz francuzczyzny (bez ortografii), niemieczyzny (z używania), własnego języka od nianki, lokajów i furmanów wyuczonego, nie umie nic, nie czyta nic, i duchowe życie jest mu obce.

Ale ma ten takt, że w towarzystwie zetknąwszy się ze sztuką, literaturą, kwestyami społecznymi, zbywa je uśmiechem, milczeniem, lub pół słowa nie kompromitującami.

Nienetwo w nim tem bardziej zdumiewające, że wcale nie pocznwa, żeby było grzechem w nim, niedostatkiem jakimś, i owszem. — przebacza on uczeńszym ich manią, ale naukę ma za rzecz konwencji, mody, fantazyi — a nie za istotną potrzebę.

We Lwowie, na posiedzeniu Instytutu, przypatra się z ciekawością mężom uczonym, zapewne z takim uczuciem, z jakim w Kolonii wpatrywał się w zwierzęta zoologicznego ogrodu. Pojmuje, że można być słoniem, ale mu nie zazdrości ani trąby, ani zębów.

Baron Helmholtz miał wziankowane przynależności Galicyanina czystej wody, nie umiał nic — nie potrzebo-

wal nie umieć. miał umiejętność życia i obracania się w towarzystwie. jasne pojęcie celu żywota. to jest. nabycia bogactwa i użycia go. to mu wystarczało.

Był to dobry chłopiec. ale dla swoich tylko. dla mniej więcej równych. hrabiów. baronów i t. p.. reszta świata była mu obojętną. odsegregowaną od niego. i dla niej nie pocznwał się do żadnych obowiązków.

Mamyż od razu objawić tu tajemnicę jego pochodzenia i majątkowego stann? Chociaż baron. nie wywodził się od zbyt długiego przodków szeregn. na dziedzinie. który robił jakies interesa we Lwowie. kończyła się prozapia. Ojciec kupił sobie tytuł barona.

Zebrałe frymarkami różnemi mienie. dobra. kamienica. nie stanowiły olbrzymiej fortuny. zwłaszcza. że na nią było trzech synów i dwie córki. Baron więc Helmold musiał szukać po świecie partyi. którąby go niezależnym uczyniła. Jako *mise de fonds* służyły mu młodość. imię. pozory dostatku i arystokratyczne stosunki. Naostatek trafnie pojął. że wartość człowieka rośnie w prostym stosunku oddalenia jego od miejsca urodzenia. Wiele przez to szczegółów się zacierają. a inne potrzebne. umiejętnie eksploatowane. nabierają blasku.

O charakterze osobistym ludzi dobrze wychowanych naszego wieku. najtrudniej jest coś powiedzieć. Zależy on głównie na tem. żeby nie mieć żadnego. Z dwudziestu młodzieży nie znajdziecie jednego. któryby był sobą i czemś odrębnem — wszyscy lubią jedno. robią jedno. i jednostajnie są starci i wyblakli. W sferach niższych zachowuje się więcej nieco oryginalności: ale to co ma przystęp do tak zwanych salonów. umundurowaniem jest duchowo nie do rozpoznania.

Przymiotem głównym barona Helmolda było. iż ani głową. ani sercem. ani talentem nie wychodził skandalicznie za szranki dozwolonej średniej miary — przyzwoitego człowieka. Starał się o ile możliwości mieścić w tej skorupce którą przywdział. a że natura sil

mu nadzwyczajnych do rozrostu nie dała — znajdował. że mu z tem było wygodnie.

Do charakterystyki tej nic nie mamy do dodania. Oprócz że posiadał skrycie zapas pewien przebiegłości, instynktu konserwacyjnego, którym dobrze się posługiwać umiał.

O domu hrabiostwa Turowskich słyszał będąc w Warszawie, szczegóły niektóre o nich udzielono mu poufnie, starszek jeden doradzał mu, aby tam szczęścia popróbował, — wybrał się więc w drogę. Resztę zostawiał losowi, okolicznościom i przemysłowi własnemu.

Można sobie wyobrazić, jak się uradował z obrotu rzeczy; postanowił jednak uspić czujność Luisa i postępować ostrożnie a bacznie.

W okolicy miasteczka i niedaleko od Turowa miał dom stryjeczno-rodzonej babki, o którym postanowił mówić wiele, aby swą podróż wytłómaczyć. Znajomość bliższa zabrana ze Skalskim, którego widywał w Warszawie, miała mu dostarczyć szczegółów.

Luis po krótkiej rozmowie z matką, powrócił prawie uspokojony; zasiedli tymczasem do ekarté, ażeby czasu nie tracić.

W oficynie latanina była ogromna. Obie panny chciały przed gościem tak niespodzianym wystąpić z przepychem, któryby zaćmił przyjęcie pałacowe. A że nie wiele osób u nich bywało i takie nroczone herbaty rzadko się trafiały, trudno było tak nagle zdobyć się na świetność i zaspokoić własne wymagania.

Pannom Izie i Emmie szło głównie o to, ażeby gościowi dać wielkie wyobrażenie o dostatku domowym: wydobyto więc srebra macierzyńskie przepyszne, nawet samowar, który w życiu ledwie dwa razy był używanym, poroźściełano dywany, poroztwierano pokoje pelue cacek, chińszczyzn i drogocennych pamiątek. Emma posłała po kwiaty do miasteczka, bo ogrodnik pałacowy pewnie by ich odmówił.

Na pół godziny przed zupełnym zmrokiem, salonik panien był oświetlony, bukiety poustawiane na kon-

solach i kolumnach. roboty, nuty i książki od niechcienia porozrzucane. a Iza w sukni kaszmirowej białej z bransoletami kosztownymi. reprezentując jako starsza gospodynią. przechadzała się niespokojna po salonie. Twarz jej. zwykle blada. ożywiona była rumieńcem zwycięstwa — Emma niemal przestraszona niem. siedziała zadumana na kanapie.

Herbatę zaczynano już przygotowywać. gości zapowiedzianych nie było. naostatek don Luis wystrojony. z pierścionkami na palcach (bardzo lubił świecidełka) z dewizkami u kamizelki. z wyfryzowanymi włosami. wprowadził barona we fraku i białych rękawiczkach. z kapeluszem pod pachą. Panie zasiadły na kanapie: panowie na fotelach. rozmowa salonowa. czeza — o mało nie powiedziałem emetykowa — rozpoczęła się na dobre. Służący stary. siwy. w czarnym fraku. w białym krawacie. w rękawiczkach. przyniósł pierwszą tacę.

W chwili gdy się nań oglądała Iza. poblądła: w ślad za nim ujrzała wchodzącą. poważną. w aksamitnej sukni. straszliwą macochę. wiodącą z sobą Manetkę i du Val'a.

Hrabina i ten jej dwór prawie nigdy nie bywali u panien: była to więc niespodzianka i złość za złość. figiel za figiel. Iza i Emma zrazu osłupiały patrzyły niewiedząc jak sobie postąpić. ale starsza. przywitała bardzo niby wesóło. dziękując. i posadziwszy hrabinę na honorowym miejscu na kanapie. sama poszła ukryć swe pomieszczenie przy samowarze. Emma zaczerwieniona widoczniej okazała się skłopotaną temi odwiedzinami.

Hrabina udawała czulą matkę i codziennego gościa. Du Val przyłączył się do meżkiego towarzystwa. biorąc sobie za zadanie opanować przybysza tak. aby mu nie dać do panien ani przystąpić. Manetka była w spisku. a szatanik ten. gdy chciał — umiał bardzo zreźnie grać swą rolę.

Są Francuzki różnego rodzaju — można powiedzieć kalibru. różnej płci. charakteru. usposobień: — ale jako typ galijski przewyższa wszystkie Paryżan-

ka. biała. płci mat. czasem włoską przypominającej, z włosami czarnymi. oczyma jak dwa czarne dyamenty. z różowymi pełnemi ustami. form wydatnych. zwinna. zręczna. żywa. zalotna. Rączki ma drobne i kształtne. nóżkę cudowną. główkę roztrzępaną. serce dobre. czasem umarłe w powiecin.

Paryżanka lubi się śmiać, mówić. jeść. pić szampa-pana z uśmiechem. śpiewa fałszywie ale z duszą. i za młodu bywa tem co się zowie — dobrym chłopcem — na starość przeradza się z tego motyla w poczwarkę. u nas pospolicie flondrą zwaną. Najpiękniejsze istoty tak kończą. bukiety fiołków w kałuży. a bóstwa o różowych ustach. na poddaszach.

Gdy figła płata Paryżanka. jest w najlepszym humorze — taką była Manetka tego wieczora. zachwycającą. czarującą. nieporównaną. Przedstawiała sobą typ właśnie tej Paryżanki o której mówiliśmy. Gdyby baron był młodym, niedoświadczonym. namiętnym. mógłby być oszaleć; Luis patrzył na nią z zazdrością. z podziwieniem. z jakimś uczuciem tłumionem. którego zrozumieć było trudno.

Pojawwszy doskonale swe zadanie. Mania — *con brio. con amore.* podjęła się jego spełnienia.

Hrabianki do których zwykle ledwie przemówić śmiała. dziś traktowała jako *chères consines*. dom ich uważała za swój. ścisła Emmę. która wrzała. uchyłając się od tych czności. mówiła za wszystkich. dowiekipkowała. latała. tłukła filiżanki. rozlewała herbatę. słowem. była swawolnem dzieckiem pieśczone. na które nie patrzeć było niepodobna. a patrząc zapominało się o reszcie.

O to szło właśnie. aby zaćmić dwie smutne panienki. *hoc erat demonstrandum.*

Drżąc z gniewu. Iza schroniła się pod cień srebrnego samowaru macierzyńskiego. nalewała herbatę. a na łzy się jej zbierało. Emma pod pozorem pomagania pobiegła do niej — spojrzały na siebie.

— Rozumiesz ty to. szepnęła Iza do siostry. ogresa znalazła sposób. zemściła się.

Ledwie tych słów domówić mogła. gdy Mania ofiarując swe usługi nadbiegła. aby przerwać siostrą rozmowę.

— Pozwolicie i mnie się na coś przydać. zawołała. będą podawać herbatę.

Iza milczała odwrócona. Mania pochwyciła filiżankę i zaniósła ją hrabinie. wróciła do tacy, porwała drugą i pobiegła z nią do barona.

— Trzeba wyznać. rzekł cicho dn Val do don Luis'a. że to dziewczę. c'est un lutin, co za zwinnosć! jaki humor. wesołość!

— Tak. precedził przez zęby Luis. ścigając ją oczyma namiętnymi. w których się zazdrość malowała — ale trzeba by jej zrobić nwaę. aby swej wesołości i żywości nie nadużywała.

— Elle a un tact parfait! rzekł dn Val.

Stara hrabina zabawiła tymczasem rozmową barona. którego także usiłowała odciągnąć od gospodyni. mówiła o Włoszech, o podróżach. trzymała go nwiązanego grzecznością należną damie przy sobie.

Herbata była w pełnym rozwoju. filiżanki porozdawane. ciasta poroznoszone. goście usadowieni wedle planów dn Vala i Manety. która siadła przy baronie niby przypadkiem — Iza krzątała się jeszcze czuwając aby nic nikomu nie brakło, gdy Emma — znikła.

Nikt z razn nie postrzegł że się wysliznęła. Ukradkiem niosąc coś w koszyczku. wysunęła się z oficyn. obejrzała bacznie i przez oranżeryą pustą ndała się ku palacowi. W gmachn było prawie ciemno i pusto. Służba rachując na to. że państwo zabawią w oficynie dłużej. rozeszła się. korzystając z wieczora. Emma po cichutku wbiegła na schody. które na piętro prowadziły. i rozpatrując się jeszcze. gdyż niechciała być widzianą. weszła na palcach do przedpokoju mieszkania hrabięgo.

Na ławce wąskiej spał tylko mały chłopak. ze sług nie było nikogo.

Przedpokój nagi i smutny zapowiadał to opusz-

czenie i zaniedbanie, które panowało w sypialni nie-szczęśliwego starca.

Emma uchyliła drzwi powoli. sądząc, że ojciec śpi może. weszła ostrożnie. ale zbliżywszy się. ujrzała go w fotelu z otwartemi oczyma. z ustami zwisłemi. niernachomego i rękami tylko bijącego konwulsyjnie po poręczach krzesła.

Hrabia znać opuszczony przez sługi. napróżno wołał głosem osłabłym. chłopak spał. inni się poroz-chodzili. starzec gniewny wpadł w stan obłąkania bliz-ki, czując się zapomnianym. Emmie dość było nań spoj-rzeć. aby poznać co się z nim działo. Ukłękła strwożo-na przed nim całując go po rękach. Z oczów zaczer-wienionych hrabiego pociekły dwie łzy milczące. usta poruszyły się. chciał się ruszyć. chciał coś powiedzieć — nie mógł.

Nareszcie po długim wysiłku. wybełkotał wyraz jeden — wody!

Emma pochwyciła karafkę stojącą blisko. której starzec dostać nie mógł. nalala szklanekę i powoli. ostrożnie do ust mu ją nachyliła. Chciwie począł pić ją... wyciągnął szyję wychudłą. i wysączywszy do osta-tniej kropli — odetchnął jakoś raźniej.

Głowa opadła uazad na fotel. spojrzal na Emmę. rękę wzniosł szukając jej dłoni. i mimo oporu dziecka do nst ją podniósł.

-- Ty. poczeiwa. poczeiwa! wyjęknął z trudem. Potem dodał po przestanku. obracając oczyma do koła.

Nikogo — nie ma nikogo. cały dzień, nikogo, pić! wody! nikogo.

Litość brała patrzeć na biednego człowieka. Był to szkielet jnż tylko. ociągniiony skórą pergaminową. z nogami pobrzękłemi. odęty. a nad nim głowa jeszcze pięknych rysów. blada. rzadkim włosem siwym okry-ta, ale z wyrazem osłupienia i pół sena. Pokoj był w największym nieładzie. łóżko nieposłane. odzież po-rozrzucana. istna izba łazarza. W kącie paliła się brudna lampka na tłustości. która więcej dawała dy-mu niż światła. Emma otworzyła koszyczek przed oj-

cem. przyniosła mu w nim trochę łakoci które lubił. ze zwierzęcą chciwością pochwycił go stary. objął. przypomniał o córce. i jakby się lękał. żeby mu tego skarbu nie odebrano, — odzyskał nawet nieco siły tuląc go ku sobie. Drżały mu ręce. chwytając koszyczek.

Emma oddawszy go ojcu. obejrzała się po pokoju — westchnęła. Wiedziała dobrze, iż nikt tu nie zrobi porządku. nie pomyśli o starym. jeżeli nie ona jedna. czasu było niewiele. zawinęła się więc żywo.

Pobiegła do szafy dobyć świeżej bielizny, którą szczególnym trafem znalazła na półce; zrzuciła pościel i poczęła ją oblekać na nowo. poskładała rozrzucone odzież podarte i zniszczone. poprzebijiała poduszki. — przysunęła co potrzebnem być mogło hrabiemu. i zbliżyła się doń pytając — czy by się położyć nie chciał.

Stary jadł. usta miał pełne. tak. że mówić nie mógł, pożerał ze zwierzęcą chciwością ciastka i owoce przyniesione, począł się niecierpliwie na córkę i burczeć gniewnie, niemogąc wymówić wyrazu. Emma milcząca klęczała przed nim. Koszyczek już był próżny. a on jeszcze palcami szukał w nim więcej. dopóki mu nie spadł z kolan i nie potoczył się na podłogę.

Niespokojnemi oczyma, niemogąc się ruszyć. hrabia patrzył gdzie się podział, potem spojrzał na córkę zapłakaną. powtórzył cicho — pocziwa, i zsunął się na fotel. a głowa spadła mu na piersi...

Blade ręce oparte na poręczach całowała Emma. nie czuł — drzemał.

Nie był to już człowiek. był dogorywający Łazarz bezprzytomny.

Niekiedy jakby przypomniawszy sobie córkę. podnosił nieco głowę zauważoną i zapytywał: — He? co? — potem znowu usypiał.

Emma obawiała się go tak porzucić, wiedziała, że zapomnieć o nim mogą choć noc całą. poszła więc obudzić chłopaka. któremu wcisnęła złotówkę w rękę. aby przebłagać za sen przerwany i przyprowadziła go z sobą do pokoju. Krzesło przysunęli do łóżka, z trudnością podniesiono starca. przesadzono na pościel, po-

łożył się posłuszny. córka otniła go, na rękach złożyła jeszcze pocałunek i łzę i na palcach wysunęła się z pokoju.

W progę jak szmer cichy, doleciało ją znów szeptnięte przez ojca słowo:

— Poczciwa!

Wszystko to razem nie trwało pół godziny. Emma otarłszy oczy, wsunęła się znów jak mogła najnieznaczniej do oficyn i pokoju i zastała towarzystwo umiarkowane na tych samych miejscach, na których je porzuciła. Była to druga filiżanka herbaty, a mężczyznom dozwolono przy oknach otwartych zapalić cygara.

Widząc otwarty fortepian, baron czuł się obowiązany prosić o muzykę, ale lza spojrzała nań z wyrazem szyderskim.

— Nie każ że się pan nam jak pensjonarkom popisywać: muzyka jest według mnie kapłanką smutku, pocieszycielką w cierpieniu, ukojeniem bólu, niegodzi się ją tak poniewierać w chwili roztargnienia. Ale jeżeli pragniesz pan co wesołego, poprosim kuzynki Manetki, która doskonale śpiewa francuskie piosenki i zann-ci nam — jedną z tych, które jej przysłano z Paryża.

Manetka dosłyszała ostatnich wyrazów.

— Ale pewnie, że się prosić nie każę, i ceremonij robić nie będę. Tiens!

Poleciała do fortepianu i nderzyła w klawisze bez pretensyi do preludyów.

Wkrótce perłowym głosikiem, z mimiką, akcentem, z filuteryą Paryżanki zaśpiewała:

Sous des ombrages epais...

Francuzka piosenka!! Któż nie zna francuzkiej piosenki, która się rodzi z perłowego szumu Szampaña, przy kieliszkach, wśród wesela i nawet gdy się jej zbierze na trochę tęsknoty, musi z za niej perłowemi ząbkami śmiechu zaświecić. Nic lepiej nie maluje charakteru francuzkiego nad ich piosenkę. Porównajcie ją do niemieckiej, w której koloryt często tak jest poważny, tak urozmaicony, forma tak artystyczna. W fran-

cuzkiej wiersz się nie wysadza na wdzięk, panuje dowcip. króluje wesołość. ocukrowuje ją figlarność. Ton! ton. tra la la la.

Ale nie każdy potrafi zaśpiewać to arcydzieło. któremu towarzyszyć musi uśmiech. wejrzenie. ruch, dramatyczny wyraz. który z nicości czyni rzecz w swoim rodzaju przedziwną — przy wetach.

Dlatego może piosuka owa. *chansonnette*. nie może się nigdy wydać dobrze. jeżeli nie jest nuconą przy lub po obiedzie. a po herbacie panu baronowi zdała się trochę za śmiałą. za poufałą.

Manette nie szło o to że siebie nią skompromituje, byle dom kuzynek przedstawić trochę inaczej niżby one sobie życzyły. Śpiew ten był figlem.

Prawie się tej tajemnicy mógł domysleć Helmold. spojrzawszy na Izę, która z założonemi rękami. zasępionem czołem. z wyrazem litości słuchała trzpiota. rozpoczynającego drugą już, a jeszcze weselszą i śmielszą *canzonę*.

— Przyznam się panu, szepnęła Iza — że trzeba się urodzić w Paryżu, nawyknąć do tego humoru. aby się nie rumienić temu weselu. które dla nas jest więcej niż niezrozumiałe. wstrętliwe prawie.

Baron tembardziej zrozumiał znaczenie piosenki.

Nie rada jej była może i hrabina. milcząco słuchał Luis, du Val był zakłopotany.

Nareszcie szatanik porwał się od fortepianu. poprawiając rozrzucone włosy.

— Głosu dziś nie mam i w e r w y. rzekła. śmiejąc się.

— Tegośmy my przynajmniej nie postrzegli — odpowiedział. grzecznie skłaniając się Helmold.

Popsuty wieczór przeciągnął się jeszcze parę godzin. poczem hrabina wstała. za nią du Val. Luis. baron i całe towarzystwo. po najczulszych pożegnaniach. usciskach. pocałunkach, powoli wyniosło się z oficyny.

W pustym salonie, oświeconym jeszcze odświeżeniem. zostały naprzeciw siebie smutne. blade. znekane dwie siostry sieroty. Dhigo spoglądały sobie w oczy. w których się lzy kręciły i padły sobie w objęcia.

— Byłaś u ojca — szepnęła Iza.

— Tak — byłam, nie pytaj, ciszej jeszcze odpowiedziała jej Emma.

I obie milcząc padły na fotele, a długo przyjsć nie mogły do słowa. Naostatek Iza porwała się żywo z siedzenia i poczęła przechadzać.

— Dość tego męczeńskiego życia. rzekła stłumionym głosem, położenia fałszywego. marnowanych lat. daję słowo, że pierwszego mężczyznę który mnie wzięść zechce — z zamkniętymi przyjmę oczyma. Tym sposobem. nietylko siebie. ale ciebie Emmo ocalę, zabiorę, porzucim raz ten Turów. w którym pobyt dla nas zatruto.

— A ojciec? słabym głosem zawołała druga, nie — nie! Izo. jeśli to ofiarą nazwać się może, spełnijmy ją do ostatka. nie porzucajmy go na łup obcym ludziom. Moja droga Izo. ty szalejesz.

— Tak. prawda, szaleję. ale czyż mi to nie przebaczone? życie upływa. Patrz — jak dziś umiejętnie potrafiła ogressa zapobiedz. abysmy i tej chwili swobodniej użyć nie mogły! Potrafiła odgrodzić od nas barona, wpuścić tu tę snbretkę nieznośną ze swą karczmą piosenką. wprowadzić swego du Val'a, i obiedz tak gościa, aby do żadnej z nas słowa przemówić nie mógł! O! nie! nie zniósę tego dłużej, pomścę się, — jestem pełnoletnią. panią mej woli. wyjdę za kogokolwiek bądź. aby być raz wolną.

— Uspokój-że się Izo droga. i cicho! na Boga cicho! Ty wiesz żeśmy otoczone szpiegami. że każde nasze słowo odbrzmiewa w uszach ogressy.

— Cóż mi ona robi! odpowiedziała Iza.

— Mogę ja przewidzieć do czego ta kobieta jest zdolną — cicho rzekła Emma — ja wiem tylko, że się jej boję.

I zadrżała mimowolnie.

Cicha noc letnia z księżycem otaczała nieszczęśliwy dwór Turowski. dwie siostry poszły do okna napoić się i uspokoić jej widokiem. W oknach pałacu widać jeszcze było światło u Luisa, u którego panowie

grali robiąc poncz, mający mdlą herbatę naprawić. świeciła lampka w pokoju starca i z za zielonych firanek czuwała lampa hrabiny. rozmyślającej także nad swoją i syna przeszłością.

Iza była poruszona, rozdrażniona, gniewna. Emma płakała — ojciec jej stał w oczach jeszcze.

Nagle starsza pocałowała ją w czoło.

— Poświęcę się dla nas obu, rzekła, wyrwę cię z tego piekła, choćbym potem miała być nieszczęśliwą — cóż mi tam? byłoż kiedy inaczej? Zniosę już wszystko. gdym potrafiła przecierpieć to do dziś dnia. Baron, baron ani się ośmieli, ani będzie mógł i umiał. ani może zechce posunąć się do jednej z nas. Nie potrafi walczyć, męczyć się, kłamać, wojować, aby pozyskać rękę starej panny zmudzonej.

Na to potrzeba człowieka chciwego. ambitnego, bez serca, nie mającego nic do stracenia. Im bardziej o tem myślę, tem widzę dobitniej, że Skalski jest tym którego mi potrzeba, dla dopięcia celu.

Uważałam, że ile razy jesteśmy w kościele, wybiera sobie miejsce naprzeciwko nas. desynuje się przedemną i pogląda melancholicznie. Syn aptekarza wyratuje hrabiankę Turowską.

Emma uśmiechnęła się mimowolnie.

— Pierwszym razem gdy będziemy w miasteczku. zaczepię go sama, wychodząc z kościoła — powiem mu...

— Kochana Izo, cóż ty powiedzieć mn możesz!

— A! sama nie wiem, dość słowa, aby obudzić nadzieję.

— A! moja Izo, i ta pocziwa, okragła Skalska. mościa dobrodziejko. byłaby twoją mamą?

Obydwie się rozśmiały z za łez.

— Cóż chcesz — odparła Iza smutnie, gotowam na wszystko, byleby wyjść ztąd. głowa mi się zawraca.

— Zmiluj-że się, w takim razie, wybierz sobie innego męża i inną mamę. zawołała Emma. bo ja tych niezniosę.

Iza wyciągnęła ręce obie ku księżycowi i niebiosom.

— Że też nikt nie wie o tem. iż milionowa panna prosi Pana Boga. aby jej zesłał śmiałego człowieka. któryby zażądał ręki i podał jej swoją.

W tej chwili w bzach pod oknami zaszeleściło. panny spojrzały wylekłe. nie było tam nikogo wprawdzie, ale gałęzie wstrząśnięte poruszały się jeszcze i jak cień przemknął się ktoś pod oficyną. niknąc w mroku rzuconym od oranżeryi.

— Otóż masz. ślicznie. jeżeli nas kto podsłuchał, zawołała Emma. zamknijmy okno, i cicho! zmiłuj się — cicho.

— Nie cofam słowa! odezwiała się Iza głośno, co będzie — to będzie.

Okno się nareszcie zamknęło i firanka zapadła.

ROZDZIAŁ VI.

Dworek starego doktora Myliusza. jak on sam, był oryginalnym. Doktor lubił ład, czystość i porządek, ale mu zbywało na poczuciu piękna i nie kochał się w niczem ozdobnem. w niczem ozdabianem. ale raczej w największej prostocie. Dom jego był. można powiedzieć. takim wredykiem jak on sam. Żaden pokój u niego nie udawał. nie kłamał tego czem nie był w istocie.

Z małych wystąpień Myliusza. jużśmy go nieco poznać mogli: a wprędce da się on nam bliżej jeszcze ocenić.

Dziecię miasta, syn niegdy kościelnego organisty Mylius'a, doktor, był winien wszystko sam sobie. Matki nie znał, bo go dziecieniem odumarała, ojciec zostawił go na świecie sierotą, gdy miał lat ledwie piętnaście, krewnych nie wiedział nawet gdzie szukać. Oddany sam sobie, o własnej pracy szkoły dokończył, poszedł słuchać medycyny pod Frankiem do Wilna, i powrócił z biletem doktora, jako jeden z najulubieńszych neznów Śniadeckiego nazad do rodzinnego miasteczka.

Tu zastał dwóch starych lekarzy, wielu nieprzyjaciół, którzy nie znając go, już na kredyt nienawidzili, położenie trudne i nędzę. Kilka, może więcej lat walczyć musiał z uprzedzeniami, z niechęcią, z nieufnością, a nawet potwarzą. Ale to był człowiek stworzony do zapasów takich z losem, wytrwały, mało mówny, nieugięty, zahartowany, mało od losu wymagający, na pozór chłodny, a nie nstępujący na krok z drogi, którą sobie rozumem i smutkiem raz wytknął. Powoli też nauka, uczciwość jego, szlachetność, bezinteresowność przekonywać zaczęły ludzi i przerabiać ich. Nieprzyjaciele Mylius'a umilkli, kółko zwolenników rosło, a w końcu, jeżeli nie wszyscy go kochali, szanować musieli bez wyjątku znajomi i nieznajomi. Niektórzy go się dodatkowo obawiali. Mylius bowiem był nieubłagany równie dla drugich jak dla siebie i nie folgował słabościom ludzkim. Ale siłowość ta nie przechodziła u niego w czyn, serce miał miększe od głowy. — lajał bez miłosierdzia pijaków, a gdy który z nich poprosił go potem, wysłuchawszy kazania, o kilka groszy na wódkę, dał mu je kłując.

— Diabli cię taki wezmą, niepoprawiony jakiś. I odchodził machając rękami w powietrzu.

W tym czasie gdy się nasza powieść rozpoczyna, doktor już z biednego proletaryusza, co się dawniej stolował i miesił w cudzym dworku, przeszedł na poważnego dziedzica, miano go nawet za bardzo majątnego. I być nim musiał, bo choć nie chciwy, zarabiał sporo, wydawał mało, żył skromnie i mógłby był

nzbierać znaczny majątek. gdyby go Pan Bóg nieopatrzył sierotą. wychowawcem. wziętym z litości, owym Walkiem Lubińskim. któregośmy już widzieli na cmentarzu rozmawiającego z panem inżynierem Szumką.

Walek miał się za poetę. za geniusza i domagał się od świata i opiekuna: uniemianych przywilejów dla wybranych. bez miary pieszczot. nległości. dogadzania fantazyom. a jak najwięcej grosza. któryby mógł tracić nań nie zarabiając.

Doktór tak surowy dla ludzi. dla siebie. dla tego nieszczęsnego Walka. był nieprzebaczenie słabym...

Jeszcze był na kwaterze u swego przyjaciela garbarza. pana Polichty. doktor Mylius. gdy się trafił dworek w miasteczku na sprzedaż. Zwano go — „Pod Kasztanami” gdyż dwa stare ogromne, nieopatrzenie posadzone niegdyś kasztany. nietylko go osłaniały z przodu tak. że za ich gałęzmi mało co go widać było. ale mu dach psuły. przetrzymując wilgoć na nim. Stary Żndra niegdyś dziedzic tej posiadłości. składającej się z dworku. stajenki. oficyny i ogrodu dość obszernego. zmarł był bezdzietnie. córka. która wyszła za mąż do Warszawy. potrzebowała spieniężyć dziedzictwo. Doktorowi zaproponowano aby sobie kupił dworek „Pod kasztanami.”

Poszedł go zobaczyć — był podówczas jeszcze bardzo lichy i upadający. może przez litość nad tą pustką. Mylius ją sobie kupił. Praktyczni ludzie radzili mu zaraz wyciąć owe stare kasztany. obalić stary budynek i wystawić sobie elegancką kamieniczkę. ale doktor pokiwawszy głową. kasztany zostawił. dworek przerobił i został w nim. codzień więcej się przywiązując do niego. Nie było to ładne wcale. ale bardzo mile.

Dano dach nowy. wyreperowano co się dało poprawić. przestawiono co było zniszczone. a że doktor lubił kwiaty i w zimie chodzić potrzebował wiele. przybudował sobie dosyć niezgrabnie z jednej strony

ogromną oranżeryę. Był to cały zbytek jakiego się dla przyjemności własnej dopuścił.

Siedział w niej więcej niż w samym donku. którego wewnątrz. wyglądało niemal ubogo. lubił tu czytać i pracować. rzekłbyś obcować z roślinami, nad których wzrostem czuwał. których rozkwitem się rozpromieniał. W saloniku przytykającym, meble były odwieczne, pokryte perkalikiem spłowiałym. stoły bejcowane, a na ścianach parę tylko portretów znakomitości medycznych.

Część dworku samego znaczną zajmował wychowanek doktora. Walek Luzziński. sierota. dosyć nieszcześliwe dzieło dobroczynności Mylius'a. które mu się nie udało. do czego nawet on sam pocichu się przyznawał. Ale jak matki przywiązują się czasem do kalek najwięcej. tak on do tego moralnie okaleczonego. nieszcześliwego Waleka przyrósł sercem. żywiąc nadzieję, że czas. usiłowania. że dobre. ukryte w nim skłonności, kiedyś z niego coś uczynią.

Była to słabość pocziwego do zbytku serca. którą Walek Luzziński starał się jak najmniej usprawiedliwiać.

Doktor. za każdym nowym wybrykiem. łamał ręce, a nazajutrz znowu do nadziei powracał.

Walek skończył był niby studia uniwersyteckie. powrócił do domu. próżnował i nic nie robił. Mylius rozpaczał. ale gdy siłą i argumentami skłonić go niepotrafił do ubrania jakiegoś zawodu czynnego. zostawił to czasowi. Sierota ów zbijał bruk w miasteczku. trawił czas na bilardzie i rozmowach. łajał świat i ludzi. narzekał na losy i nic nie robił — jak wprzód.

Tak stały rzeczy w chwili, gdy jednego dnia leżnięgo. doktor Mylius wróciwszy pod wieczór od chorych i spocone otarłszy czoło, siadł spocząć w zacienionym kasztanami saloniku. gdyż latem oranżerya była próżna.

Nie lubiąc próżnować. zaledwie nieco odetchnąwszy wziął do ręki nową fizyologią francuską. w której tkwiła zakładka i zabierał się do czytania jej. gdy

drzwi się powoli otwały, i blady, skrzywiony, zgięty, kwasny, z cygarem nadpalonem w ustach, wsunął się Walek Luzziński. Strój jego i postawa wskazywały, jak poufale sobie poczynął ze swym dobroczyńcą. Był bez chustki, a na koszulę narzucony miał tylko pomięty surducik letni. Wszedłszy zaledwie głową skłonił i milczący począł po pokoju przechadzkę.

Doktór, który znał go od dziecka, spojrzawszy nań, łatwo z twarzy przeczytał usposobienie wychowawca. Nicodezwał się może umyślnie, czekając, aż ów sam go zaczepi, i zwoła począł drewnianym nożem dalsze karty książki przecinać.

Zdaje się, że Walek czekał na to, aby go opiekun albo połągał, lub zapytał o co, ale się w rachubie omylił. Mylius jakkolwiek wielce dlań powolny, był w usposobieniu surowszem nieco.

Walek, to spoglądał próżniaczko przez okna, to ziewał, chodził, to stawał, to się krzywił, i — rozpieszczone dziecko — nudził się tem, że doktor się nim ani zakłopotał, ani go spytał o nic, ani nawet pogderał nań czule, jak to czasem bywało.

Uplynał tak z kwadrans, nareszcie sposepniawszy Luzziński, stanął naprzeciw doktora i rzekł sucho.

— Ojciec nawet nie spojrzy na mnie, ale ja jestem chory.

— Chory? spytał doktor podnosząc głowę — co ci jest?

— Albo ja wiem, czuję się nie dobrze. Mylius wyciągnął rękę.

— Daj puls, rzekł zimno. Potrzył go i puścił kiwnąwszy głową. — Chory! szepnął — chory, chciałbym żeby się tak mieli wszyscy moi pacjenci.

Walek ruszył ramionami.

— Cóż winienem, że wasza głupia medycyna nie może namacać choroby mojej?

— Mnie się zdaje, że ty głupszym jesteś od medycyny, odpowiedział Mylius. Chorobę istotną medycyna namaca zawsze, choć jej natury czasem odkryć nie

może. Ale w tobie chorobą jest — chcesz bym ci powiedzieć? — próżnowanie i samolubstwo.

Walek ruszył ramionami.

— Zawsze ta jedna i jedna piosenka. rzekł. już by też ojciec mógł się zdobyć na nową. słucham jej tyle lat. że mnie mndzić zaczyna. Nie wszyscy ludzie stworzeni są jednakowo. ja nie jestem bydlęciem jak drudzy, moje zdrowie i choroba leżą w dnszy.

— Bardzo dobrze. to prawda. odparł doktor. aleś winien wiedzieć. że na choroby duszy nikt nie jest lekarzem oprócz własnej człowieka siły. Jeden z wielkich ludzi pierwszych wieków. Św. Augustyn, powiedział podobno. że Bóg nie może zbawić człowieka bez niego samego; i żaden też doktor bezeń go nie nleczy. Ale powiem ci lekarstwo — weź się do pracy, — zakresł życin cel. zstąp z obłoków fantazyą twą nagromadzonych na ziemię — żyj jak drudzy. a będziesz i zdrów i szczęśliwy. o ile człowiek nim być może.

Walek się nśmiechnął.

— Jak drudzy! jak drudzy! podchwycił — właśnie ojciec w tem się mylisz, że chcesz istotę wybraną, która nie jest do drugich podobną, równać i traktować jak pospolitych ludzi.

— Słyszałem od ciebie kilka razy to dzieciństwo, odparł Mylius. alem je przez miłość dla ciebie nigdy na seryo wziąć nie chciał. Jest-to symptomatem tej choroby na którą się skarżysz, że się masz za coś lepszego od drugich. Jesteś zupełnie do pospolitych i do najpospolitszych podobnym. a to cię zgubi. iż się masz za jakiegoś wybranca.

Walek gwałtownie oburzony przerwał.

— Ja się mam? ja! ja się nie mam za wybranca ale nim jestem! Ja czuję w sobie geniusz. a to próżnowanie które mi wymawiacie. jest warunkiem jego rozwinięcia i dojrzałości. Mam obowiązek piastować go w sobie i nie zabijać. bobył popełnił gorzej niż samobójstwo. byłbym tylko demonoklastą. Tak jest! Należę do ludzi wybranych, do tych co panować powinni,

bo wielkiego ducha piastują w piersi, i czują się nad gmin pospolity wyższymi.

Z politowaniem spojrzął nań doktor.

— Cóż dalej? spytał chłodno.

Walek z brwią namarszczoną chodził żywo po pokoju.

— Tak jest. mówił — mam prawo skarżyć się na świat. na was, na ludzi, boście mi winni uznanie, cześć, troskliwość.

— Szalejesz, rzekł Mylius.

— Jestem bo jestem, zawołał mystycznie Walek. ręką wskazując piersi, rozumiesz pan to?

— Niestety! odparł Mylius surowo, rozumiem doskonale, że twojemu szaleństwu moją powolnością winien. Jak smiesz oskarżać się na świat, ludzi i mnie? Wziąłem cię sierotą ubogą, bez matki, która skołała na barłogu nędzy, opuszczonego wychowałem, wypieściłem, choć nic nie byłem winien więcej nad litość, która się mogła ograniczyć oddaniem do szpitala. Dałem ci więcej niż chleb i życie, naukę, środki ukształcenia się, jakżeś mi się za to wypłacił? tem, że każesz mi dziś wątpić o sercu człowieka!

— Gdybyś ojciec trafił na gęs, całowałaby cię w ręce pewnie, ale padłeś na orła, orzeł wzbija się w obłoki. bo orła w nie natura go niesie. Jam nic nie winien, winny skrzydła moje.

— Bardzo ładnie — odezwał się Mylius uśmiechając. ależ geniusz nie dosyć jest samemu w sobie uznawać, trzeba go ludziom objawić, udowodnić. Kilka lichych, a choćby i dobrych wierszyków jakie wszyscy młodzi ludzie piszą, nie są geniuszu znamięnem, bywają często chorobą. Powtóre, geniusz powinien siłą swą wyrobić sobie drogę, a nie domagać się by mu je drudzy oczyszczali. Geniusz to potęga, wykaż się, z siłą ufając i idąc o własnej. U ciebie wszystko na słowach, ja pragnę czynu, ja nierozumiem człowieka, który nic nie produkuje oprócz — skargi i narzekania.

— Chcesz bym rękami pracował? uśmiechnął się Walek, może około rzemiosła?

— Nawet... nawet to by było zbawieniem. a z pewnością lepszem od lamentów i rozmyślań — rzekł doktor. Praca ręczna nie jest wcale uwłaczającą człowiekowi. a często dla nmyślnego. dla zdrowia ducha. dla utrzymania go w karności zbawienną.

— Ja tych teoryj nie rozumiem. rzekł Walek dumnie. Pojmuję nadzwyczajną różnicę temperamentów i usposobień. różny rozdział talentów i zdolności i dlatego jedną regułę dla wszystkich znajduję do najwyższego stopnia niesprawiedliwą.

— Sofizmat — zawołał doktor — argumentujesz mi wychodząc z tego. że człowiek jest różny. To prawda. aleś powinien wiedzieć. że te różnice nie przechodzą pewnych granic prawem natury ludzkiej zakreslonych. Człowiek nie przestaje być sobą — człowiekiem. choć jest różnym. a zasada pracy i jej pożyteczność odnoszą się właśnie do tego prawa. które żadnemu nie ulega wyjątkowi — musisz pracować lub oszaleć.

— Więc raczej oszaleć — odezwał się Walek. niż geniusz w błocie potarzać. niż go spętać, zniszczyć.

— Ale wiesz-że ty. śmiejąc się przerwał doktor. że wiara w swój geniusz jest właśnie dowodem przeciwko niemu?

— Dlaczego?

— Jest-to faktem.

— Empirycznie pochwyconym! pogardliwie przerwał Łuziński. Taki dowód żaden; — ja co czuję w sobie — przeciwko temu głosy całego świata przemódz nie potrafią.

— Zapelnie tak mówisz jak ów obłąkany. który utrzymuje, że jest szklannym. Wszyscy do koła śmieją się z niego. ale to nie przeszkadza mu obawiać się potłuczenia.

— Walku dodał smutnie Mylius — czas by już było pozbyć się tych dzieciństw. ledwie pierwszym młodości latom przebaczonych.—zaklinam cię.

— Dość tego. gniewliwie przerwał młody chłopiec,

głupim był, że chciałem być zrozumianym i ocenionym przez was, to darmo. ludzie jak wy, ludzi jak ja pojąć nie potrafią.

— Cożem to ja za jeden? spytał Mylius.

— Ojciec jesteś chodzącym po ziemi, wyschłym od nanki, od rozumu, o l drobnostek żywota człowiekiem. nieniałeś nigdy skrzydeł. Dlatego całe moje wychowanie było męczarnią, męczarnią jest życie moje, dla tego świat, ludzie ziemia, przeklął przekłętą dlatego...

— Dlatego płaciesz bez sensu -- przerwał doktor, a że dzień był gorący, to ci się przebacza, i dosyć tego głupstwa. Ale dziś jesteś egzasperowanym niewzyczajnie, czy oprócz skwaru nie usposobiło cię ku temu co innego? pleć już do ostatka, niech wiem.

Walek rzucił cygaro, ręce załamane założył sobie na głowę, i tak począł z podniesionem czołem chodzić po pokoju, pogardliwie milczący. Mylius przypatrywał się mu długo.

— Dziecko nieszczęśliwe, rzekł wreszcie powoli— niewiesz, niewiesz jaką mi sobą zadajesz boleść. Tego stanu chorobliwego przyczyną nie jest geniusz, ale moje pieczyoty bez granic, miłość ślepa. Gdybym surowszy, mniej litościwy oddał cię na walkę wczesną z losem, z niedostatkiem, z ubóstwem, byłoby cię to zahartowało, wzmocniło, byłbyś może wyrósł na istotnie pożytecznego człowieka, gdy dziś, dziś zmarnujesz się może.

Doktor smutnie głowę na piersi opuścił-- Walek słuchając tego śmiał się szydersko.

— Jeszcze ci raz powtarzam, mówił dalej doktor, ty się nie masz prawa na losy swoje uskarżać.

— Wynawiasz mi dobrodziejstwa swoje gorzko.

— Nie wynawiam ci nie, odparł surowiej Mylius, bom nie wymagał od ciebie i nie żądam wdzięczności żadnej, aniś się też jej spodziewał kiedy — ówsem, byłem na to co mnie spotyka przygotowanym zupełnie. Co czyniłem toż robił z ludzkiego uczucia, z tęsknoty za rodziną której nie mam, bom jej sobie

stworzyć nie potrafił. Żał mi ciebie tylko. dlatego muszę ci przypomnieć, że od świata, od ludzi, od niktogo, nawet od losu nie prawa wymagać nie masz. Los ci dał głowę i ręce i on domaga się, byś tych darów nie zmarnował, nie zrobił cię głupcem ani kaleką, choć mógł pewnie. Za co i dlaczego miałbyś narzekać i upominać się więcej?

— Za co? dlaczego? szydersko przerwał Łaziński, nieśmiertelnem prawem geniuszu, który się czuje zdolnym sięgnąć do najwyższych stanowisk.

— Dobrze, niech je uzyskaże trudem i walką — odparł doktor, odpowiadasz mi twierdzeniem bez dowodu. Uczyniłeś co, aby ten geniusz swój światu objawić.

— Świat nie wart go.

— To już dzieciństwo, zawołał Mylins. Z założonymi rękoma nikt nie tryumfuje.

— A tysiąc głupców używa, próżnuje, przewodzi?

— To prawo ich, dla geniuszu prawem trud, a przeznaczeniem zaparcie. Chcesz-li jeszcze być nim?

— Gdybym nie chciał to muszę, zawołał Walek, nie jest w mej mocy zgasić w sobie ogień święty i zstąpić...

— Między prostych śmiertelników, dodał śmiejąc się Mylins, który skończył swą fizyologią rozcinać, i odsunął ją od siebie. Żał mi cię chłopcze — żal, to co mówisz, jest znamię upadku.

Chwilę milczeli, Walek się zdawał namyslać, odwrócił potem do doktora i rzekł:

— Dobrze ci jest mówić dziś, żeś mi nic nie winien, że ja się o nic upominać nie mam prawa! To wygodnie! ale niesprawiedliwie. Prosiłem że cię ja, gdyś mnie brał w łachmanach sierotę, abys we mnie tę iskrę, która mnie miała nieszczęśliwym uczynić, rozdmuchał swojemi pieścizotami? Żądałem ja od ciebie wychowania tego, które mój mysł i serce i żądze i pragnienia rozkołysać miało? Dalesz mi je dla swojej zabawki, chowając mnie jak kanarka w klatce, abym ci twą staro-kawalerską samotność swem szcze-

biotaniem rozrywał. a teraz ja. oflara twojej fantazy. nie mam ci prawa powiedzieć, poślniłeś moją nędzę. moje losy. dałeś mi chorobę. lecz ja...

— Tak jest — dodał z zapalem Luzziński. ja mam prawo upomnieć się. byś zgasił pragnienie, które mnie pali. prawo żądać od ciebie wszystkiego co zechcę. Jestem twym dzieckiem po duchu. jeśli nie z ciała. dziełem twym jestem. jestem dla ciebie obowiązkiem. ciężarem. zgryzotą. Nie możesz mi zamknąć drzwi swych. bo by ci sumienie tve jak zbrodnię wyrzuciło. żeś niewinną istotę. bawiąc się nią, skazał na męczarnie; mogę ci powiedzieć, jak ten co mówił Panu Bogu na modlitwie—Jakiegoś mnie Boże stworzył. takiego mnie masz.

Moje wady. moje szaleństwa. moja nędza. to grzechy twoje.

Doktór zbladł słysząc te słowa. cichym głosem rzekł po chwili milczenia.

— Masz słuszość — ale nie z twoich ust powinienem to być usłyszeć.

Zmieniony głos, postawa poważna.—nieco przestraszyły Walka Luzzińskiego, który chciał się zbliżyć do Myliusza. aby go przeprosić i przebłagać. choć oko popolitego widza gniewu by na wybladłym obliczu jego wyczytać nie mogło.

Doktór wstał z siedzenia; lekkie drżenie zdradzało wzruszenie, które starał się pohamować.

— Dość, dość—rzekł zimno. ręką wskazując zbliżającemu się, ażeby nie przystępował więcej. Dość. Masz waćpan słuszość. im dłużej potrwał by ten nasz stosunek, którego całą szkaradę mi wskazałeś, tem winy by się moje zwiększyły. Stało by się w końcu. iż życia by nie starczyło na ich okupienie. Jest-to chwila wskazana mi przez waćpana samego, w której bądź co bądź, potrzeba zrobić obrachunek ostateczny i rozstać się.

Walek chciał coś mówić.

— Ani słowa, przerwał mu doktor—ani słowa. Ja także mam energię, nawet przeciwko własnemu sercu,

gdy pocznę jej obowiązek. Ten waćpan mi wskaza-
łeś. dziękuję bardzo. Dzielę się z nim moim mająt-
kiem. więcej dla syna bym zrobić nie mógł, ale wy-
magam abys waćpan, dziś natychmiast, wyniósł się
z tego domu, i żebyś ze mną na zawsze przerwał
wszelkie stosunki. Są one dla waćpana szkodliwe,
dla mnie przyjemnemi być przestały. Jestem winnym
a nikt z przyjemnością żywego obrazu winy swej nie
może mieć na oczach.

Doktór zamilkł. Łuziński upokorzony chciał coś
powiedzieć.

— Jak o łaskę proszę waćpana o oszczędzenie mi
dalszych tłumaczeń. Mojego postanowienia nic zmie-
nić nie może, ani słowa. ani łzy, ani prośby. Są wy-
razy które nigdy się nie zapominają, i tną jak miecz.
Odciętej głowy nie można wrócić ciała, ani wyjętego
piersiom serca. Dość! dość! Majątek mój nie prze-
nosi dwóchkroć stu tysięcy złotych. jestem uboższy
niż ludzie sądzą.

Mylius poszedł żywo do żelaznej szafy stojącej
w kącie, otworzył ją milcząc, dobył papiery które od-
liczył i rzucił je na stół.

— Weź waćpan, rzekł, to jego dziedzictwo. masz
prawo do tego. idź i niech ci życie będzie lekkim.

Łuziński zmięszany otworzył usta.

— Ja nie chcę nic.

— Dość tego, przerwał doktor—weź co ci daję bez
wstydu i bez wdzięczności. nauczyłeś mnie, że to jest
splata długu. posagiem tego geniuszu z którym się po-
ślubiłem.

Widząc, że Walek nie tyka pieniędzy. doktor
poruszony, rzucił mu je na ręce. wbił prawie za ko-
szulę, i lekko ale stanowczo popchnął go ku drzwiom.

— Bądź zdrow, rzekł—na zawsze.

Wyrazy te powtórzył ciszej i zamknąwszy drzwi
padł na sofę, błądy, znużony, przybity. Nagle jakby
myśl jakaś mu przyszła. pochwycił dzwonek stojący
przed nim i gwałtownie go poruszył. Po chwili uka-
zał się stary służący we drzwiach.

— Pan Luziński — rzekł do niego Mylius. natychmiast ma się upakować. zabrać co zechce z sobą i wynieść się gdzie mu się podoba. Rozumiesz? zapytał sługi. który stał osłupiały. rozumiesz? wola moja nieodwołalna. Sam on sobie tego życzył. Sprowadzisz furmankę. każesz go wywieść gdzie zechce. pokój zamkniesz. i nie otwierać go więcej.

Sługa stał nierozumiejąc swojego pana, którego miłość dla wychowawca znał dobrze.

— Com ci mówił—powtarzam—dodał Mylius—rozkazuję. żądam. to się musi spełnić. Pan Luziński jest wolny. opieka moja nad nim się skończyła.

Mówił to głosem tak niezwyčajnie poruszonym, tak gorączkowo, że stary poczciwy sługa instyktowo ruszył się. nalał mu wody szklankę, nie nie mówiąc. przyniósł ją i podał.

Doktor zobawszy przed sobą tę niemą przestrożkę do ostygnięcia, uśmiechnął się boleśnie, poklepał po ramieniu starego. łza kręciła mu się w oku. wziął szklankę i wypił ją powoli. Potem siadł na sofie znowu i nieco uspokojonym dodał głosem:

— Idź, mój dobry Piotru—i zrób jak mówiłem.

— Dzisiaj? spytał stary.

— Natychmiast. zaraz w tej chwili.

Podparłszy się na łokciu zadumał nieco biedny człowiek; gdy Piotrek. który tylko co był wyszedł, powrócił z za proga i rzekł cichym swym głosem:

— A tu. proszę pana. chory.

— Chory? gdzie? podchwycił Mylius, to mi go Pan Bóg zsyła w tej chwili. Prosić!

Piotr się zawrócił. otworzył drzwi i ów nieznamy. którego widzieliśmy na cmentarzu, wszedł powoli do pokoju.

Doktor widywał go zdala w miasteczku, słyszał o nim plotki miejskie. ale go po raz pierwszy bliżej i oko w oko spotykał. Wejrzenie na tę bladą. marmurową. ogorzałą. zamkniętą na siedmiu pieczęci twarz. nie mówiącą nic. zdumiało Mylius. który długiem obcowaniem z ludźmi zwykł był od pierwszego pozna-

nia człowieka. coś w nim przeczuwać i zgadnąć. Tu wzrok jego rozbił się o jakieś nieprzebite ciemności.

Nieznajomy mężczyzna ubrany był niewykwintnie, ale suknie miał jakiegoś niezwykłego kroju. Doktor postąpił naprzeciw niemu kilka kroków.

— Darujesz mi doktorze, rzekł przybywający głosem tak mało charakterystycznym, tak zimnym jak fizyognomia—że może nie we właściwej godzinie przybywam, ale obcy tu...

— Ja nie mam godzin wyznaczonych, odpowiedział Mylius grzecznie—cały czas i wszystkie godziny lekarza do chorych należą. Jesteś pan dobrodziej cierpiącym?

— Tak, jestem nieco chory, zaraz to panu opowiem, odparł nieznajomy biorąc powoli krzesło i siadając.

Tymczasem oko jego, przelotnie i nie dając się pochwycić na uczynku, kilkakroć prześliznęło się po doktora twarzy.

— Choć to do rzeczy nie należy—dodał—ale winienem panu doktorowi zaprezentować się. Nazywam się Jan Walter. Rodzina moja pochodzi z Niemiec, ale się tu wychował. Tu, ma się rozumieć w kraju, nie w miasteczku, w którym bodaj pierwszy raz w życiu jestem. Bardzo młodo wydalilem się za granicę, służyłem jako lekarz także w marynarce angielskiej.

— A więc kolegę witam, podchwycił podając mu rękę Mylius. Ścisnęli dłonie w milczeniu.

— Tak jest, odparł Walter. Znużony służbą w Indyach, w koloniach, zateśkniłem za spoczynkiem, chciałem powrócić do kraju mej młodości, to miasteczko zdało mi się spokojnem, cichem, i tu osiadłem.

Mylius słuchał, ale serce mu jeszcze nadto biło żywo wspomnieniem świeżego wypadku z wychowankiem, aby go to bardzo zajmować mogło. Potakiwał głową, myślał o Walku jeszcze.

— Jest to klimat zdrowy, rzekł nareszcie roztargniony—tak—zdrowy, dla nas—ale nawykłem do innego, do innych, do cieplejszych może...

— W istocie, odparł Walter. — niewiem czego to jest skutkiem. znosiłem w moich podróżach dosyć dobrze zmianę klimatów, pokarmów, powietrza, ogólnych zwierzęcego życia człowieka warunków. zdawało mi się. że powinienbym łatwo. wracając do kraju w którym się urodziłem—wrócić do życia w niem bez zbytniego trudu. Tymczasem, czuję się słabym.

— Cóż to jest za cierpienie? spytał Mylins.

— Jest-to raczej ogólna niemoc, rozstrojenie nerwowe. znękanie, niż choroba. Ale taki stan często ją zwiastuje i poprzedza.

Mylins zaczął go bliżej wypytować.

— Zdaje mi się. odezwał się po chwili. iż jedyną przyczyną tego stanu jest zmiana życia czynnego, ruchomego. na siedzące. samotne i bez zajęcia stałego. Zdaje się często człowiekowi. iż byle ciało nakarmił. oddychał zdrowem powietrzem i zapewnił sobie spokój. który nazywa odpoczynkiem. już może żyć nie więcej nie potrzebując. Tymczasem prawo nas nazywające do pracy, jest ona potrzebną i widziano nieraz ludzi. którzy marzyli o wypoczynku a znaleźli w nim rozstrój organizmu i chorobę. Wszak pan wiodłeś życie czynne?

— Bardzo, odpowiedział Walter — służba w marynarce. niestanne podróże. coraz nowe kraje, obudzające ciekawość naukową i zamiłowanie w historii naturalnej. sama zresztą służba, niedawały odetchnąć.

— Jedyne więc lekarstwem dla szanownego kolegi. byłoby czynniejsze życie, rzekł Mylins. Wiecie co. z chęcią się z wami klientelą moją podzielę, czemużbyście nie mieli się zająć praktyką?

Walter się uśmiechnął.

— Kochany doktorze. rzekł — kraj nie znam. odwykłem od niego. nabrałem obyczajów twardych marynarza. praktyka mi dokuczyła i wcale do niej powracać nie pragnę. Wiercie mi.

— Coś przecie robić musicie?

— To prawda, ale medycyna, jako nauka. ma tyle do badania. Zresztą ja jestem z powołania raczej na-

turalistą, chemikiem, farmaceutą, eksperymentatorem niż lekarzem.

— A no, rzekł Mylius — możecie więc rozpocząć coś w tym rodzaju:

— Zapewne, zapewne — odezwał się Walter pocierając twarz, jakby wyraz chciał jej zatrzeć — coś obmyśle.

Wyciągnął rękę do Mylinsa.

— Przebaczcie mi, żem was przyszedł nudzić pod pozorem choroby — dodał, szło mi o waszą znajomość, wszak nie odmówicie jej? Niezawadzam ja wam? może chwilę źle wybrałem? Zdaje mi się, że ktoś się z domu wybiera? syn wasz?

— Ja — ja nie mam syna, cicho westchnąwszy odezwał się Mylius, musi się wybierać może wychowaniec mój, sierota, którego miałem na opiece.

— Wróć więc kiedy indziej, jeśli pozwolicie — rzekł podnosząc się z krzesła nieznajomy.

— Ale nie, nie — siedźcie, proszę. Właśnie w porę jesteście. Chciałbym uniknąć zawsze przykrego pożegnania.

Mylius spuścił oczy i zamilkł zmieszany.

— A wy, nie byliście nigdy żonaci? nie macie dzieci? rodziny? spytał po przestanku.

— Nikogo, poważnie odezwał się Walter — nikogo na szerokim świecie.

— Położenie, które ma i swe przykrości i korzyści swoje — przerwał Mylius.

— Któż wie? najlepiej może nie mieć nikogo, nawet wychowanców — szepnął smutnie.

Walter tylko spojrzał nań.

— Jeśli się nie mylę, rzekł cicho — coś macie na sercu, kolego. Ale nadto krótko się znamy, i choć ci może cięży, nie śmiesz przed nieznajomym ulżyć sobie.

Mylius zdziwiony popatrzał na gościa. Był w tem usposobieniu ludzi czułych, którzy w godzinie rozdrażnienia bolesnego, gotowi są spowiadać się przed nieznajomymi nawet. Któż w życiu nie był

świadkiem takich nagłych wywnętrzeń bolesci. która potrzebując wybuchać, nie patrzy w czyje serce się wyleje?

Dla Myliusza był to człowiek zupełnie obcy, ale w piersi wezbrany żal potrzebował poskarżyć się przed kimś.

Doktor Walter zdał mu się sympatycznym, a był człowiekiem. W niedostatku jego pocziwy Mylius spowiadałby się był ścianom swojego dworku.

— Nie mam tajemnic w życiu. rzekł, uśmiechając się smutnie. Poznałście dobrze, iż ciężar wielki ngniata mi serce. ale na cóż mam was zasmucić dzieląc się nim?

— Trafiłem więc.

— Trafiłeś opatrnościowo, przerwał Mylius żywo. gdy byłeś potrzebnym. bo sam cierpiałbym więcej pewnie. Ten młody człowiek był moim wychowancem. wziąłem go sierotą, od piersi matki nieszczęśliwej. która zaledwie na świat dziecię wydawszy—ledwie je pobłogosławiwszy — skonała. Była to uboga kobieta. której mąż dla niewiadomych mi powodów z kraju się oddalił. zostawiwszy ją w nędzy.

— Tu? tu? w tem miasteczku? spytał z pewnem współczuciem. może tylko dla grzeczności okazaniem, nieznamomy.

— Tak jest. tutaj — mówił Mylius. Była to nieszczęśliwa istota. odebrała wychowanie pewne. powierzchność miała nader ujmującą. serce najlepsze. Jakis los nieszczęśliwy wplątał ją w miłości z tym za którego później poszła. Po zamążpójściu straciła miejsce rezydentki u dalekich krewnych swych. hrabiów Turowskich. mąż jej niejaki Luzziński, opuścił ją.

— Luzziński! powtórzył. zawsze okazując dość zajęcia. doktor Walter.

— Z pracy utrzymywała się tu. oczekując na powrót jego w miasteczku. Byłem wezwany do niej w chorobie. poruszyła mnie jej miłość dla dziecięcia. niepokój o jego przyszłość. rozpacz prawie; przyrzekłem jej zaopiekować się sierotą. Umarła.

— Czy dawno? spytał chłodno Walter.

— Dwadzieścia i dwa lata, mówił Mylius. Zrazu to dziecię, którem opiekowałem się jak własnem, było moją pociechą. wynagradzało mi stokrotnie moje starania i troskliwość. ożywiało mi dom pusty. stworzyło rodzinę. byłem szczęśliwym je pieszcząc. Ale jako człowiek niebaczny był. grzesznym samolubem. Pieściłem je dla siebie, nie chcąc, nie umiejąc przewidzieć. że je gubię, że nie daję mu bartu. którego wymaga życie. Walek wyrósł na genialnego. na zdolnego, na utalentowanego człowieka — ale bez serca. Geniusz który czuł w sobie. a moje pierwsze pieścizoty, duch wieku. który go owionął. uczyniły zeń istotę dla mnie niezrozumiałą. Coś z ody do miłości wydmuchniętego na pokaranie moje. Wrócił do mnie. świetnie skończywszy nanki. próżniakiem. fantastą. dumnym. nielitościwym, zdziwaczałym.

Gość słuchał z zajęciem. ale Myliusowego poruszenia nie podzielał. był zimnym. był zimniejszym może, niż nawet prosta grzeczność dozwalała — nieodpowiadał ani słowa.

Doktór westchnął i przerwał opowiadanie. Szybko otarł łzę, której się wstydził i począł żywo dalej mówić z uadrobionym uśmiechem bolesnym.

— Łatwo przewidzieć co się stało. Codziennam z sobą, mnie staremu i zimnemu, jemu rozgorączkowanemu i zarozumiałemu. było ciężiej — nie mogliśmy się pogodzić, zrozumieć. Nareszcie dziś. z obojętniej. z powszedniej rozmowy. do jakich przywykłem był. których tysiąc zniósłem cierpliwie. — a w której starałem się o spokojny rozsądek. przyszło między nami do nieporozumienia. może z mej winy. Chłopiec mi przykre powiedział słowa. rozstaliśmy się.

— Jakto? on? zapytał gość.

— A! nie — ja mu mój dom wypowiedzieć musiałem — odparł Mylius prawie upokorzony. Byłem zmuszonym do tego, oddałem mu połowę mego majątku.

Słowa te ledwie potrafił wyjęknąć.

— Ależ, może by się to załagodzić dało — rzekł nieznajomy.

— W żaden sposób — podchwycił Mylius. Chciał swobody, dać mu ją musiałem: alem winien mu być do wychowania, z mej winy może skrzywionego, które go próżniakiem uczyniło, dodać majątek. Oddałem połowę tego co miałem.

— Jakto?

— Podzieliłem się z nim, odparł spokojnie Mylius — nie mam dzieci. Bóg mi dał więcej niż potrzebuję dla siebie, zresztą ja pracować mogę i lubię, on się brzydzi pracą, i sądzi, że ona w nim zabija ten geniusz...

— Doktorze, przerwał gość dziwnie mierząc go oczyma, to bajka jakby z Tysiąca nocy. Daj mi twą dłoń, niech ją nścisnę, rozumiem cię, czuję, szanuję. Ale pozwól sobie powiedzieć, czy z najszlachetniejszych pobudek dając mu majątek, nie przyczyniasz się do utwierdzenia go w obłąkanin? — on go straci.

— Nieochylnie — odparł Mylius — ale straciwszy będzie musiał o swych siłach się czegoś dobijać. Nie-mogłem zrobić inaczej, wierzcie mi, byłem dotknięty jego wyrzutami. Dzieciak śmiał mi odpowiedzieć na wymówki moje, że jego grzechy są winą mego wychowania — miał słuszność.

— I przyjął te pieniądze? rzekł zdumiony, z oburzeniem doktor Walter.

— Musiał, wcisnąłem mu je gwałtem -- nie chciał -- rzekł Mylius — raz przecie trzeba było pełnać go, zmusić do życia czynnego. Stało się.

Mylius otarł pot z czoła.

Dwaj lekarze siedzieli przez jakiś czas naprzeciw siebie milczący. Na twarzy tego nieznajomego, który stał się nagle powiernikiem biednego Myliusza, powoli, jakby rozmarzało uczucie jakieś, zdawał się poruszonym wreszcie i pełnym współczucia.

— Prawdziwie, rzekł, po długim milczeniu, które im obu ciążyło — zajęliście mnie żywo historią swoją i waszego wychowanka, ale dla lepszego jej zrozumie-

nia. dajcież mi nieco wyraźniejsze skazówki jego charakteru,

— Jest-to dziecię wiekn. westchnął Mylins. nie mogę zbyt wiele go obwiniać. Niewiem czy owiany doktryną jakąś, czy szalem, chciałby pochwyć w dłonie swe niewprawne więcej, niż one dźwignąć potrafią. Wszystko mi się wydaje złem w porządku tysiącowiekowym świata i wszystko to złe instynktem młodości i jej siłą — chce przerobić. Tymczasem jest to potęga burzy, która wywraca. nie tworzy.

— Narzekacie na ten objaw ducha. odpowiedział z wolna Walter — a ja wam powiem. że ten szal jest owocem naszej słabości. Któż go wychowywał? wy — niemoc starszych, ich odrętwienie rodzą w pokoleniu nowem te instynkta burzliwe.

— Być może. rzekł Mylins z westchnieniem — w innych wyrazach powiedźcie mi to. co ten młokos tak gorzko mi wyrzucał.

— Nie trąpcie się wszakże całą tą sprawą, dodał gość. I nie mówmy o tem. abyście się nie poili goryczą. Ależ wasz wychowaniec. dodał Walter. zapewne nie opuści miasteczka?

— Nic nie wiem co z sobą zrobi, to pewna. że niezdolnym jest do śmielszych przedsięwzięć i nie łatwo mu przyjdzie się zdobyć na krok stanowczy. Sądzę, że wybierać się będzie, a nie pojedzie. projektów zrobi tysiąc, a nic nie wykona. ale wolnym jest...

Westchnął stary.

— Jemu otwarty świat, zapomni łatwo starego, ale dla mnie niewdzięcznego dziecięcia braknąć będzie. jestem sam jeden.

— Ja także przerwał Walter. podając mu rękę. ofiaruję wam niedołęzną przyjaźń moją.

— Przyjmuję ją z zabobonną wdzięcznością. bo mi przychodzi jakby zesłana z niebios. w chwili, gdy mniemam stracił mego wychowawcę.

— Na pierwszym wstępie mam już do was prośbę — dodał po chwili namysłu przybyły. Mówią

w mieście, że tutejszy aptekarz sprzedaje swoją oficynę.

— Wiem o tem, dzieci go za nos wodzą. sprzykrzyło się im jeść chleb bez troski. myślą wynosić się na wieś.

— Ja jestem nabywcą gotowym, odezwał się Walter. Mieliscie słusność, że coś robić potrzeba. mam dyplom farmacenty. zostanę aptekarzem.

— Wy? z zadziwieniem spytał Mylius.

— A no. ja. tak. rzekł nieznajomy.

— I kupilibyście u nas aptekę?

— Czemu nie. Daję wam pełnomocnictwo do układu z panem Skalskim.

Mylius się namyślił.

-- Dobrze. odparł. ale wszystko tak nagle, dziwnie na mnie spada, że mi się opamiętać trudno. Co ten Walek z sobą pocznie?

— Będziemy go mieli na oku. rzekł Walter, nie rozmyślajcie zbytnio. a pomóżcie mi u Skalskiego, to was rozerwie.

Bierzcie kapelusz i idźcie do apteki, po drodze rozejdą się chmury z waszego czoła, nie trzeba wam siedzieć w domu. Wieczorem czekam n siebie.

Walter mimo zimnego pozoru odzywał się z taką szczerości pełną prostotą. z taką jakąś nakazującą powagą. że Mylius go usłuchał — czuł się podbitym. wziął za kapelusz i milcząc wyszli obaj razem w ulicę.

ROZDZIAŁ VII.

Próżniacza gawiedź małej miesciny celuje nade wszystko w sztuce tworzenia plotek ogromnych z niczego. Gdyby kto od rana do wieczora zadał sobie pracę śledzenia pochodni i rozrostu najdrobniejszej wiadomości puszczonej ulicą, zadziwiłby się do jakich ona dziwacznych o zachodzie słońca dochodzi rozmiarów. Nawet najmniej na pozór zdolne do wydania owoców olbrzymich nasionka, ogrzane ciepłem ust co je chwytają, dochodzą do poczwarnego rozrostu. Co w jednym końcu miesciny ledwie się zdało godnem powtórzenia i zapamiętania, w drugim nabiera wagi wypadku niezmiiernej doniosłości. Każdy tam coś dodaje swego, każdy ploteczkę przyodziewa z miłosierdzia, i w ostatku poznać jej już nie można, tak się fantastycznie przebrana nakazuje.

Na progach domów stoją niemający nic do roboty właściciele, w rynku spotykają się ziewające kumoszki.

Co tam słyhać? poczyną się zwykle rozmowa.

— A co ma być słyhać, nic, wszystko po staremu, tylko mówił zakrystyan, że widział, jak z domu doktora wychodził jego wychowaniec z tłómkami, to już pewnie wyjeżdża.

— Ale zaś, wyjedzie, przerywa głos trzeci, wyjedzie bo musi, słyhać, że go dobrodziej wygnał, i ani na oczy...

— Słyszeliście powtarzają dalej, tać to tego biednego Luzzińskiego Walka, sierotę doktor Mylius z domu wypędza.

— Możeż to być? wychował go przecie od dziecka. tak kochał i pieścił.

— Musiał chłopak przeszkrobać, i prawie w jednej koszuli wypędził go stary.

— Nie do wiary!

— Zakrystyan go spotkał, na własne oczy widział idącego z tłómaczkiem, skarżył mu się nawet podobno, że wygnany nie wie kędy się podzieje.

— A! miły Boże! to już nie bez przyczyny.

— A juści nie bez, ale... Różnie mówią, jakoby doktorowi na starość zachciało się żenić. Walek mu czytnił uwagi, i panna się domagała, aby z domu ustąpił.

— Jaka panna? która?

— Tego niemożna wiedzieć, bo to sekret, ale że się żeni to pewna.

— A no, powiedzieć by można, w starym piecu diabła pali.

— Jak stary oszaleje, to już nie ma miary.

— Chłopiec się zdawał taki powolny!

Dalej plotce towarzyszyły inne komentarze.

— Mówią, szeptał po cichu pan Paweł panu Antoniemu, iż młokos rękę podniósł na dobrodzieja swego, a bodaj czy nie poszło o babę. Oj! bo to te baby!..

— Ja słyszałem, że pieniądze narzyszył.

— Doktor, który nigdy się nie gniewa, był słyszeć w takiej passyi, że o stałę u piekarza głos jego poznał, a potem wychowawcowi kazał pono dwadzieścia pięć wyliczyć, i tora ze dwora.

— Być może! co się to z nieborakiem stanie?

— Ale ja trzymam za doktorem. Już kiedy był taki obrzuty, to nie bez kozery.

— Ino chłopca szkoda, bo to się zmarnuje.

— Mówią, że się zaciągnie do wojska.

— Drudzy powiadają, że go Bernardyni ciągną, ale jemu kaptur nie do smaku.

Na drugi dzień biegająca po miasteczku wieść, koloryzowana najrozmaiciej, wyglądała tragicznie, tajemniczo, śmiesznie i najpilniejsze badacza oko, nie mogło by w niej rozpoznać z czego się ona zrodziła

Na dnie tego wszystkiego leżał fakt pełen znaczenia dla gawiedzi, iż po dwudziestu kilku leciech. Mylins się rozstał z wychowawcem.

Laziński pod ciężarem tego wyznania, które nań jak piorun spadło, gdyż nigdy się spodziewać nie mógł, żeby zbyt powolny opiekun doszedł z nim do tej ostateczności, wysmiał się z domu, który za swój własny nawyk był uważać, nie wiedząc wcale, co pocznie z sobą. Do ostatniej chwili spodziewał się jeszcze, iż stary zawoła go, załagodzi, i zostać mu każe. Gdy ta nadzieja zawiodła, musiał zabrać rzeczy, które najęty chłopak miał nieść za nim, i nie nawykły do myślenia o sobie, wyszedł nie wiedząc nawet co pocznie. Gdzie tu się było w miasteczku schronić tymczasowo, aby nie zwracać nazbyt uwagi? chyba w gościnnym pokoju w hotelu przy poczcie, gdzie czasem przypóźnionym trafiało się nocować podróżnym.

Ale i tu znanemu w całym mieście trzeba się było tłumaczyć z powodów przybycia i pobytu, ściągnęło by to nieochybnie domysły, gawędy nieprzyjemne, i natarczywe pytania.

Tych Walek chciał właśnie uniknąć, nie czuł się wcale winnym, a nie życzył sobie, zwalając winę na doktora, więcej go jeszcze ku sobie rozjątrzać.

Już prawie na drodze do hotelu, Walek się rozmyślił znowu, i postanowił skierować do przyjaciela swego inżyniera Szurmy, u którego, jak mu się zdawało, mógł przebyć dni parę, dopókiby coś stanowczego nie przedsięwziął. W tej chwili nie miał jeszcze jasnego pojęcia, co zrobi z sobą. Zdawało mu się wszakże, iż dostojny geniusz świat oburącz i radośnie przyjąć był powinien, wszędzie gdziekolwiek by się skierował.

— Ja zginać nie mogę, i obejdą się bez starego nudziarza! — mówił w duchu. — pożałuje on więcej, że mnie stracił, niż ja, że się go pozbył, zobaczymy!

Było pod wieczór, spodziewał się zastać przyjaciela w dworcu, którego połowę Szurma zajmował.

Inżynier właśnie spoczywał po pracy. rozebrany. z cygarem w ustach, w kawalerskim. niewykwintnem, ale bardzo czysto i praktycznie urządzonej pomieszkaniu.

Gdy w progu jego ukazał się Walek z tłómkami. z brwią namarszczoną. z twarzą wykrzywioną dumną. Szurma zdziwiony. stanął prawie osłupiały; nie pojmował co apatycznego Łuzińskiego mogło pchnąć aż do pomyslenia o tłómkach i podróży.

— Powiedz-że mi co to znaczy? ty! wybierasz się w drogę? ty! — spytał znając jego opieszałość dokąd? po co?

— Czekaj. zaraz ci opowiem wszystko. — rzekł Łuziński. tylko chłopca odprawię... To mówiąc. nłożył swoje węzłki u drzwi. dał kilka groszy małemu posługaczowi. i rzucił się na kanapę wzdychając.

— Mówże! co to jest? co się stało? — spytał ciekaw Szurma.

— Pytasz mnie pono o to. czego ja sam dobrze nie rozumiem. odparł Łuziński. w dwóch słowach ci dam prowizoryjną odpowiedź. pokłóciłem się na ostro z moim starym ot — i wypędził mnie z domu.

— Doktor Myliński! ciebie! — wykrzyknął zdziwiony Szurma. to być nie może!

— Tak jest.

— No, toś musiał mu piekielnie zalać za skórę! — zawołał Szurma.

— Powiedziałem mu prawdę tylko. a ludzie jej nie lubią. odparł Łuziński.

— Ty jemu prawdę! — śmiał się Szurma. ty! a to koniec świata. Opowiedz mi. jeśli potrafisz. jak do tego przyjść mogło. to rzeczy niepojęte...

— Owszem. wypadek bardzo prosty. i któregom ja prędzej później od tego człowieka zimnego i bez serca mógł się spodziewać mówił wykrzywiając się patetycznie Łuziński. Ten stary chował mnie dla zabawki. dał mi wychowanie. naukę. a nie dał w świecie przyzwoitego stanowiska. Byłem nieszczęśliwy. począłem mu to wymawiać gorzko. od powiadał mi

szydersko. Musiałem mu nareszcie wykazać, że ja nie byłem u niego na lasce, ale miał pewne prawa. że ten co mnie wychował, wziął przyszłość moją i szczęście na swe barki. Może być, dodał, iż wyrziliem się za drastycznie, doktor to wziął do serca. porwał się, rzucił mi w oczy jakąś sumkę pieniędzy, i kazał iść precz z domu. Otóż historia cała...

— Nie cała, odpowiedział Szurma, ale się reszty jej domyslać. jeżeli człowieka jak Mylius, któremu winienes był wszystko od kolebki, który cię kochał jak własne dziecko, potrafił przyprowadzić do tego, kroku, wierz mi Łazinski, z nikim na świecie żyć nie potrafisz...

— Będę żyć więc z sobą, i starczę sobie! — zawołał bohater, mniejsza mi o ludzi.

Inżynier popatrzał nań z politowaniem.

— Cóż ty teraz myślisz? zapytał surowo.

— Nie wiem jeszcze co pocznę, uśmiechając się odparł poeta — może popłynę do Ameryki, może sobie w łeb wypalę. (o czem wątpię).

— I ja! szepnął Szurma.

— Może zamknę się, aby stworzyć arcydzieło.

Szurma ruszył ramionami.

— Może się zakocham i ożenię.

— Ożenię, ale nie zakocham, przerwał gospodarz. — serce co kochać nieumiało tego poczciwego ojca, nie zdolnem jest kochać nikogo.

— Myślisz? spytał szydersko Walek.

— Myślę, że cię najsmutniejszy koniec czeka — dodał Szurma, a nie mam sobie do wyrzucenia, bym cię o nim zawczasu nie ostrzegał.

— Nie trwóż się o mnie, rzekł powoli ziewając młody chłopak, tymczasem zaś przyszedłem cię tylko prosić o chwilowe schronienie, bo nie wiem gdzie się podziać.

Szurma zmarszczył się.

— Daj mi pokój — ofuknął się — u mnie tu miejsca wcale nie ma dla fantastycznych jak ty gości. Tu mieszka praca ciężka, oszczędność surowa, rachuba ści-

sła. stoly pozajmowane robotą. łóżko twarde. jedzenie ubogie, a na gawędy nie mam zaprawdę czasu. W dodatku przyznam ci się, że się nawet ciebie boję. od czasu. jak z doktorem Myliussem, albo raczej on z tobą zerwać był zmuszony.

— Ależ powinienbyś zlitować się nademną! rzekł Luzziński.

— Zlitować! nad promienistym geniuszem, który mniema, że mu wolno wszystko gniesć nogami — zawołał Szurma. cóż to znown pleciesz? Geniusz nie potrzebuje litości, ani przyjaźni. nie obowiązany jest do wdzięczności — nie szanuje pospolitych życia prawideł. a że ja tylko niemi się rządzić mogę, jako prosty śmiertelnik, po co mi się wdawać z tą arystokracją ducha?

Ruszył ramionami.

— To cóż. wypędzisz mnie od siebie? zapytał Luzziński. usiłując to w żart obrócić.

— Nie będę miał potrzeby niekać się do tak gwałtownych środków. rzekł Szurma. — ty sam zmiarkujesz, że dla ciebie. w mojej chacie ubogiej. miejsce niewłaściwe.

— Tak? rzekł, podnosząc się Walek. na którego twarzy gniew hamowany się malował — więc proszę o radę co mam z sobą począć?

— Geniusz prosi o radę? cha! cha! zawołał Szurma — nie jestem tak zarozumiałym, bym mu miał drogi wyznaczać.

— Okazywałeś mi zawsze dosyć przyjaźni.

— Prawda. odparł Szurma, bom sądził, że mimo twych ekscentrycznych dziwactw pewnej granicy przyzwyczaję przestąpić nie jesteś zdolnym. dziś się ciebie boję. Któż mnie zapewni, że po tygodniu pobytu, nie urościsz do mnie równych jak do pocziwego doktora pretensyj?

— Sądzisz więc, że źle postąpił?

— Ale któż inaczej cię osądzi?! zawołał inżynier. Jeżeli mam jaką radę do dania. to jedną. albo przepros

opiekna i życie obierz czynne, lnb wynoś się ztąd — gdzie cię uczciwi ludzie wszyscy potępić muszą.

Luziński zwlókł się powoli z kanapy. rzuconą na stół czapkę włożył na głowę milczący. nie odpowiadział nic i skierował się ku drzwiom.

— Będę pana tylko prosił, aby tu moje rzeczy. których sam zabrać nie mogę. jakiś czas pozostać mogły. póki się po nie nie zgłoszę. Żegnam pana.

Szurma kiwnął głową. drzwi się zamknęły, Walek wyszedł na ulicę i powolnym krokiem powlókł się nie pewien siebie do restauracyi pod Różą.

Instytucya ta dobroczynna znajdowała się od lat już wielu w samym rynku miasteczka, nieopodal od cukierni pana Batysta Gorconi i poczty. Trafiło się czasem. iż zgłodniały podróżny do niej zachodził. ale głównie miała ona na celu zaspokojenie gwałtownie się cznie dającej potrzeby podobnego zakładu dla licznych urzędników miasteczka, kawalerski żywot wiodących i dla nie mających stałego zatrudnienia właścicieli domów, którzy radzi tu czytawali Kurjerka. grali w bilard, pili piwo, niekiedy kawą się raczyli. a nawet stawiali w wielkich wypadkach butelkę kwaśnego wina przed oczy zdumionych ciekawców.

Restauracya pod Różą ntrzymywana była przez wdowę. panią Panze. która niewiadomo jak była z domn. i nikt ściśle oznaczyć nie mógł. ani kiedy została zamężną, ani w jaki sposób postradała małżonka. Była to osoba zdrowia delikatnego. nerwów nader drażliwych. nie zajmująca się zbyttnio zakładem swym. którym kierował oberkelner pan Ignacy, piękny mężczyzna wyfryzowany i noszący wspaniałe dewizki u zegarka i guziczki u koszali. Oprócz tego, dwie zgrabne dziewczynki Hanka i Jóźka. posługiwały gościom z wielkiem ich zadowoleniem.

Restanracya miała wielką salę bilardową, nieco ciemną tylko i niską. do której schodziło się po dwóch schodach, ozdobną w szafę za szkłem pełną cygar. cukrów i innych kosztownych łakoci. drugi pokój jadał-

ny, przybrany kilku pięknymi portretami i parę mniejszych pokoików.

Pani Pauze miała oddzielne pomieszkanie z białymi firankami, fortepianikiem, klatką kanarków i wspinałą kotarą. Tu tylko najbliżsi, najpoufalsi znajomi, przypuszczonemi bywali na stopie nie gości, ale przyjaciół.

Restauracya dawała obiady abonamentowe szkaradne, ale z których naturą żołądki konsumentów po jakimś czasie oswoić się mogły. karmiła niektórymi potrawami extra gości przypadkowych, miała poddostatkiem piwa, wina, ponczu, kawy, a pan Ignacy odzywał się czasami, że z trudnością nawet w Warszawie równą jej znaleźć można, co może prawdą było.

W restauracji pod Różą, wieczorami zwłaszcza, zbierali się amatorowie szlachetnej gry bilardowej, do których w poufałym gronie należał też pan Ignacy, sławny z robienia bil klapsztosem. W tej sali, która oświecona lampą zwieszoną nad zielonem polem wálki, wydawała się dość fantastycznie, ze swemi głębokimi ciemnymi i szafą pełną nęcących tajemnic (od której klucz nosił sam pan Ignacy) zbierało się wieczorami, najdystyngowańsze towarzystwo miejscowe: pan pocztmistrz, niekiedy burmistrz, sekretarz sądu, i inni dygnitarze prowincjonalni.

Wszyscy dobrze znajomi byli tu en famille, jak w domu, rozmowa toczyła się poufale, i każdy wychodząc, czuł w sercu wdzięczność dla pani Panze, za poświęcenie, z jakim utrzymywała to miejsce niewinnej rozrywki. Wprawdzie to co zwykle zwano arystokracją miejską: Doktor Mylins, aptekarz Skalski, kupiec Siebeneicher, nawet inżynier Szurma i inni czubaci (tak ich żartobliwie mianował pocztmistrz) nie często się tu ukazywali, nie zabawiali długo - ale też za to nie używali błogich rozkoszy gawędki zajmującej, jak wieczory pod Różą przyjemniała. Miano często swobodę opowiadania sobie o nich różnych zajmujących powiastek i nie szczędzono żółto-brzuchów. Tem przewiskiem znówu napiętnował ich nie-

co złośliwy sekretarz sądowy, który tu uważany był za człowieka znakomitych talentów, zablakanych jakimś wypadkiem na prowincye. Jeden talent miał nie zaprzeczenie, bo pił jak nikt, nie był pijanym nigdy, i nieodmówił kieliszka, choćby witryolem nalanego.

Bilard pani Pauze nie był pierwszej młodości, suknio doznało losów różnych, nogi nie zupełnie były poprzytwardzane do posadzki, ale nawykli doń wiedzieli, z kim mieli do czynienia, i woleli starszka, niż nieubłaganej surowości nowe wyroby, tajemniczej natury, po których kule toczyły się najczęściej wbrew najpewniejszej rachubie.

Jakkolwiek towarzystwo zgromadzające się pod Różą nie było wcale genialnem i nie zajmowało się kwestyami literatury, sztuki, ekonomii politycznej, Walek Luziński ucieszczać tu lubił. Tajemnicą, która go tu przyciągała, była cześć, jaką mu oddawali wszyscy goście, niewyjmując utalentowanego sekretarza, i przyjaźń gospodyni, która mając usposobienia poetyczne, acz słabo rozwinięte, instynktowo czuła się sympatyczną dla osłoniętego jeszcze mgłą zarania geniuszu.

Walek Luziński nie tylko miał kredyt w restauracyi, spędzał tu często całe dnie na pół leżąc na lawce, ale bywał niekiedy gościem u miłej wdowy, która rozmowę z nim cichą przekładała nad inne. Chociaż milczał czasem godzinami i prawil potem genialne nieдорzecznosci, nigdy reputacji swej wielkiego człowieka w przyszłości nie nadwężył. Naturalnie więc po doznaniem przyjęciu więcej niż chłodnem u Szurmy, pomyślał najprzód o schronieniu chwilowem pod Różą. Nim doszedł do tego portu, powziął nawet szczęśliwe postanowienie odezwania się do serca sympatycznego miłej pani Pauze, i sznkania u niej rady przyjacielskiej.

Ale jakkolwiek wycieczka do Szurmy i rozmowa z nim nie wiele zabrały czasu, nim Walek doszedł do restauracyi, poprzedziły go tam już, przez kilka na raz osób przyniesione wieści, o jego zającin z opiekunem. Zdania o wypadku były podzielone, opowiadania

się różniły wielce, powody były nieoznaczone, domyśły nader śmiałe — lecz skutkiem usposobień ogółu dla Walka, pewnej niechęci dla doktora, do którego żal miano, iż rzadko raczył tu bywać — winę przypisywano Mylinowskiemu raczej a politowanie i współczucie objawiły się dla nieszczęśliwego sieroty.

Wiadomość ta zelektryzowała do tego stopnia wszystkich mieszkańców i gości, iż niewyjmując pani Pauze, zgromadzili się w sali bilardowej, na której progu stały Hanka i Józka, chłopiec Matyaszek, stróż nawet w fartuchu z miotłą, co w tym ekstraordynaryjnym wypadku nie raziło ani sekretarza, ani pocztmistrza. Ciekawość, jak inne namiętności, równa ludzi — skupiali się słuchając opowiadań, a pani Pauze załamywała ręce w milczeniu.

— Nieszczęśliwy młodzieniec! szepnęła pocichu.

— Gbur i grubijaniu ten Mylius, ja to zawsze mówiłem, ożwał się sekretarz, tyranizował go, męczył, undził, na koniec by się i w świętym cierpliwości przebrało.

— Ale co on pocnie?

W tej chwili żywy chód dał się słyszeć w przedsienu. Hanka i Józka rozstały się przelekłe, jakby się im upiór pokazał, i na górnym schodzie, biała twarz bohatera zajaśniała oczom zdumionym przytomnych.

Wszyscy zanikli trącając się łokciami, we wszystkich sercach zrodziło się uczucie wdzięczności dla Walka, że żal swój przyszedł wyłąć na łono przyjaciół, że im przyniósł pierwociny tak niezmiernie ciekawej awantury. Ale nieśmiano spytać o nie zboląłego młodzieńca, który minąwszy Hankę i Józkę, wprost skierował się ku bilardowi, pozdrowił panią Pauze i szepnąwszy jej kilka słów niezrozumiałych, pośpiesznie wyszedł z nią do jej pokojów.

Mówiliśmy już, iż uila wdowa miała serce czułe i usposobienie poetyczne, cierpiała częsty ból zębów, który przypisywała także nazbyt rozkołysanemu sercu, oddziaływającemu na cały organizm; chustka biała

czyniła ją interesującą. podwiązywała się nią prawie zawsze.

Zarumieniona i poruszona weszła gospodyni na górę. i siadając w fotelu. wskazała Wolkowi miejsce naprzeciwko siebie. Luzziński miał w ręku swój słomiany kapelus.

— Moja droga pani. rzekł — zdarzył mi się przypadek.

— A! wiem już. wiem. ale jakże to było? podchwyciła cznła istota.

— Jakto? pani już wiesz? zawołał zdziwiony Luzziński.

— Słyszeliśmy. tak — już coś po mieście chodzi. O! ten niegodziwy doktor — ale czyż prawda, że śmiał się targnąć na waćpana?

— Targnąć się? na mnie! krzyknął obmierzony Walek — to bezecna bajka! to niegodziwa potwarz uwłaczająca mi! ja nie dałbym się nikomu targnąć na siebie. boby zuchwalec skinienie życiem przypłacił. Inaczej się wcale stało — dodał — powiedziałem mu ostrą. należną jego postępowaniu prawdę. odebrałem kapitał mojej matki. który miał sobie powierzony i opuściłem ten dom na zawsze.

Wdowa słuchała z chciwością. polykając wyrazy. w uchu jej zabrzmiał: kapitał. i trzeba wyznać. że przyjaźń jaką miała dla genialnego młodzieńca jeszcze się zwiększyła. niewiadomo jego niedolą. czy kapitałem?! To pewna. że gdy począł jej malować położenie swe przykre chwilowo. powstała żywo z fotelu i oświadczyła mu. że próżny pokój na górze. czasami tylko dla nadzwyczajnych gości w chwilach wielkiego natłoku zużytkowywany — oddaje mu chętnie. choćby na czas jak najdłuższy.

Trzeba. dla ocenienia tej ofiary. dodać. iż pokój był od ulicy. z firankami. o dwóch oknach i meble miał wcale przyzwoite. choć pochodziły z licytacji po Abramie Konwisie. starozakonnym kupcu. który nie-
szczęśliwie zbankrutował.

Walek nie mógł inaczej, wymowniej okazać swej wdzięczności wdowie, jak dłoń jej drżącą przyciskając do wzburzonej piersi, co chorą twarz, osłoniętą białą chnsteczką, ożywiło krasnym rumieńcem.

— Pani, rzekł wzruszony, racz wierzyć, iż dozgonną dla niej to serce wdzięczność zachowa.

— Niech pan posle po rzeczy (o mało nie pomyliła się i nie powiedziała — po kapitał) zawołala wdowa, niech się pan przenosi do mnie i niech sobie ludzie gadają co chcą, ja się z ich potwarzy śmieję.

— A ja nimi gardzę, dodał Walek.

Zdawało się pani Panze, iż nie miała chwili do stracenia i natychmiast zeszła dla odkomenderowania stróża do dworku Szurny po łómoki. Postanowienie to heroiczne, zdawało się nie w smak iść oberkelnerowi, panu Ignacemu, który strasznie głową kiwał, chciał nawet czynić pewne uwagi, ale wdowa ani ich słuchać myślała. Była to kobieta tem energiczniejsza, że w gruncie słaba, a człowiek czujący się niepewnym siebie, gdy się uprze, staje się kamiennym.

Po heroicznej tej decyzji, pani Panze zamknęła się na gorze, a Walek zszedł na dół z postacią prawie tryumfującą, i tu otoczono go kołem. Towarzystwo jeszcze się było zwiększyło, wszyscy palali ciekawością, bohatera mieli w ręku, przywoitość wszakże napastliwymi być nie dopuszczała. Walkowi zostawiono swobodę umieszczenia się na ławce jak zwykle, i wypoczynku po tajemniczej przygodzie.

Zrazu poszanowanie dlań wstrzymywało nawet od partji bilardowej, na którą przychodziła pora, ale po dojrzalej naradzie zgodzono się, iż dźwięk kuli i stękot karambolów są jednym z najsukuteczniejszych środków rozbicia smutnych myśli. Sekretarz pierwszy puścił bilę po suknie dawniej zielonem. Walek zamyslił się, towarzystwo odzyskało wolne ruchy i swobodę dni powszednich.

Dzień to wszakże nie był jak inne, znikający z pamięci ludzkiej bezpowrotnie, zaledwie gracie pierwsze punkta znaczyć poczynali, gdy drzwi sali się otwały,

młody mężczyzna stanął w progu. a że nie był z miejscowością obeznanym i o trzech schodkach nikt go nie uprzedził. poślizgnął się fatalnie i byłby może padł z nich, gdyby się nie zatrzymał na plecach sekretarza. którego niezmiernie grzecznie przeproszać zaczął. Sekretarz się śmiał, i rozmowa wszczęła.

— Widać. żeś tu pan dobrodzieju u nas gościem po raz pierwszy. rzekł wesoło — bo każdy niemal jak pan. przypląca wiadomość o schodach guzem lub strachem.

Nas to już nie dziwi.

Nieznajomy. który wpadł z takim hałasem. był w istocie całkiem obcym w miasteczku, a że nie mamy powodu robić z tego tajemnicy. powiemy od razu. iż nim był baron Helmold Kaptur. wracający ze swej wycieczki do Turowa i dla pewnych. ważnych osobistych interesów, potrzebujący parę dni zatrzymać się w miasteczku.

Nawykły do stolic, baron sądził. że tu znajdzie choć miniaturowe ich powtórzenie, na małą skalę. hotel, table d'hôte, miejsca. w których by coś mógł pochwycić. Ze zdumieniem przekonywał się. że w hotelu, który nosił ten tytuł, trudno było o jeden pokój. gdyż zwykle pusty, zajmowano kartoflami, a restauracja była widocznie przeznaczoną dla miejscowych. Witano go tu tak zdziwionemi oczyma. iż dłuższy pobyt zdawał się niepodobnym. a poznanie się i rozgadanie prawie niemożliwem. Zostawała mu wprawdzie apteka, ale tu powtórzonemi odwiedzinami lękał się obudzić nadziei w pięknej królewnie i na głowę wziąć dosyć nieznosnego przyjaciela Rogera. W ostateczności bytność u Skalskich przypuszczał tylko jako smutną konieczność. gdyby jej uniknąć nie było można.

Tymczasem raz dostawszy się do restauracji. postanowił tu już wieczerzać. a jeśliby co dało się dobyć z gości — korzystać. Umiał być dobrym kolegą gdy tego była potrzeba, choć strój, ruch. powierzchowność, zdradzały w nim człowieka innego świata.

Oberkelner poznał w nim barona po dewizkach

od zegarka, pełnych wykwintnego gustu, których mu w duszy pozazdrościł.

Sekretarz jeszcze się śmiał, a baron mu wtórował, już oczyma inwentarz towarzystwa spisując. Uderzyła go twarz smutna, ponura i wyrazista Włoka Luzińskiego, instynkt wskazywał w nim człowieka kwaśnego, nieprzyjaznego ogółowi, który mógł być drogocennym do zbadania, bo z niego dobyć łatwo było wszystkie ciemne strony tutejszych ludzi i spraw. Ale jak się tu było przychwycić do dzikiego nieco stworzenia, które musiało elegantów, jak baron, nienawidzieć?

Pan Helmołd był człowiekiem bardzo praktycznym, zadysponował sobie wieczrę na prędkę, a sam udając wielce zamilowanego w grze bilardowej (i wistocie celował w niej trafnością oka) usiadł przy Luzińskim, przypatrując się dramatycznej partyi między sekretarzem a pocztmistrzem.

Pocztmistrz, który go widział, bo mu dawał konie do Turowa, szepnął na ucho sekretarzowi.

— Baron z Galicji.

Sekretarz, który potrzebował kredę natrzeć koniec kija, ustawił się tak, ażeby mógł do ucha powiedzieć Luzińskiemu.

— Baron austriacki.

Walek spojrzał ciekawie na sąsiada.

— Panu dobrodziej nie grasz? zapytał go odważnie przybyły.

— Owszem, czasami grywam, jest-to rozrywka po pracy, dosyć przyjemna. Głowa spoczywa, ręce się ruszają.

— Tak, i ciało jest w ruchu, ja osobom zmuszonym do siedzenia...

— Ja nie jestem zmuszonym do niczego, odparł Walek szorstko.

— A! rzekł baron wpatrując się w niego — ja także — jesteśmy więc w jednakim położeniu, ale dlatego bilard mi nie bawi.

— Czasem i mi nie, ale długo...

— Tak! długo to niepodobieństwo. Pan dobrodziej jestes mieszkańcem tutejszym?

— Chwilowo. odparł Walek. miałem tu stosunki. ale zapewne ztąd wkrótce wyjadę.

— A! zapewne do Warszawy?

— Dotąd nie wiem.

— Okolica dosyć pusta?

— Jak u nas wszędzie.

Rozmowa szła ciężko. Luziński nie był tego dnia nsposobionym. Baron rachował na butelkę szampana, ale wieczrę miano mu podać w drugim pokoju. jak tu było Luzińskiego zaprosić — łamał głowę.

Przebąkiwali po słówku. gdy oberkelner sam osobiście zjawił się z knrczącem tak wyrosłem. że mogło otrzymać maturitatis i nazwać się jnż knrą.

— Gdybym śmiał być natrętnym. ozwał się baron. i mógł prosić pana dobrodziejja jako ziomek. choć nieznany. na kieliszek szampana...

Walek lubił bardzo szampana. była to jedna z jego licznych słabości. gdyż i węgrzyn dobry go rozczylił, zachwiał się widocznie. baron skorzystał z tego.

— Chodź pan. młodzi jesteśmy oba. choć nieznajomi. czemu byśmy pogawędzić nie mieli?

Luziński wstał i poszedł. posłano po szampana w łodzie; rozmowa samą jego nadzieją się ożywiła. spoufalila.

— Okolica mi się dosyć podoba — rzekł baron, mniej ludzie — może to wina tego. iż ich znam mało.

— Gdy ich pan poznasz lepiej. nie zyszczą na teni. jak w ogóle ludzie, przerwał Walek. ale kogóż pan tu poznał?

— A no, oddawna w Warszawie znałem pana Rogera.

Luziński się skrzywił i zmilczał.

— Pan zna Skalskich?

— Czy pana ta rodzina obchodzi bliżej?

— O! bynajmniej! rozśmiał się baron, ałem ciekawy. czy to są obywatele wiejscy, zamieszani tu przy padkiem. czy...

— To są właściciele apteki. papa Skalski był, jest, ale niechce już być więcej aptekarzem. Mama może by zniosła aptekę. córka i syn — nigdy. Raczej śmierć niż aptekę. Skalscy pieczętują się herbem. a herb i rubarbarum nie chodzą z sobą.

— O! wybornie! śmiał się Helmolde, nalewając wino Luzińskiemu — takimi się mi wydali. gdy mnie tam Roger zaprosił.

— Panna Idalia jest bardzo piękna! — dodał Luziński, ale...

— Jest i ale w tej piękności? — zapytał baron.

— Nie w piękności. chyba w sercu. podchwycił Walek, urodziła się bez niego. Nie słyszałem by komu serce, lub noga wyrosła, jeżeli bez nich przyszedł na świat.

— Co do serca, to sprawdzić trudno, rzekł baron, człowiek który nie ma go. długo czasami pada jego ofiarą. gdy się zapóźno obudzi.

— W pannie Idalii... wątpię... Jest-to osoba wykształcona, miła, dowcipna, piękna. zachwycająca, ale...

— Brak serca, to dla kobiety największe szczęście...

— A dla mężczyzny co ją pokocha, najokropniejsza klęska.

— Na cóż się w niej kochać? — spytał baron.

— A! to prawda, dodał Walek, ale są predestynowani...

— Czy już wielu nieszczęśliwych padło ofiarą? — spytał baron.

— Ja nie wiem, śmiejąc się odparł Luziński. choć wychowany w tem miasteczku. choć tu żyjący znowu od niejakiego czasu, nie mam szczęścia bliżej się znać z apteką. Apteka choruje na arystokrację, a ja... tego panu mówić nie potrzebuję, nie należę do niej.

— Pan wiesz ile jest rodzajów tak zwanej arystokracji? — spytał baron.

— Ja nie mam pretensyi do żadnej, mówił Luziński śmiejąc coraz. W Anglii możebym jak Dizraeli, jak Macaulay dobił się czegoś... nawet pałowego fotelu. ale u nas...

— Widzę że pan pracujesz... umysłowo?

— Gdyby ta praca w kraju naszym możliwą była. zawołał Luziński, możebym się jej oddał. Ale dla kogo ją przedsiębrać? dla czterech czytelników, którzy to wiedzą co i ja? potrafią to samo. a pragną czegoś większego? do czego mnie nie obudzi nigdy zachęta potrzebna dla geniuszu, ani współczucie którem on żyje...

— Oryginalnie trafiłem. mówił sobie w duchu baron, słuchając. Plecie niewiedzieć co, ale z werwą! dalipan, z werwą!

I dolał mu jeszcze szampana.

— Pan nie powinienesz tu w tem ciasnem kółku pozostawać. odezwał się grzecznie.

— To też jestem tu tylko przelotem. mówił Walek nabierając otuchy. ale mi brak ochoty, energii. woli, nie widzę celu. życie trawię na poziewaniu.

— Jeśli pan masz położenie niezależne...

— Zupełnie. zupełnie, podchwycił Luziński. jestem wolny. nawet do pracy mnie nic nie zmusza. bo bez niej żyć mogę.

— To może nieszczęściem jest dla pana.

— Tak czy owak życie minie... mówił Luziński pijąc...

Wszystkie te zwierzenia niewiele obchodziły barona, szło mu o wcale inne wiadomości.

— Znasz pan zapewne okolicznych mieszkańców?

— Trochę... zresztą tu się wszyscy znamy.

— A hrabiów Turowskich?

— Tych niepodobna nie znać, odparł Luziński, któremu szumiało w głowie.

— Stara rodzina. zamożna, pańska?

— Niegdyś tak, ale teraz, panny tylko dwie, nieszczęśliwe niewolnice, mają jeszcze coś majątku, reszta w ruinie. Stary dogorywa, syn garbusek myśli pewnie albo siostry pogrzebać, lub się chyba ożenić z garbatą. a bogatą. Politurowana nędza...

— Ależ hrabianki? — spytał baron.

— Te w istocie mają być bardzo majątne. Szczęściem dla nich, matka je odumarała młodo i fortuna zo-

stała nietkniętą, ale cóż im po niej? Trzymają ją zamurowane, i macocha pewno nie dopuści, żeby o którą mógł się starać jaki kandydat do stanu małżeńskiego i poślubić. Na straży stoi kuzynek Francuz, braciszek czujny o swe dobro, a zresztą nałóg niewoli, który pannom odebrał i nadzieję, i wszelką ochotę wyrzeczania na świat...

— Być może, obojętnie rzekł baron, tembardziej że panny nie są już pierwszej młodości, i ta fortuna o której mówią, bądź co bądź, problematyczna.

— Co do tego ostatniego, wcale nie, zawołał Luzziński, fortuna to znaczna, nie nlegająca najmniejszej wątpliwości, nie znajdziesz pan człowieka u nas, któryby jej obliczyć mu nie mógł.

— Naprzykład? — spytał niedbale baron.

— Panny w najgorszym, najgorszym razie, będą mieć po pół miliona, licząc nawet, że je obedną.

Baron był zapłacony za szampana, dla niepoznaki już tylko począł rozpytywać znowu o Skalskich.

— Panna Idalia także nie byłaby ubogą, odpowiedział zbyt otwarty Walek — ale jeżeli aptekę sprzedadzą, o co podobno właśnie się starają, zmarnują to, co na niej zarobili. Taksują ich tu ludzie na przeszło pół miliona, ale któż wie, jak ojciec podzieli rodzeństwo? Spodziewam się tylko, że panna Idalia nie da sobie zrobić krzywdy.

— Zdaje się, panna bez serca, powinna być praktyczną — dodał baron, śmiejąc się.

— Jest-to wiek ludzi praktycznych — odparł szydersko Luzziński — praxis dziś górą po nad wszystkim. Są nawet dzieła, poemata, filozofie, umysłowe twory — niepraktyczne i praktyczne. Tajemnica praktyczności naszego wieku zależy — na błędzie. Błaga daje skrzydła, otwiera usta, podstawia piedestał, błaga jest smarowidłem, bez którego machina epoki by nie szła. Kto nie ma błagi, kto się do niej nałamać niepotrafił, biada mu! zostanie niepraktycznym i potępionym.

— A pan jesteś za błagą? zapytał wesóło baron.

— Myślę się oddać studjom nad nią. gdyż największy geniusz bez niej się na nic nie zdał. rzekł Luziński. Trzeba przed nim bić w bęben i grać w trąby. inaczej przesłiznie się niepostrzeżony.

Baron już ziewał wewnątrz. był zmęczony. teoria blagi wcale go nie bawiła. dowiedział się. co wiedzieć pragnął. życzył się wysliznać. dopił wino. zaczął zapewniać Luzińskiego. iż nader jest szczęśliwym. ze spędzenia tak miłego wieczora. wziął za kapelusz. zapłacił rachunek. i mówiąc sobie w dnszy. iż dnia nie stracił. wysunął się nareszcie na spoczynek do hotelu. w którym przyrzeczono mu kartofle wynieść. aby jego pomieścić.

Luziński ndał się do swego apartamentu na górę. rozmarzony nieco. ale tryumfujący.

I gdy poczciwy Mylius wracając do domu ze łzą w okn mijał drzwi pokoiku pustego. nieśmiejąc spojrzeć na nie. aby mu nie przypomniały wychowańca. Walek bez zgryzoty i tęsknoty kładł się do miękkiego łóżka. mówiąc w duchu:

— Pożaluję tego stary!

Miał słusność. doktor oka nie zmrużył w nocy. na przemiany czytał fizyologią i chodził po pokoju. Ranek zastał go na nogach. i zmęczenie o świcie litosciwie przynknęło powieki. Luziński we śnie marzył o laurze na kapitole.

ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz rano, wedle chwalebnego swojego zwyczaju Walek Luzziński nie zbudził się aż po ósmej, byłby może zasnął jeszcze dłużej po wczorajszej biesiadzie, gdyby mu snu pukanie do drzwi nie przerwało. Sądził, że troskliwa gospodyni przysyłała mu kawę, i narzuciwszy suknie na przedce, pobiegł otworzyć; w progu stał chłopak doktora Mylius, który milcząc, doręczył mu opieczętowaną z papierami kopertę. Twarz chłopca się rozjaśniła, był pewnym, że doktor przeprosi go i nazad powoła, układał już w głowie warunki amnestyi; ale posługacz nie czekając odpowiedzi, odszedł szybko, a w rozerwanej na przedce kopercie nie było ani słowa od Mylius, tylko papiery po matce Luzzińskiego pozostałe, metryki, listy, świadectwa, które wychowawcowi mogły być potrzebne. Odesłanie ich oznaczało, że Mylius wcale o pojednaniu nie myślał, i owszem, wszelkiego zbliżenia i powodu doń na przyszłość chciał unikać.

Mimowolnie zajęty tą pozostałością po matce, której nigdy jeszcze nie miał w ręku, Luzziński siadł jak stał rozbierać papiery, aby się z nich o sobie coś więcej dowiedzieć. Mylius rzadko mu wspominał o matce i tyjących się jej okolicznościach. Walek niewiele się jakoś o to troszczył, uważając się już za przybranego syna i spadkobiercę doktora, ale od wczora niespodzianie zmieniły się okoliczności, a przeszłość poczęła go więcej obchodzić.

Papiery wszakże nie wiele o niej objaśnić mogły — było ich mało, i żadnego ciągu. Matka Luzziń-

skiego urodziła się za Bugiem. wychowała i mieszkała u bardzo dalekich krewnych w Turowie. To pokrewieństwo jakkolwiek prawie fantastyczne. bo stopnia jego oznaczyć było niepodobna — pochlebiło niezmiernie dumie młodego człowieka. powiedział sobie. że z niego korzystać będzie!

Był dotąd zażartym demokratą. wyśmiewał Skalskich za ich pretensje szlacheckie. ale znalazłszy się nagle po matce szlachcicem, urosł natychmiast i poczuł się jakby silniejszym. Z drugiej strony wszakże. mógł się czuć upokorzonym. bo choć papiery nie dokładnie to oznaczały. widać z nich było. że zamąż pójście matki. stało się powodem jej wygnania z Turowa. Musiała więc pójść nie tylko za nieszlachcica. ale może za kogoś takiego. z kim Turowscy najmniej mieć nie chcieli stosunków.

Z dat. z notat. listów. widać było. że Luzińscy żyli z sobą niedługo. że opuszczona. w niedostatku zmarła matka jego. a mąż niewiedzieć gdzie się podział. Spodziewała się jego powrotu do samej śmierci. miała nadzieję. że dziecięciem się zaopiekuje. że się o nie upomni. — milczenie tak długie dowodziło. że chyba zginąć musiał. Co się tyczy rodziny ojca. tej ani pochodzenia. ani zajęcia. ani stanu. Walek z papierów wyczytać nie mógł. Zdawało mu się wszakże. iż albo z okolicy. lub nawet z samego miasteczka musiała mieć początek. i że ojciec jakąś służbę w Turowie i miejsce miał. gdy się o matkę starał.

Ale to były raczej domysły i prawdopodobieństwa niż pewniki. na których by się opierać można.

Przypominał sobie teraz Luziński. iż będąc kiedyś w kościele. słyszał z ambony zapowiedzi jakiegoś mieszczanina. który to nazwisko nosił. i z tego powodu dowiedział się. iż rodzina bardzo uboga. mająca kawałek gruntu na przedmieściu do dziś dnia istniała. Miałaby ona być jego rodziną? Walek demokratą. uszlachcony świeżo. na myśl tę się oburzał. Czuł już w sobie nie tylko geniusz wczorajszy. ale krew wybranych płynącą po żyłach. Matka jego z domu Bu-

zimirska, spokrewnioną była z Turowskimi. a kolligacya z nimi. starczyła za genealogią!

Przerzuciwszy parę razy papiery i złożywszy je razem z pieniędzmi. które postanowił geniusz nosić przy sobie. — począł się namyslać nad tem. co mu czynić należało? Niepodobna było pozostać w restauracyi na łasce pani Panze, w miasteczku na oczach ciekawej gawiedzi. bez zajęcia. zwłaszcza. mając w kieszeni sto tysięcy złotych. które dla każdego mogły być pięknym fortuny początkiem.

Uśmiechała się naturalnie stolica. zawód literacki i sława. która skronie jego nwieńczyć miała. Ale nieprzełamane lenistwo radziło się nie śpieszyć. chciał wprzód. pod pozorem zasiągnięcia wiadomości o matce. udać się do Turowa. Któż wie. na co się to przydać mogło. zawsze zawiązanie na nowo tego węzła. łączącego ze światem arystokratycznym, nie było do pogardzenia. Samo uprawnienie do wyrzeczenia w rozmowie: — Mój kuzyn hr. Turowski — już coś było warte.

Gdyby hrabstwo wyparło się tego pokrewieństwa. co za wyborny temat do wyrzekania przeciwko tym arystokratom. którzy nbogiego krewniaka znać nie chcieli.

Swoboda miała. jak się przekonywał, swe dobre strony. mógł czynić co chciał. ale nie łatwo mu było chcieć czegoś stanowczo. tej sprężyny. która się woła nazywa. która człowiekiem włada i porusza. brakło mu właśnie. — Odłożył to do namysłu, wszak nie było w tem nic tak hardzo naglącego. — Zobaczymy!

Dziwiło go to tylko niepomału, że doktor. który przecież wielokroć te papiery przezierał i o pokrewieństwie wiedzieć musiał. nigdy mu o tem nie wspominał. nie napomknął nawet. równie jak o Luzzińskim ojcu.

Ten tajemniczy ojciec, którego imię tylko objawiała metryka ślubn. oznaczająca nieszlacheckie pochodzenie, (gdyż mu urodzonego nie dodano) — raz w papierach ukazawszy się nikł bez śladu. Wedle

wszelkiego podobieństwa. nie było się nim co pochwalić. Walek spodziewał się coś przecie więcej. choćby od starych ludzi dowiedzieć się w Turowie. Milczenie pokrywało jeśli nie jaki dramat. to coś o czem synowi koniecznie dowiedzieć się było potrzeba. Dlaczegoż doktor. który musiał wiedzieć o powodach oddalenia się i ucieczki, nigdy o tem ani wspomniał?

— Wszystko ja to. bądź co bądź wyjaśnić muszę — zawolał Luzziński. w ciemnościach tych żyć nie mogę. Choćby ojciec co przewinił. wina nie spada na mnie. któż wie padł może ofiarą prześladowania. niesprawiedliwości. potwarzysz?

Widząc, że pani Panze nie myśli mu przysłać kawy na górę (piękna wdowa miała w tem może pewną rachubę), Walek ubrawszy się. zszedł do jej pokoju i zastał ją. bez zwykłej chustki, bladą. interesującą. dosyć starannie ubraną. witała go czule i z zajęciem. Pierwszy raz przyszło na myśl Luzzińskiemu. iż mogły nań być zastawione sieci. a jako człowiek nader praktyczny (mimo geniuszu) postanowił się mieć na baczności.

Pani Panze. już gotową kazała podać kawę na swoim stoliku; przyniosła ją Józka uśmiechnięta.

— Ale to prawdziwie. odezwała się wdowa — same nowiny w miasteczku — pan wie? Skalscy sprzedali aptekę i dom.

— Doprawdy? kiedyż? komuż? tak nagle!

— Właśnie że to najdziwaczniejsza. iż się stało tak nagle, mówiła wdowa. czule wpatrując się w Walka. który oczy spuszczał przez ostrożność — wczoraj. słyszę. doktor Mylins poszedł do nich w imieniu tego nieznanomego jegomości co tu osiadł niedawno. i od słowa skończyli.

— Nie sądzę, rzekł Walek. tak sobie mówią. ale po cóż by temu nieznanomemu apteka?

— Mówią. że on także gdzieś w Ameryce. czy coś, był aptekarzem.

— I z Nowego-Yorku przyjechał tu w takiej mie-

scinie zakładać aptekę? rozśmiał się Luzziński. E! nie pani, nie wierzcie temu. to być nie może.

— Tak mówią. Już nawet Skalscy podobno wsi szukają. czy też znaleźli.

Luzziński się do rozpuku śmiał.

Miał może pewne do tego powody, ale na ten raz omylił się sceptycyzmem swym, gdyż rzeczy przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu tak stały jak mówiła piękna pani Pauze.

Porzućmy młodego człowieka w błogiem. na cztery oczy śniadaniu z piękną gospoią. (któremu przez dziurkę od klucza przyglądała się ciekawa Jóźka) a pójdźmy z poczciwym doktorem.

Na żądanie owego kolegi Waltera, Mylins jakkolwiek strapiiony, powlókł się do apteki Skalskich. Wiemy. że tu mocne miano postanowienie pozbycia się kamienicy i interesu. Stary. poczciwy ojciec. naglony przez dzieci. nie mogąc sobie wyszukać kontrahenta w mieścin. wybierał się do Warszawy. Tłumoki już były popakowane, miejsce przez pocztmistrza zapisanie na dyliżans idący z Brestia; familia z niecierpliwością wyczekiwała i podróży i jej skutków. gdy pod wieczór. do tak zwanej kancelaryi Skalskiego. wszedł pochmurny Mylins, i nic nie mówiąc. padł na kanapkę stojącą przy drzwiach.

Od czasu. gdy Skalski postanowił rzucić aptekę, daleko mniej względów czuł się obowiązany okazywać Mylinsowi. oburzyło go prawie to poufale, milczące, bez ceremonii padanie w jego pokoju na kanapę — nawet bez przywitania. Odwrócił głowę kwaśno.

Doktor myślał. naprawdę rzekłszy, więcej o swej biedzie, niż o swem poselstwie, zadumał się.

— A więc ja pierwszy mam wam powiedzieć: dobry wieczór? — he? zapytał niby szydersko aptekarz.

— Czy to my się od wczora znamy? — rzekł na to zimno Mylins. mamże cię częstować tym formularzem grzeczności! A! stary, stary! Ja przychodzę za interesem, nie żeby ci dawać — dobry wieczór.

— Jeżeli aptecznym, to darujcie — ja już przestałem się zajmować apteką. — odparł Skalski.

— A! to ci wiesz. rzekł doktor. boś się domyślił tego co ci dawno wypadło uczynić. nie miałeś zdolności i powołania do rzemiosła.

— Rzemiosła? sztuki przecie! poprawił Skalski.

— A więc sztuki. — mówił doktor powoli. Sprzedajesz więc aptekę i sztukę?

— Nie, ale jadę jutro rano do Warszawy, gdzie mnie kontrahent czeka.

— A! dobrze! co ci dają?

— Co mi dają? powtórzył Skalski zakłopotany, na cóż to doktorowi?

— Możebyś dał więcej, albo mniej? rzekł Mylius.

— Przecież doktor nie możesz być aptekarzem?

— Tak, ale mogę mieć aptekarza. Wystaw sobie Skalski, jakby to było pięknie. mieć aptekę w ręku i karmić pacjentów lekarstwami bez miary. a ciągnąć do kieszeni i za wizyty i certum quantum od lekarów? he?

Skalski popatrzał nań, jak pospolicie mówią, jak kozioł na wodę, nic nie rozumiał.

— Po cóż to te żarty — dodał.

— Ale ja, co do nabycia apteki wcale nie żartuję, zawołał doktor. zapewne jej sam nie kupię. mam jednak nabywcę, bardzo seryo. Co za nią chcesz?

— Seryo? spytał Skalski.

— Bez żartu.

— Oto jest przygotowany inwentarz. zawołał udo-bruchany nagle aptekarz, taksy materiałów jak najumiarkowańsze, przepatrzy pan. Ślicznie zaopatrzona oficyna, nie ma rzeczy którejbyś pan nie znalazł, dobór, świeżość nadzwyczajna. Na dowód powiem panu, że co roku sam robiłem rewizyę, i cokolwiek było zwietrzałego, nad psutego, nielitościwie w rynsztoki rzucałem.

— A wiem. odparł doktor. bo w roku przeszłym wyrzuciliście *Nux vomica*, którą dzieci pogryzły i ma-ło się nie potruły.

— Prawda! z zapalem dodał aptekarz. prawda, pokaz mi pan drugiego aptekarza. któryby dla sławy oficynę uczynił taką ofiarę?!

Doktor śmiechnął się. przerzucił inwentarz. spojrzał na sumę.

— Cóż będzie z kamienicą? spytał.

— Cena kamienicy nie jest zbyt wielka, chociaż nie chwalcąc się — zawołał aptekarz. lubiący się chwalić w istocie — to nie kamienica. to pałacyk! urządzone z takim komfortem, jakiego na wsi żaden dom nie posiada. chcesz pan opatrzyć? to są zbytki.

— Ale zapominasz kochany Skalski. że ja twoją kamienicę znam równie dobrze jak ciebie.

— Oto inwentarz i cena. zawołał aptekarz.

— A więc razem to uczyni nieszeptną sumę! rzekł doktor. porównywając dwie ceny. Odstąpicie co od tego?

— Nie — zawołał Skalski. ani szeląga.

— To nie sprzedacie — odparł zimno Mylius, składając papiery, a sięgając do kapelusza.

Skalski się zawahał.

— Czekajcie, rzekł. mówmy no po ludzku.

— Nie. kochany panie — przerwał Mylius — po ludzku wiem co to znaczy. będziemy godzin pięć drzeć sobie gęby. nsilując się wzajemnie podejść. ty, by wziąć jak najwięcej. ja dać jak najmniej. To mi się na nic nie zdało. Znasz mnie. wiesz że ci życzę dobrze. że nikogo w życiu ani nadźżyć bym nie chciał. ani korzystać z jego położenia. Mów ostatnią cenę, jeśli mogę, dam. nie, to nie.

Skalski zagryzł usta, podniósł okulary i począł je wycierać. aby mieć chwilę do namysłu; lękał się stracić gotowego nabywcę. gdyż drugiego na prawdę dopiero by szukać musiał. Z czułością nagle wezbraną rzucił się w objęcia doktora!

— Kochany przyjacielu. rzekł, mów i wejdź w położenie człowieka, który realizuje fundusz ostatni.

Mylius powrócił do inwentarzów. i nie mówiąc słowa. bacznie rozpatrywać je zaczął. myślał, cyfry

spisywał i na kartce papieru podał Skalskiemu napisać cenę, biorąc znowu na kapelusz. Aptekarz wahał się, naostatek podniósł dłoń: — Zgoda — rzekł, ale któż nabywca?

— Nabywcą jest nieznajomy ten przybylec, którego ja wczoraj nieco bliżej poznać miałem przyjemność. zowie się Jan Walter, jest magistrem farmacji, ale jako lekarz, służył długo w marynarce angielskiej.

— Obcy człowiek?

— Nie — pochodzi z tego kraju, chociaż z niego oddawna wywędrował. chce się tu na nowo osiedlić. Powiewań rzeczy są skończone. przyjdę tu jutro z nim razem.

— Tak, na śniadanie. przygotuję śniadanie. zobaczy dom, nie szkodzi żeby pomiarkował z kim ma do czynienia, zawołał Skalski, zacierając ręce. Dali-pan oddaje mu tanio. a! gdyby nie dzieci, gdyby nie dla dzieci.

Westchnął. — A po coś dudku stary tak dzieci wychował, że ci kołki na nosie cieszą? zapytał Mylius, masz to na coś zasłużył i ty i ja.

— Jakto i ja? zapytał Skalski.

— Ja mojego przybranego synka wczoraj wygnać musiałem z domu, zawołał Mylius, ale to był przybrany syn, a ty swych dzieci wypędzić nie możesz, biedaku.

Skalski się poskrobał po głowie.

— Czekam ze śniadaniem, zawołał.

Mylius kiwnął tylko głową i powłókł się powoli do dworku zajmowanego przez Waltera.

O człowieku i jego mieszkaniu najdziwniejsze chodziły wieści. szerzyli je słudzy używani do rozpakowywania i ustawiania sprzętów, gdyż zresztą nikt u nieznajomego nie bywał. Nie robił on z nikim znajomości, oprócz mieszczan i rzemieślników, a i tych w domu u siebie nie przyjmował. Opowiadano więc cuda o najosobliwszym sprzęcie tego domu, i sposobie w jaki był urządzony. Mało to obchodziło Myliusą, ale na ten

wieczór rad był że znajdzie dystrakcyą. i w domu go pustym nie spędzi.

Dworek był dosyć obszerny na ustroniu. z ogrodem. zewnątrz pozostał on takim jak zawsze. gdyż doktor Walter nie miał czasu. ani ochoty go przerabiać. ni zdobić. Na ławce zastał Mylius siedzącego nowego znajomego, który witając go wprowadził do dworku. Obszerna sień cała była zastawiona pakami i paczkami, których drzewo, sznury i maty za osobliwość uchodzić mogły, widocznie bowiem gdzieś na drugiej półkuli z nieznanym nam materyałów były złożone. Paki i skrzynie sięgały pod sufit, a wąskie tylko przejście zostawało między niemi do pokojów Waltera.

W obszernej izbie na prawo. była jego pracownia. Mylius wszedłszy do niej. jakkolwiek nie ciekawy, i nie łatwo dający się czem zająć, przystanął zdziwiony w progu. Znać tu niektóre z tych drogocennych pak zostały wypróżnione, bo podłoga, stoły. półki, szafy pełne były najrozmaitszych przedmiotów. odnoszących się do nauk przyrodniczych. i studyów etnograficznych.

Wypchane zwierzęta. spirytusowe preparata. głowy zasuszone. broń dzikich Indian. rośliny nowym sposobem zabalsamowane, i mające pozór i barwę naturalną; przytem książki i rękopisma przepelniały pokój cały. Była to pracownia uczonego badacza, który miał środki widać dogodzenia swej fantazyi naukowej. gdyż na pierwszy rzut oka wnieść było łatwo, iż zbiory te bardzo kosztowne być musiały.

Mylius ośmiał.

— A! jakżeś ty szczęśliwy człowiecze! — zawołał składając ręce. i po co ci apteka?! kiedy możesz siedzieć z książką i mikroskopem dzień cały, nie troszcząc się wcale o to. co jeść i pić będziesz.

Walter uśmiechnął się.

— Tak. rzekł, jeżeli to nie jest szczęście. to przynajmniej dobry surrogat jego. ale i to nie starczy. bo człowiek machiną do studyów nie jest, serce się od-

zywa między jedną a drugą obserwacją. i przypomina mi. na co go Bóg stworzył. na ojca. męża. brata. Jeżeli nie jest nim. a nie spłaci długu bólesci ziemi, to życie j-go spłynie. jakby go nie było.

— Ale na co ci apteka? — dodał Mylius ostrożnie wchodząc i rozglądając się dokoła.

— Tego wam kochany doktorze. dziś jeszcze wytłumaczyć nie mogę, rzekł Walter, przypuść. że to fantazya. że dziwactwo...

— A fantazją tę drogo ci przypłacić przyjdzie.

— Cóż robić! — westchnął nieznajomy, nie darmo walczyłem z cholera nad Gangesem. z żółtą febrą na Haiti. z piorunami słońca. które czaszkę przepalało w Afryce. zebrałem trochę grosza. wolno mi się pobawić.

— A! wolno. odparł Mylius siadając pomiędzy ogromną teką ziehika. a foliantami jakiemś. tylko nie mając rodziny. dzieci. nie potrzebując się dorabiać, po co ci kłopot brać na głowę?

Walter zagryzł usta i milczał.

— Nie mogę się wam tłumaczyć—rzekł ale płacąc za życzliwość odpowiem tylko. że gdybym mógł wszystko wam powiedzieć. ręczę żebyście mnie usprawiedliwili. Chciwym nie jestem.

Po tych kilku słowach wstępu. Mylius opowiedział zawartą umowę ze Skalskim. i zaproszenie na śniadanie.

— Na śniadanie! mnie! prosić! po co? po co? — zawołał doktor Walter. ja się z nim widzieć nie potrzebuję.

— A jakże skończysz interesu?

— Najprościej w świecie, dam ci pieniądze. zapłacisz. a Skalski mnie pokwituje. Po co ja mam do niego iść, robić niepotrzebne znajomości.

Tu wstrzymał się mówiący. i jakby chciał swą dzikość w śmiech obrócić. dodał:

— Gdyby Skalski był nowego rodzaju Koleopterem. nieznaną i nieuklasyfikowaną istotą z rodzaju Skara-

beów. choćby wymoczek niewidzianym w mikroskopie, pognałbym za nim pewnie. ale człowiek...

Mylius się uśmiechnął.

— Kochany kolego. wiercie mi, że i między ludźmi są nieobserwowane rodzaje, a chociaż Skalski do nich nie należy. może w rodzinie jego znajdzie się jaka nowo centkowana odmiana. hybrid rzadki...

— Antropologii dałem za wygraną. odparł Walter. i mogę się obejść bez tego genus, Skalski nic ciekawego pono zresztą.

— Obraziłbyś na siebie.

Doktor Walter zamysłony poszedł do zwierciadła, niewiedząc po co. popatrzał w niem długo na bladą twarz swoją, i po pauzie rzekł do doktora:

— Ale jest-li to konieczne?

— Myślę, że nieuniknione. Po co macie okrywać się jakąś niepotrzebną, śmieszną tajemnicą. okazywać rodzaj wzgardy dla ludzi... Wiercie mi. to wyższym umysłem nie przystało.

— Macie zupełną słuszność. ani słowa, odparł Walter. tylko... tylko... to bieda, że ja się wam na żaden sposób teraz tłumaczyć nie mogę.

Mylius ruszył ramionami.

— A ja, nie potrafię się nic domyśleć, bom niedomyślnym się urodził, odparł. Bądź co bądź, pójść na chwilę do Skalskich nie zawadzi.

To mówiąc, spostrzegł doktor szachy porozrzucone na stole.

— Co widzę! gracie w szachy?

— He? a wy?

— Namietnie, ale nie mam z kim.

Spojrzeni na siebie, i podali sobie ręce.

— Siadaj, rzekł Mylius. ciężko mi do domu powrócić dla tego niewdzięcznika, zagrałbym partya.

— I ja też... ale czekaj... zrobię dwie szklanki grogu z rumem, który sam na Jamajce kupiłem, potem siądziemy...

Walter w istocie poszedł po wodę, cukier, przyniósł fiaszkę, spreparował dwie nie szklanice, ale puha-

ry groku. i dwaj nowi przyjaciele zasiedli do szachów. A grali do północy. i wróciwszy ztąd Mylius. do rana prawie przewałesał się po samotnym domu.

Jednakże obndził się o swej godzinie. i był na nogach w porze. gdy zwykł zwiedzać chorych swych i szpitale. Odbywszy obowiązkowe wizyty, ku półdniovi poszedł zabrać Waltera. by go zaprowadzić do apteki. Tu jeszcze trafił na opór i wahanie się. nieznajomy miał wstręt jakiś. zdziczały był. nie chciało mu się iść na żaden sposób. radby się był sianem wykręcił. ale Mylius. choć go dopiero znał od wczora. ze zwykłą szczerością się z nim obszedł.

— I dajcież bo pokój, kolego. tym ceregielom. Coście to panienka. którą raz pierwszy na salon mają wprowadzić, czy co? Mężczyźnie bać się ludzi. to już słabość lub smieszność...

Walterowi na tę wymówkę oczy zabłysły. pierwszy raz od czasu jak z nim był. Mylius spostrzegł. jakby z pod przywdzianej na wierzch skóry. dobywającego się nowego człowieka. Wyraz oczów uspokojonych zwykle. wydał mu się dzikim. twarz namiętnie zadrgała. Trwało to tylko chwilkę. mgnienie oka. i jakby cngle wewnętrzne znowu dłoń schwyciła silna. Walter powolny. zlagodzony, wziął kapelusz. i poszedł posłuszny za Myliusem.

W aptece. gdy ważną ową nowinę przyszedł wieczorem zwiastować Skalski rodzinie swojej. stała się niemal rewolucya. Matka zaczęła płakać rzewnymi łzami, pierwszy raz w życiu może nżałała się na dzieci. i strwożona wymawiała im. że są przyczyną zguby. nie uląkłszy się ani pańskich tonów Rogera. ani groźnej minki Idalii. Ledwie mąż uspokoić ją potrafił. Roger tryumfował. ale otrzymawszy zwycięztwo. uznał właściwem być dosyć potulnym. Idalia dumnie milcząca chodziła.

Dziwna rzecz! opowiadanie o owym nieznanym. który. jak ze wszystkiego widać było. musiał być nadzwyczaj bogatym... zajęło ją mocno. Zdała

widziany. nie wydawał się on tak bardzo starym. a wyglądał dosyć przyzwoicie.

Panna Idalia była prawem swego wieku dziećciem. szło jej nie o jakieś ideały niedoścignione. nie o romansowego bohatera. któryby smoki na wpół jdał i cierpiał dla cnoty — ale o milionera za męża. Pomyślała sobie w duchu. że na wszelki wypadek — któż może przewidzieć co się przysni w głowie szpakowaciejzego mężczyzny? — należało jej wystąpić zbrojną w cały urok i wdzięk niewieści. i spróbować. ażali nie da się coś zrobić.

Było w systemie pięknej Idalii mieć zawsze kilku pretendentów domniemanych w zapasie — cóż szkodziło zarzucić wędkę na nieznanego bogacza?

Był to wprawdzie przyszły aptekarz tylko, ale tak majątny a nie młody człowiek, pod wpływem zdrowych rad żony przyzwoitej. wychowanej pięknie — mógł się poprawić. wyszlacheć. kupić majątek. i stać zupełnie nową istotą.

Żadnemu prawie mężczyźnie w podobnych okolicznościach na myśl by taka kombinacja nie przyszła. ale od czegoż fantazyja młodej główki niewieściej. której myśl ku jednemu nieustannie skierowana celowi, pracuje nad osiągnięciem jego? Panna Idalia była z siebie zadowolona. uśmiechnęła się w zwierciadle. nie zwierzyla nikomu. ale w duchu rzekła sobie. że się na śniadanie ubierze w suknię z ogonem, włosy à la chinoise. trzewiki na koreczkach... i... zagra. o! że zagra to zagra! Na to sobie dała słowo.

Nazajutrz rano przygotowanie do śniadania było wielkie. Skalski chciał. a w tem zdanie jego dzieliła cała rodzina. aby to był prawie porządny obiad. tylko bez formy mu właściwej. Bulion w filiżankach miał śniadanie rozróżniać od obiadu. Chciano załupnować nieznanomemu. dobyto srebra. Roger sam przypominał pasztet sztrasburgski. Idalia paniętała aby w porcelanowem naczyniu postawić bukiet wśród stołu.

Miedzy jedenastą a dwunastą, Skalski z za firan-

ki upatrujący swych gości. i z dosyć niespokojnemi ruchy przechadzający się od biurka, na którem leżały inwentarze. do okna. dającego widok na ulicę—pierwszy sygnalizował, że się zbliżali.

Nieznajomy. na którego też z góry poglądała z niezmierną ciekawością Idalia. wydał się wszystkim figurą pospolitą. Roger zapewniał wprawdzie. że suknie jego na pozór proste. robione były pewnie w Anglii i miały szyk angielski. ale Skalski ruszając ramionami. powtarzał—nic osobliwego? dalipan. nic osobliwego.

W gabinecie aptekarza nastąpiło przywitanie. i zamieniono kilka wyrazów obojętnych. Nieznajomy zdawał się unikać próżnych słów. zbywał poruszeniami głowy. lub ramion. minami. nie mógł wszakże nie przemówić. a raczej nie wymruknąć kilku wyrazów. Myliński. który zdala poglądał. zdziwił się niezmiernie. gdy usłyszawszy głos Waltera. Skalski jakby przestraszony drgnął i cofnął się. To wrażenie było chwilowe. opamiętał się bowiem zaraz. ale dziwnym jakimś skutkiem nerwowej drażliwości. aptekarz potem. ile się razy przybyły odezwał. znowu się poruszał. oczy wyszczerzał. i nie wracał do normalnego stanu. aż po niejakiem upamiętaniu.

Wpatrywał się potem z natężoną uwagą w rysy Waltera. który tego egzaminu natrętnego i nieprzystoitego widocznie unikał. a po chwili jakby znużony i zawiedziony spuszczał oczy.

Te drgania dziwaczne trwały dosyć długo. Skalski wszakże czy się potem obył z głosem Waltera. czy oswoił z jego twarzą. nieokazywał już tych oznak przestachu i ciekawości zbytnej. które Mylińskiego zdziwiły.

Głos po angielsku się znajdował. zimno. grzecznie. poważnie. nie dając w podłaśną wciągnąć rozmowę—ostrożny. tajemniczy. prawie bojaźliwy. Naprawdę Skalski z większą rubasznością i gadatliwością zbliżał się doń. pozostał martwym jakimś i chłodnym.

Ledwie go sama pani Skalska. zszedłszy umysł-

nie na dół, potrafiła uprosić, aby zaszczycił wiejskie ich śniadanko swoją miłą obecnością. Walter dał się pociągnąć, ale widocznie przeciw woli. Na górze oczekiwiał Roger, któremu się zdawa skłonił, nieokazując wcale admiracyi należytej porannemu jego strojowi najświeższej mody. Panna Idalia w sukni z ogonem ledwie oczy jego zwróciła, a do rozmowy wcale skłonić nie potrafiła.

Dopiero po kilku kieliszkach, których jako stary marynarz, gość wcale nie odmawiał — nieco się począł rozmarszczać. Spoglądał śmieiej, ale nie mówił więcej. Próbowano go zaczepiać o przeszłość, zbył ogólnikiem, że podróżował wiele i służył w marynarce angielskiej. Nie było sposobu go rozkrochmalić, jak mówiła panna Idalia.

Skalski, czy to skutkiem wrażenia którego doznał ze sprzedaży apteki, czy z usposobienia dziwacz nego, był nadzwyczaj milczący — patrzył tylko jak w tęczę w Waltera, na każde jego odezwanie się cofał nieco, przyglądał mu, i zdawał jakby oślepiały.

Efekt śniadania wyszukanego i co się zowie *comme il faut* — był, prawdę rzekłszy, zupełnie chybiony, ten, dla którego ono zostawionem zostało — zdawał się prawie nie widzieć nic, pił dużo, jadł mało, a na ludziach widocznie się nie znał.

Panna Idalia czterekroć czy pięćkroć szturm przypnszczała do niego, usnwiechem, słowem, ruchem, dowcipem, po polsku, po francuzku, nawet po angielsku, a nie potrafiła go wywieść z odrętwiałości.

Był tak bezwstydnym, że gdy doń przemówiła najczystsza angielszczyzną, ani się zadziwił, oczu nie podniósł, nie pochwalił — jak najnaturalniej w świecie począł z nią mówić — ale przetłómaczone na język polski te wyrazy funta kłaków nie były warte. Panna Idalia uczuła się nareszcie mocno obrażoną, poszła do fortepianu, zaczęła po nim brzdąkać, myślała, że to wywoła muzykalną rozmowę, że matka, rodzona matka przynajmniej poprosi ją coś zagrać; gdzie tam! nie udało się wszystko! Matka płakała po cichu nad kot-

letem. a pamięć Idalii nie wypadła się narzucać ze swym talentem uszom. długim uszom obojętnych. bezdusznych słuchaczy.

Pod koniec śniadania przyniesiono akt sprzedaży, sporządzony na prędcie do podpisu. wypito zdrowie nabywcy i sprzedających. Mama serwetą twarz zakryła. aby nie wybuchnąć, poczem Walter i mężczyźni z cygarami cofnęli się na dół. do gabinetu Rogera.

Roger także pragnął elegancją swojego apartamentu olśnić zimnego Anglika. ale i jemu się nie udało. Broń. kobierce. fraszki na biurku. kollekcya szpicrutów prawdziwie ciekawa i jedyna w naszym kraju. zaledwie roztargnione na chwilę potrafiły zwrócić oko. Zanurzył się w paliwie cygara człek zastygły, podparł milczący i gdyby oczów nie miał otwartych. możnaby przysiąc. że drzemie.

Tak w tym dniu pamiętnym. dokonała się sprzedaż oficyny Sanitatis. przechodzącej z rąk pana Skalskiego. razem z wizerunkami Eskulapa i Hygii. w dłonie obcego jakiegoś przybysza nieznanego miastu! awanturnika; ruszano ramionami, a że wszyscy byli do Skalskich przywykli. żałowano ich nawet. Nie byli to źli ludzie, choć czasem bywali śmieszni.

W mieście gadano o tem dwa tygodnie. a wersye chodziły wielce różne.

Najosobliwszym skutkiem tego zrzeczenia się apteki i uroczystego śniadania było. że prawie od chwili njrzenia Waltera, Skalski stary chodził milczący, pogrążony w jakichś myślach. niespokojny. roznerwowany. Niekiedy tak się zatapiał w tych dnmach, że po kilka razy mówić do niego musiano ażeby zrozumiał. Przytem był bardzo smutny.

— Co w tem dziwnego? mówił Mylins. kto całe życie się czemś zajmował. gdy mu zwykle zatrudnienie wydrą. zawsze to odboleć musi. — a Skalskiego losy przyszłe nie ciekawe. Na wsi sobie rady nie da. dzieci go opamięją jeszcze bardziej. i kto wie co go czeka. Nawet tacy okrągli i baryłkowaci ludzie miewają

przeczcucia. dodawał doktor. gdy coś ich egzystencyi zagraża.

Skalscy na kilka miesięcy wymówili sobie w kontrakcie wolne w kamienicy mieszkanie: kupno wioski nie było tak łatwem jak się zdawało. Dopóki nie kupowali nic. wszystkie były tanie. gdy zażądali nabyć. nagle zdrożały majątki jakby naumyślnie. i stały się niedostępne. Tymczasem Roger mógł jnż chodzić i powtarzać wszystkim. że kupują wieś. że targują dobra i t. p.

W jednej z tych wycieczek na miasto. dowiedział się nazajutrz z wielkiem podziwieniem. że baron Helmołd był tu pono od dwóch dni. po co? dla czego? czemu ich dotąd nie odwiedził?

Roger zadając sobie to pytanie. pośpieszył sam na pocztę.

ROZDZIAŁ IX.

Kościół Farny w miasteczku. który niegdyś zapewne stać musiał po za niem. a dziś znajdował się między ruinami zamczyska a rynkiem. z obmrowanym cmentarzem. probostwem. ogrodem. domem szpitalnym. dawną szkołą i innemi przynależnościami. zajmował przestrzeń dość znaczną. Była to swego czasu jedna z najlepiej uposażonych prebend. zwykle na starość dawana jakiemu kanonikowi blizkiej kapituły, jako panis bene merentium: a tytularny pro-

boszcz mógł nawet nie rezydować tutaj, mając dwóch wikaryuszów i kapelana, liczną i obszerną parafię obsługujących.

Probostwo było murowane, wygodne, ogród stary z lipami, kasztanami, altanami i sadzawką na ryby. Sama Fara z piętnastego wieku, w szesnastym powiększona i przyozdobiona, poprawiona o sto lat później, wyglądała wspaniale. Niegdyś otaczał ją prawdziwy cmentarz, o którym świadczyły kamienie w ziemię zapadłe, teraz oddawna się tu grzebać zaprzestano. W podziemiach kościoła wszakże, działwa ze szkółki bawiąc się w piłkę przy murach, z ciekawością i strachem przyglądała się spokojnie stojącym cynowym trumnom fundatorów. Budziły też jej zajęcie, złożone w blizkiej kostnicy nakształt baszty, trumny, katafalki i resztki kości, które się tam wałały.

Zwykle, oprócz czasu nabożeństwa, ten cmentarz wielkimi, staremi ocieniony lipami, smutny, cichy — stał pustką, chyba nad wieczór chłopcy ze szkoły szli tu grać w piłkę około dzwonnicy, i nowo przybyłych straszyc, pokazując im sprzęty śmierci, całun pokapany od świece, czarną trumnę i stopnie na których ją ustawiano.

Przez podwórze kościelne, wśród trawy zielonej, piołunami przerosłej, kilka ścieżynek odwiecznych wypisywały ślady ruchu i życia jedynego, jakie się tu stale od wieków utrzymywało. Ścieżka jedna szła od murowanej bramy do drzwi kościelnych, druga ku dzwonnicy, z mało znacznym chodniczkiem do kostnicy i trumien, inna od probostwa do wielkich drzwi Fary. Wydeptane także były trawy kawałkami około zakrystyi, a pod cieniem lip i nagromadzającym się ich liściem, mało też ubogiej zieleni widać było... Tam gdzie swobodnie dawano staremu cmentarzowi zarastać, gdzieniegdzie z pośrodku chwastów szary kamień się dobywał, ale dziś ani głoski na nim odczytać nie było podobna, a w pamięci ludzi nic z nich nie pozostało. W jednej ze ścian, nieszczęśliwa ofiara zabawek studenckich, wmurowany był rycerz we zbroi.

Nie było przy nim napisu, tylko u nóg herb Pło-

mieńczyk. Rycerz modlił się tam już ze złożonemi rękami lat trzysta. a swawolne dzieci mazały mu wąsy spuszczając na czarno. Jak mech na kamieniu wilgotnym. tak na nim zawsze podanie wyrosnąć musi. Chociaż w nagrobku nie było nic nadzwyczajnego, umieszczenie jego w zewnętrznej ścianie kościoła, ręce złożone, zamknięta na pół przyłbica. brak napisu. zrodziły legendę o wielkim grzeszniku jakimś, o zabójcy brata, który tu się pochować kazał w pokutującej postawie.

Podwórze miało jeszcze inne podania, które z pokolenia w pokolenie, coraz poetyczniej obrabiane przechodziły.

Trzeba przyznać, że ten zacieniony kątek cichy wśród gwarliwego miasteczka miał swój urok uietylko dla studentów. często ksiądz wikaryusz przychodził tu z brewiarzem. a u murowanych wrót siedział dziad i babka. których nigdy nie brakło, bo gdy jeden zmarł. znalazł się zawsze kandydat do posady. Murem tylko z furta cmentarz dawny dzielił się od dziedzińca probostwa. daleko weselszego, obszernego i pełnego słończy różnej, lub z prośbami różnemi przychodzących do księży.

Sam Kanonia. tak nazwana zapewne, z powodu. iż zawsze proboszczem bywał kanonik choćby honorowy — była budową XVI wieku. z oddrzwiami kamiennymi. z grubemi mury. o wysokim dachu — obszerną i wygodną. W lewo pięknych kilka pokoiów sklepionych. z salką. ze składami, zajmował sam proboszcz. na prawo była kancelarya, mieszkanie wikaryuszów i kapelana. Dalej jeszcze w oficynach się mieścili: organista. zakrystyan. dwóch starych. chodzących w sinych płaszczach posługaczy i dzwonników. czeladź, woźnice i t. p. Był to cały oddzielny światek wśród miasta. w którym wedle prastarych tradycji życie płynęło od wieków niemal jednakowo.

Po za probostwem rozciągał się ogród. za nim grunta. a nieopodal była dawniej wioska. niegdyś do probostwa należąca. która do dziś dnia nosiła nazwisko Woli Księżęcej.

Dlaczego nazajutrz, pod wieczór, po długich przechadzkach i rozmyślach różnych. Walek Luziński znalazł się na cmentarzu tym, pod lipami, z tego podobno on by się sam wytłómaczyć nie umiał. Zostawiony sobie, błakał się, a że tu za studenckich jeszcze czasów często z towarzyszami się zabawiał, jakieś wspomnienie dziwaczne zaprowadziło go kroki machinalnemi — na plac dawnych igraszek. Myśl także błędziła pono około lat młodości, gdyż chciał sobie przypomnieć, czy w tych czasach nic o rodzinie, o ojcu i matce nie słyszał. Ale w pamięci nie pozostało żadnego śladu. Naówczas przyszło mu na myśl, że gdy był dziecięciem i chodził do szkoły, lubił go dosyć kanonik Bobek, i okazywał dlań wielkie współczucie. Winien je był Walek zdolnościom, które się w nim natenczas objawiały. Ksiądz Bobek przed laty dwudziestu, był rzeźkim starszkiem, żył on jeszcze, przynajmniej nie słyszał nigdy Walek by go kto inny zastąpił, ale co się to z nim stać musiało! Naówczas miał pewnie lat sześćdziesiąt, teraz ośmdziesiąt kilka, był to więc zgrzybiały starzec. Walek, który prawie nigdy teraz do kościoła nie chodził, nie wiedział nawet czy nabożeństwa odbywał, czy się na miejscu znajdował. A zdawało mu się, że jeżeli kto, to ksiądz Bobek, od tak dawna tu zamieszkały, znający wszystkie stosunki miejscowe, mógłby był go objaśnić o rodzinie.

Z tą myślą walcząc, powoli wszedł na cmentarz, posunął się ku dziedzińcowi, i dodając sobie odwagi, postanowił zapytać przynajmniej o starego kanonika. W dziedzińcu cicho było prawie jak na cmentarzu, w sieni probostwa nikogo, a w lewo, po otwarciu drzwi, ujrzał Walek starego w siwej kapocie jegomości, który w przedpokoju siedząc, bardzo starannie gruszkę obierał z lupiny.

Słuchając popatrzył na przybywającego, starając nie rozkroić misternie odejmowanej skórki w spiralną linię zwiniętej — i czekał zapytania.

Walek się obawiał być śmiesznym, gdyby spytał

o kanonika, który może od lat dziesięciu w grobie spoczywał, ale trzeba było spróbować.

— Jest ksiądz kanonik w domu?

— No -- jest, a gdzieżby miał być? Ino do ogrodu z brewiarzem sobie poszedł.

— Czybym się nie mógł widzieć?

— Czemu nie. Sługa wskazał pokój i drzwi szklane otwarte. Oto temi drzwiami, nlicą wprost do ogrodu, a tam księdza kanonika znajdziecie.

— Bądź co bądź — pomyślał Walek — choćby to był już inny kanonik, nie ksiądz Bobek, zawsze mi za złe mieć nie może, iż się mu poklonić przyszedłem. Śmielej więc, zostawiając jegomości przy obieraniu łupiny, przeszedł pokój i znalazł się w obszernym, na kwatery podzielonym, ogrodzie.

Staroświecki to był wirydarz, bukszpanem wysadzany, z jedlinami, jodlowcami, lipami, szpalery grabowemi, a tu i owdzie z kwiatami rozrastającemi się wspaniale. Bogactwo ich było nadzwyczajne i zdradzało zaraz wielkiego miłośnika. Utrzymywane z ojcowskiem staraniem, lilie, gwoździki, wonne zioła, ogromne krzaki piwonii, róż mnóstwo, napełniały ustron zapachem i radowały oczy barwami.

W dali, naprzeciw drzwi, na ławce, widać było siedzącego starszka z brewiarzem na kolanach. Powietrze było ciepłe, głowę miał odkrytą, na pół łysą, a n dołu, spadającym na ramiona, srebrnym włosom otoczoną. Wiek go przygarbił trochę, ale twarz była rumiana, nśmiechnięta. Walek odetchnął, poznając księdza Bobka, który po latach dwudziestu niemal mniej się zmienił, niż ten student hoży, wyrosły dziś na bladego, wykrzywionego, znużonego młodzieńca.

Kanonik postrzegłszy, że ktoś idzie ku niemu, wstał z ławki, i pochyłony, drobnymi kroczkami, drepząc nieco, począł na spotkanie śpieszyć. Zasłaniał się ręką od światła, usiłując poznać gościa — ale nawet dla lepszych oczów było to niepodobieństwem.

Łuziński choć zwykle zuchwały, czuł się jakos pokorniejszym w obec poważnego a pełnego łagodno-

ści starszka, który niegdyś małym chłopięciem go błogosławił.

— Książd kanonik mi przebaczy, że mn się naprzykrzam, rzekł — po wielu latach, pamiętny jego łaskowości dla mnie, gdym był dzieckiem, nie mogłem się oprzeć chęci podziękowania za nią.

Książd patrzył um w twarz nważnie, jakby nie słuchając wyrazów, rozglądał się ciekawie w rysach nieco osłabionemi oczyma.

— Jestem Walek Łuziński — wychowaniec doktora Mylinsa, niegdyś.

— A! a! pamiętam! pamiętam! przerwał kanonik, ale com to ja waszmosci tyle, tyle lat nie widział?

— Nie było mnie tn.

— No proszę, jak to rośnie, i wyrosło, a wczoraj dzieckiem to biegało, chodź, chodź-że no, rzekł, siądziemy, bo ja długo stać nie mogę. Chodzić to jeszcze jako tako, stać już trudno. Powiesz mi co się z tobą dzieje.

Gdy usiedli na ławce pod lipami, kanonik począł.

— Teraz sobie waszmości doskonale przypominam, rumiany byłeś, pyzaty chłopiec, a dziś coś pohladło się, schudło, wyciągnęło, dryblas ogromny. A no, gadajże mi, kiedyś przyszedł, gadaj, co się z waszmością dzieje?

— Nauki jak mogłem skończyłem, rzekł Walek, a teraz się rozmyślam właśnie co począć.

— A jakież nauki? do czegoś się sposobił? spytał książd Bobek.

— Chodziłem ua filologią, sposobiłem się na literata.

-- A więc i na profesora chyba — odparł książd — bo cóż literat? literat jak nie profesor, to ja go uierozumiem, cóż on będzie robił?

— Tak to bywało dawniej — odparł Walek, ale się wiele zmieniło.

— O! zmieniło — a teraz to co?

— Literaci piszą i z tego żyją.

— A cóż piszą? Mnie się zdaje. dodał. uśmiechając się kanonik, że co było do napisania. już dawno spisa-no. chybabyście przepisywali?

Walek się uśmiechnął nieznacznie.

Może być, rzekł, że po troszę przerabiamy tylko stare. ale ja. ja jeszcze nic nie począłem.

A do stanu duchownego?

Nie czułem dotąd powołania.

— To i lepiej, bo bez niego stan ten nie zdrowy — rzekł ksiądz Bobek. nie każdemu dano jego błęgiego używać spokoju. Ale już mój młodzieńcze coś na myśli mieć musisz.

— Dotąd. dotąd. nic jeszcze nie postanowiłem. wy-bąknął Walek.

Zamilkli na chwilę. Ksiądz patrzył nań jak w tę-czę. nagle zadał mu pytanie.

— A lubisz jegomość kwiaty?

— Dosyć. odparł nieco zdziwiony Luziński.

— To znaczy. żeś dla tych cndnych stworzeń boz-kich obojętny. zawołał ksiądz Bobek. hm. hm! — Aniś ty spozirzał na moje lilie.

— Bardzo piękne.

— Aleś nie poczuł, że one kautyk Pann Bogu szatą swą i wonią śpiewają.

Ksiądz Bobek rzucił okiem dokoła. i uśmiechnął się swym kwiatom. które do niego śmiać się zdawały.

— A co tam Mylius porabia? — spytał po chwili. chcąc utrzymać rozmowę.

Walek spuścił oczy.

— Muszę księdzu dobrodziejowi się przyznać... rzekł. doktor Mylius. nieco rozgniewany na mnie. wczoraj mi dom swój wypowiedział.

— Cóżes to zbroił? — zapytał żywo starszek, he? mów prawdę, jeśli chcesz. jak się domyślam. użyć mnie za pośrednika do zgody?

— Ja wcale już o zgodzie nie marzę. odpowiedział Walek dumniejąc. nie czuję się winnym. byłem może nieco żywym w słowach, ale, ale... zresztą nie mam so-bie nic do wyrzucenia.

Kanonik bardziej jeszcze. podniósłszy głowę. patrzył w oczy Luzińskiemu. czoło mu się zachmurzało.

— Wypędził mnie. nie wrócę już tam. kończył przybyły. a że muszę o sobie sam myśleć. właśnie przybył do księdza kanonika dla informacji. Nie wiem nic o matce. nic o ojcu. Ich stan. położenie. losy... nie mogły być zupełnie niewiadome księdzu kanonikowi? możebyście raczyli mnie objaśnić?

Kanonik zamknął brewiarz. usta zaciśnął. milczał i myślał. stał się prawie surowym.

— Przecież doktor Mylins musiał wam o tem coś mówić?—zapytał w końcu.

— Nigdy nie.

— Nigdy? nie?—powtórzył ks. Bobek. hm! to musiał mieć słuszne do tego powody... a ja... tu kanonik się zaciął nieco, jakby mu ciężko było to powiedzieć. — ja o tych tam okolicznościach nie jestem uwiadomiony.

— Przecież wiem tyle. mówił Walek. że matka moja była w dalekiem pokrewieństwie z hrabiami Turowskimi.

— Z hrabiami Turowskimi? — znowu powtórzył kanonik spuszcżając oczy na brewiarz. a kiedy to wiesz. musiało tak być.

— O ojcu zaś. o jego stanie. pochodzeniu. losach. nic nie wiem wcale... kończył Luziński. w papierach także nie znalazłem śladu...

— Nie ma śladu?... cicho szepnął ksiądz. to trudno kiedy śladu nie ma. Ja jestem stary. widzisz asin-dziej. pamięć osłabła bardzo. ludzi tyle mi się przed oczyma przesunęło. nic sobie prawie z dawnych dziejów przypomnieć nie umiem: nie! doprawdy. nie! Jedną bym ci dał radę. przeprosić Mylinsa, boś go musiał bardzo obrazić. gdy aż do tego doszło. a to człek naj-poczciwszy. najlepszy. On ci chyba potrafi coś powiedzieć. jeżeli wie...

Walek. jakkolwiek niewielki znawca ludzi. spoglądając na księdza kanonika. mógł dostrzedz łatwo jego zakłopotanie pewne. zmieszanie. jakby walkę

z samym sobą, i przymuszanie się do milczenia. Domyślał się, że kanonik musiał więcej wiedzieć daleko, aniżeli mówił, twarz jego mimowolnie to wydawała.

— Nie ma co o tem mówić więcej, dodał ks. Bobek, nie wiem... lepiej asindziej powiedz mi, co zamýślasz...

— Ale o czemże ja myśleć, co zamierzać mogę, podchwycił gorąco Walek, chodząc w tych ciemnościach, które mnie otaczają, wśród tego niepokoju i nieświadości własnego stanu. Jakkolwiek się to może księdzu kanonikowi wyda niedorzecznem, postanowiłem wszelkimi możliwemi środkami dotrzeć do prawdy, i jasno przejrzeć się w przeszłości mej... w losie rodziców. Już samo to, że jakaś tajemnica to okrywa, jątrzy i niepokoi.

Ks. Bobek westchnął.

— Moje dziecko, rzekł z łagodną powagą kapłana, nie ma nic zdrożnego chcieć poznać przeszłość rodziców, ale często... często, gdy się siłemy odsłonić to co nam dłoń Boża zakrywa, gotujemy sobie suutek, boleść. Dziś pono dla wszelkiego stanu ludzi otwarte do wszystkiego wrota... na co ci to potrzebne? masz metrykę. Bóg ci dał urodzić się z prawych małżonków, masz nazwisko, opiekun dał wychowanie, na co ci więcej potrzeba?

— Pojadę więc do Throwa, boć tam mieszkała długo matka moja, ztamtąd za mąż wyszła, i wygnana zapewne, po zniknięciu męża...marła z nędzy, z niedostatku, w miasteczku... Mmże na tę tajemnicę, okrywającą los ojca być obojętnym?

Ksiądz był widocznie zakłopotany.

Nie bądź obojętnym, rzekł, módl się za duszę matki, na intencją ojca, a cierpliwie czekaj, może się Bogu podoba odsłonić ci zakryte.

— W Throwie się coś dowiem?

— Od kogo? — zapytał powoli kanonik. Wypadki, o których mówisz, zająć musiały przed dwudziesty laty. Jeden hrabia mógłby coś o nich wiedzieć... a to dziś rzyna, bez pamięci, często bez możności przemówienia

słowa nawet. Dwór się odmienił. nowe przybyły osoby. starzy wymarli.

— Może nie wszyscy, przerwał Walek, spróbuję.

— Nie życzę. moje dziecko, odparł ksiądz. zrobisz jak chcesz. co do mnie. radbym cię odwieść od tego zamiaru upartego śledzenia. Ja nic nie wiem... nie się domyślać nie chcę. ale gdybyś też rozkopując groby. pytając umarłych. otrzymał odpowiedź bolesną. upokarzającą. przykrą...

— Wolałbym ją może niż niepewność. podchwycił Walek.

Kanonik zamilkł. gdy w nlicy żywy chód dał się słyszeć. i niespodzianie z za drzew ukazał się w słomianym kapeluszu doktor Mylius. Cofnął się aż. spostrzegłszy wychowanka swego. ale zmiarkował jakoś. pochylił się prędko do ramienia kanonika. i całując go szepnął mu:

— Muszę z jegomością dobrodziejem pomówić zaraz. by jeno nie było zapóźno...

Staruszek ścisnął go za rękę, i rzucił mu w ucho nawzajem:

— Nie zapóźno. i nie masz mi asindziej nic do powiedzenia. bądź spokojny.

Mylius odetchnął widocznie. Zostawało mu teraz raz wyknąć się jakoś tak. aby nie być zmuszonemu rozpoczynać z Luzińskim rozmowy. Wziął kanonika pod rękę. i począł go prowadzić na bok. ale ks. Bobek zawrócił się. odszedłszy kilka kroków.

— Zostań ty tu. rzekł. muszę go odprowadzić.

Drepcząc posunął się ku ławce, przy której jak wkuty stał Luziński. i skłoniwszy siwą głowę. szepnął mu:

— Bądź zdrow, mój drogi. bądź zdrow. a może do zobaczenia. muszę się poradzić doktora. bo nie domagam...

Luziński żywo się pokłonił. jakby obrażony tą odprawą. i szybkim krokiem. gniewny. nie rzekłszy słowa poepędził ku probostwu.

Doktor stał błądy. patrząc gdy się przemykał,

a zamyslił się tak głęboko, iż nie spostrzegł kanonika. aż mu staruszek powoli rękę pulchną, białą, ozdobną pierścieniem z ametystem. położył na ramieniu.

— Po co on tu przyszedł, zapytał, po co? czy prosił o pojednanie?

— Nie, odparł ksiądz Bobek, nie, zaciął się. Co tam między wami było?

Doktór głowę spuścił.

— Fraszka, rzekł, jam żywy, a to młode. Zapomniałem może, iż z palnym materiałem mam do czynienia. Ale nic się tak złego nie stało. Chłopiec zdatny, bardzo zdatny, a do niczego się nie brał. próżnował, może choć w ten sposób zmuszonym będzie iść w świat. i zarabiać na przyszłość. Tak by się to tu zmarnowało. Ależ, dodał doktor ciekawie, jeżeli nie po zgodę, po cóż przyszedł?

— Zdaje mi się, rzekł powoli ks. Bobek, iż wywieźć się chciał o rodzicach? o ojcu?

— Powiedziałeś mu co dobrodziej.

— Ja? alboż ja co o nich wiem? Nie wiem! nie wiem...

Doktór popatrzał na kanonika, i jakby zdziwiony tą odpowiedzią, stał milczący.

— Bo, że tam jakieś kiedyś plotki, pogłoski, bałamuctwa chodzić mogły. co mnie to obchodzi? czy ja wiem co prawda? nie nie wiem...

Zamilkli oba.

— A mojem zdaniem, dodał ks. Bobek, nie bardzo waćpan dobrze zrobiłeś. żeś mu wcale nic de origine nie powiedział. Tajemnica jakaś, domysły głowę mu nurtują. chłopiec ciekawy. fantazyja gra... Powiada, że pojedzie do Turowa. aby ztamtąd zasięgnąć wiadomości.

— Do Turowa! odparł doktor, ale w Turowie nikt mu nic nie powie, nikt nic nie wie... wszystko to wymarło. Hrabiego widzieć nie będzie. Zresztą, przerwał, poprawiając się jakby doktor, o co się ma dowiadywać, nie ma nic. Matka była jakąś niby krewną tego

domu. to prawda. ale Turów opuściła. i gdy dziecię na świat przyszło... męża już nie było...

— Ale cóż się z nim stało? — zapytał doktora ksiądz Bobek. ciekawe nań zwracając oczy.

— Nic nie wiem. nie wiem. odparł doktor lekko poruszając ramionami. Na kłopot mój i biedę, z miłosierdzia się podjąłem opieki nad sierotą. Zawołano mnie do ubogiej kobiety, bardzo słabej. niemal dogorywającej. Opuuszczona od wszystkich. zakłęła mnie ostatkiem głosu. który konał w jej ustach. abym dziećciem, sierotą się zaopiekował. Nie miała czasu mówić mi o sobie. a papiery, jakie po niej pozostały. oddałem Luzińskiemu wszystkie. Otóż historia cała. Przywiązałem się, mój ojciec. do wychowanka. byłem może dlań za powołnym, pieściłem go. jak on mi słuszenie wyrzuca. dla mojej własnej zabawy i satysfakcyi. niepamiętny jego dobra. a teraz zbieram owoce.

Kanonik nie mówiąc. rękę jego uścisnął.

— Na wdzięczność nie rachowałem nigdy, byłoby to podłością w mojem przekonaniu żądać zapłaty za spełnienie obowiązku. alem się spodziewał, że praca około tego dziecka. przy jego zdolnościach. nie pójdzie marnie. Inaczej się stało! westchnął Mylius — boję się o niego!

— Cóż ja ci powiem na to? odparł ksiądz Bobek. nic. chyba. że na twoją intencję modlić się będę.

— Więc mówię. że do Turowa pojedzie! zawołał doktor jakby sam do siebie. — Ha! no — niech jedzie, już dziś sam sobą włada.

— Ale gdybyś mu przebaczył?

Smutnie uśmiechnął się Mylius.

— Ja się ani gniewam. anim tak twardy mój ojciec — ale dzieciak mnie nie przebaczy win moich. Są winy — dodał doktor — sam je czuję. Nie mówmy o tem.

— Jeżeli o tem nie mamy mówić — przerwał ksiądz Bobek, to chodź-że zobacz róże moje. Są to w świecie może najwdzięczniejsi wychowañcy. patrz. czy to nie cud. z zielonych obłonek. z twardego kija. siłą Bożą

wystrzela kwiat barw tak ślicznych, wonny. ułożony w kształt nie zrównany? Możeż być co na świecie piękniejszego nad to, i bardziej tajemniczego? ktoby się z gałęzi i liści mógł domysleć i spodziewać takiego kwiatu? Gdzie on spał nim się rozwinał?

Ksiądz staruszek pochylał gałęzie róż, i z uśmiechem słodczy pełnym, do ust je przykładął.

— To dziecięcki moje niewinne! rzekł, jedyne, których gniewem Bożym straszyć nie trzeba, aby czarno nie wykwitły.

Doktór uśmiechał się także, dzieląc zabawę starszaka.

— To też u was jak w raju, zawołał, i oczy się pasą i woń aż do duszy idzie.

— A co najlepiej — dodał ksiądz, że mnie tu z waszego świata, clamor, strepitus, luctus i lamenta nie dochodzą, cisza i spokój, chyba pszczołka zabrzęczy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



6015702/72 4/113

WYBORU POWIEŚCI J. I. KRASZEWSKIEGO

(W OBLICZENIU TŁACZENIA)

Wychodzi rocznie 20 tomów.

PRENUMERATA WYNOSI

Kwartalnie (za 3 tomów)	Rs. 1 kop. 50
„ „ „ z przesyłką	1 „ 75
Półrocznie (za 10 tomów)	3 „
„ „ „ z przesyłką	3 „ 50
Rocznie (za 20 tomów)	6 „
„ „ „ z przesyłką	7 „



WYSZŁY Z DRUKU TOMY

1. **Boża Opieka**, powieść.
2. } **W mętnej Wodzie**, powieść.
3. }
4. **Dzieci Wieku**, powieść, (początek).
5. Zawierać będzie **Dzieci Wieku**, (dalej ciąg).

Biblioteka Raczyńskich

JK 538



JK0538